

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok II • Nr 2 (5)

2016

J. Andrzejczak
A. Bańkowska
Z. Beszczyńska
J. Binkowski
K. Boruń-Jagodzińska
D. Cirlić-Straszyńska
A. Dorobek
J. Drzewucki
L. Engelking
W. Gaiński
D. Gałęcka-Krajewska
S. Gibaszek
S. Gibaszek
E. Hołda
E. Kasjanowicz
A.T. Kijowski
K. Kovacik
G. Łatuszyński
M. Ławrynowicz
J. Marciniak
P. Müldner-Nieckowski

W. Oramus
J. Pankiewicz
A. Patey-Grabowska
M. Pękala
M.K. Piekarska
K. Rodowska
B. Rosiek
K. Rudziński
K.S. Schreyer
A. Sobol-Jurczykowski
M. Strękowska-
-Zaremba
J. Strękowski
K. Sutarski
A. Syska
J. Śleszyński
B. Świecimski
K. Świegocki
G. Walczak
P. Wojciechowski
Z. Zbikowski



Michał Jagiełło



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok II Nr 2 (5) 2016

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska

Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

(*poezja, dramat*)

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Grzegorz Łatuszyński (*esej, krytyka*)

Maciej Parowski (*proza, esej*)

Małgorzata Strękowska-Zaremba (*proza*)

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Korekta Małgorzata Strękowska-Zaremba

Skład Piotr Müldner-Nieckowski

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Piątka to dobra liczba. 3

BARANEK

Zofia Bieszczynska, *** 5

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Paś się, paś, Baranku 6

Agnieszka Syska, stanę 7

Piotr Wojciechowski

Baranek czyli Pamięć, Lament nad
Józefem 9

WSPOMNIENIA

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

O Waldemarze Gaińskim 11

Edward Hołda

Popołudnie, Wszystko to. 15

NOWI CZŁONKOWIE SPP

Kazimierz Świągocki. 17

NAGRODY

Krzysztof Saturnin Schreyer

Oda do Farmacji. 18

Piotr Wojciechowski

Nasze emerytury oficerskie 24

DLA DZIECI – MŁODZIEŻY

Zofia Bieszczynska

O Wilku, Czerwonym Kapturku

i Babci 28

Jan Strękowski

O śpiącym rycerzu,

O dobrym duszku 30

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Filipek i rodzeństwo 34

ESEJ

Sylwia Gibaszek

Zwycięstwo Natury i Przestrzeni .. 38

Krystyna Rodowska

O przekładzie z Marcela Prousta .. 45

PIOSENKA

Zbigniew Zbikowski

Panie poeto,

W tangu mi to mów 51

POEZJA

Janusz Andrzejczak

Mgła, Odez, Tęsknię 54

Zofia Beszczyńska

Wiersze z Nowego Sadu,
Wiersze o pajakach. 57

Jerzy Binkowski, Judasz. 60

Andrzej Dorobek, Pas-jans. 61

Janusz Drzewucki

Nowoczesne i staroświeckie,
Kto wie dlaczego, Elvis żyje! 64

Leszek Engelking

***, ***, Zabawa, Kaszana. 67

Danuta Gałęcka-Krajewska

Nieprawda, Panta jednak rhei,
Pozorny spokój frazy. 69

Sylvia Gibaszek

Klif orłowski,
Niežnośny ciężar bytu. 72

Eugeniusz Kasjanowicz

William Shakespeare. 74

Andrzej Tadeusz Kijowski

Franciszek Lacki. 76
Preludium, Vanitas, Stygmaty,
Ekstaza, Coda, Pasja Wielkanocna,
Raj bez Ewy. 76

Alicja Patey-Grabowska

Zmartwychpowstali z katyńskiej
ziemi, Miotła Historii, W mętnej
wodzie, Głuchy śmiech. 81

Barbara Rosiek

***, ***, ***, ***. 83

Konrad Sutarski

Apokalipsa dni dzisiejszych,
Świat na nowo. 85

Agnieszka Syska

pożądamy twoich stóp. 88

Jerzy Śleszyński

Nie umiem, Hans Mayer. 91

Bogdan Świecimski

Hulaj dusza, Po stronie zła,
W poszukiwaniu Boga, Miłość Boga,
***, Lot, W poszukiwaniu Boga, ***,
Sława, ***. 93

Kazimierz Świądecki

Więc czymże jestem?, Śniący się mo-
tylom, Cogito, Koło, Powrót do koła,
Przymierze z czasem. 97

PROZA
Marek Ławrynowicz

Mundur. 101

Piotr Müldner-Nieckowski

Nel caffè „The Fury”. 105

Wiesława Oramus

Czarne kamienie. 108

Jacek Pankiewicz

Strojenie podmiotu. 112

Marek Pękala

Świniobicie. 114

Krzysztof Rudziński

Gryzonja. 119

Grzegorz Walczak

Bitwa poetów. 123

PRZEKŁADY
Anna Bańkowska

James Elroy Flecker. 129

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Patrick Galvin. 132

Danuta Cirić-Straszyńska

Lidija Dimkovska. 135

Gjoko Zdraveski. 136

Grzegorz Łatuszyński

Slavomir Gvozdenović. 140

Nina Živančević. 142

Jerzy Marciniak

Piotr Marciniak. 147

Alicja Patey-Grabowska

Walter Neumann. 154

Małgorzata Karolina Piekarska

Wsiewołod Niestajko. 156

Andrzej Sobol-Jurczykowski

Juan José Arreola. 163

KABARET
Piotr Müldner-Nieckowski

Kto pyta, nie błądzi. 166

WYWIAD
Katarzyna Boruń-Jagodzińska

rozmawia z **Karen Kovacic**. 169

Na okładce: portret Michała Jagielly, *for*.
Piotr Müldner-Nieckowski.

Piątka to dobra liczba

Przed nami piąty numer naszego kwartalnika. Także i tym razem podglądamy twórczość naszych członków. Znowu jest różnorodnie – poezja, proza, krytyka, eseistyka, a także formy lżejsze, piosenka, skecz kabaretowy. Są również tłumaczenia, dzięki którym w „Podglądzie” można obcować zarówno z literaturą wschodnią, jak i zachodnią. Jest coś i dla dorosłych, i dla dzieci, o co staramy się dbać, bo chcemy, by nasze pismo mogły czytać całe rodziny.

Dbamy o to, by były informacje o życiu oddziału i naszych członków. Stąd wiersze nagrodzone w konkursach. Nie chodzi tylko o te z naszego środowiskowego konkursu wielkanocnego na wiersz o baranku. Publikujemy bowiem nagrodzony w ogólnopolskim konkursie na wiersz o farmacji utwór Krzysztofa Schreyera, pokazujący jak szerokie są zainteresowania i wiedza naszych autorów.

Po przeszło roku wydawania pisma bilans jest dodatni. Zyskujemy czytelników, zyskujemy również autorów, bo zaczynają publikować ci, którzy do tej pory nie nadsyłali swoich prac do redakcji. To nas cieszy i daje nadzieję, że będziemy się rozwijać.

Stwierdzamy więc, że piątka to naprawdę dobra liczba!

Małgorzata Karolina Piekarska



Scena

w Domu Literatury

UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 87/89

Zaprasza na spektakle:

ACHMATOWA - ANATEMA

Występuje: Teresa Budzisz-Krzyżanowska

ALBERT CAMUS UPADEK

Występuje: Andrzej Ferenc

LEŚMIAN

spektakl poetycki z muzyką Grzegorza Duszaka i Małgorzaty Promińskiej

Występują:

Ona - Aleksandra Radwan/Katarzyna Hołtra

On - Grzegorz Daukszewicz

Wokaliści: Bogucka/Promińska/Wilgos/Duszek

Muzycy: Iwański/Jankowski/Kotlicka/Krystek/Mościcki/Mysiek/
Wieczerzyńska

MIŁOŚCI CHOPINA

spektakl w przygotowaniu

Informacje: www.teatrscena.pl

tel. 885958585

Bilety: eBilet

Bilety ulgowe dla członków: SPP, ZLP i PEN Club

BARANEK

W tradycji Oddziału Warszawskiego SPP utrwalają się konkursy literackie związane z tradycyjnymi świętami, które wspólnie obchodzimy w Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu. Tym razem przedstawiamy interesujący plon spotkania wielkanocnego, które się odbyło w poświęteczny wtorek 29 marca 2016.



Rys. Katarzyna Boruń-Jagodźńska

Zofia Beszczyńska

* * *

coś brzęczy
pośród pajęczyn
coś tam się bawi:

listek trawy?
piórko pawie?

[dzwonek z łąki?

dzwonek z łąki?
tryl skowronka?

słońce blade jeszcze
i kwaśne jak cytryna

ale w pajęczynach
już brzęczy:
już wiosna się zaczyna

Pięknej Wielkiejnocy!

— *zosia b.*

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Paś się, paś, Baranku

Baś, baś, baś, Baranku,
Paś się, paś, Baranku,
Póki soczyste trawy,
Pij póki wody czyste,
Biegnij, biegnij Baranku,
Póki nóżki całe,
Póki mocne raciczki,
A za tobą siostrzyczki,
Biegną, biegną i beczą,
Nad tą dolą człowieczą
I barankowym losem.
Oby cios był laskawy!
Oby dłoń była pewna!
I oby nóż dość ostry!
Szybka będzie rozłaka,
Krótko zapłaczą siostry
Nim pobiegną za tobą,
Za drżącym głosem dzwonka.

Zanim na zimny kamień,
Zanim w ogień gorący,
Zanim się schyli słońce,

Zanim się zamkną oczy.
Biegaj, biegaj baranku,
Zanim, zanim.
Niech nikt nie pyta.
Za kim,
za nim, za kimś,
kto każe biec do końca.

Nagrodą wstążka na szyi czerwona.
Wstążka do drzwi przybita.

Agnieszka Syska

stanę *

*zostały resztki języka
ale butwienie obejmowało
podniebienie*

pada jak kłoda

bóg

na resztki języka

próżna woda
drzewo

zaplątał się w siekierę do pnia przyłożoną
jak baran w zarośla
drzewo

[słońce spada

* Z tomu „Poznamy się po stopach”, Wyd. Miniatura, Kraków 2014

słońce spada
do pierwszej krwi
miłości

jak to drewno łaknie

natrzęsają się z nagiego
wzgórza
szarpią szatę nieba

w ustach

pełczynie jak topielec pytanie rodziła się i gniła w nim miłość

w ustach
wzgórze

do pierwszej krwi
łaknie
baran

baranek obejmuje
czule dobroduszenie
baranek

z zarośli
nieba

podniebienie się rąbie gładkie jak woda

nieba

jerozolimo

odbudowana
na olejku nardowym ciekłym jak trzy dni
odbudowana

w ustach
twoich stanę jak słońce czuły
w ustach

zapadam się
kamień w tobie

ociekam jak mur gładkie jak woda lanknienie płynne słońce bóg pierwszej krwi

zapadam w tobie

Agnieszka Syska

Piotr Wojciechowski

Baranek czyli Pamięć

Wszystkie doliny i hale
Skaliste pustki, tygodnie
Ty uciekałeś wytrwale
Miesiące i zbocza strome
Z berberysów, tarnin i cierni
Trzeba cię było wywlekać
Ze złych godzin i z dni niewiernych
Do zagrody dźwigać na plecach
Owcę czarną od własnej winy.
Ale teraz w piątek o trzeciej
Wiosna ręce myje w wodach zimnych
Los świata inaczej się plecie
Drze się zasłona sumienia
Ziarna czeka odmarznięta ziemia
Zmiana ról, ratuj człowieka
Baranka kolcami ćwieków
schwytanego w Krzyża pustkowiu
Ratuj cierniem spętana Głowę.
A ty teraz potrafisz zapomnieć
Kto ci dał i dolinę i strumień.

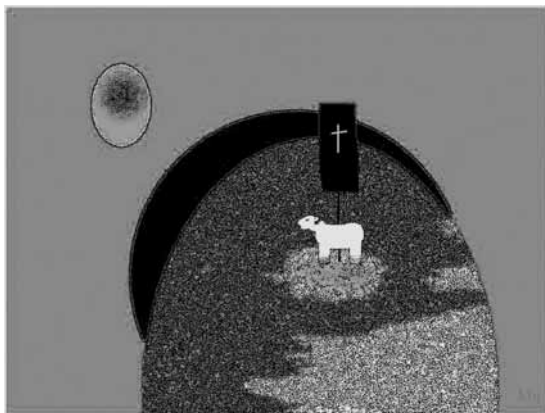
[Tak szybko

Tak szybko się schylasz po kamień
i za Kozłem Ofiarnym, w tłumie
wrzeszczysz, przepędzasz swą pamięć.

Lament nad Józefem

Gdzieś ty był zakochany cieśło
Kiedy twoich nieszczęście dosięgło
Jezus nie wziął po tobie warsztatu
I do drzewa dał się przybić katu
Twoja Miriam z Nazaretu miła
Stoi w tłumie, głowę opuściła
Nie chce widzieć krwi ani cierni
A ty cicho wyszedłeś z księgi
W jaką otchłań w jakie pustki święte
Po tym dziwnym życiu poszedłeś
Gdzieś ty był, gdy konał Syn Boży
Co za twego syna uchodził
Gdy zasłona w świątyni się darła
Czyś już miał
 pewność Zmartwychwstania?
Te trzy dni – gdzieś ty je przemodlił
Gdzie przeklęczał ciemność Golgoty?
Czyś już wiedział, co ci Jezus szepnie?
Już po wszystkim, tato, już lepiej.

Piotr Wojciechowski



Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Początek czyli prywatnie i po przyjacielsku

Wspomnienie o Waldemarze Gaińskim

Waldemar M. Gaiński

Instytucja twarzy

Przyjaciółom z „Molocha”

*purpura naszych gardel
powoli przechodzi w subtelny róż policzków
jedynie nosy
zachowały jeszcze jedność czasu
miejsca
i historii*

Wiosną 1975 roku zadzwonił nieznany mi jeszcze osobiście poeta Waldemar Gaiński i powiedział mniej więcej tak: *Dostałem twój telefon od Karaska z Nowego Wyrazu, twoje wiersze pasują do tego, co robimy. Tworzymy grupę poetycką, możemy porozmawiać?* Niewiele myśląc, przyłączyłam się do inicjatywy, mniej programowo, a bardziej towarzysko (mnogość grup literackich w latach siedemdziesiątych to było ważne zjawisko, a podział na grupy z manifestem, sytuacyjne, programowe i towarzyskie traktowany był serio). Wcześniej wydrukowano nam wiersze w tym samym numerze „Nowego Wyrazu” (był to poświęcony debiutom numer grudniowy 1974 roku, który jak wiele ówczesnych grubych literackich periodyków ukazał się z solidnym poślizgiem). Kilka lat później Waldek pisał: (...) *członkowie grupy postanowili nie ogłaszać manifestu (...) większą wagę przykładaliśmy do kształtu artystycznego utworów i ich ciężaru gatunkowego, niż do opowiadania się za tą lub inną szkołą wierszorstwa. Nie chcieliśmy również tworzyć n-tej szkolki ząbkujących krzykaczy.*

Spotkaliśmy się w barze kawowym „Poziomka” na rogu Miodowej i Krakowskiego Przedmieścia. Mieliśmy nosa do poezji i do tego co ważne. To było ważne zebranie przy czerwonym winie. W tym samym nieistniejącym już, zadymionym lokalu, o którym Piotr Bratkowski, (także z czasem członek grupy poetyckiej, która przybrała złowrogą nazwę „Moloch”) napisał w wierszu (cytuje z pamięci): *W barze Poziomka Edward Stachura recytuje poemat. Niektórzy biorą go za szaleńca.*

Wszyscy byliśmy wtedy mniejszymi lub większymi szaleńcami, którym chciało się działać, spotykać, rozmawiać o poezji i o życiu, dedykować sobie

wzajemnie wiersze, robić wystawy sztuki i poezji z młodymi plastykami, tłuc się w nieopalanym albo dusznym, zatłoczonym wagonie do odległych miast. I nie tylko po to, żeby napić się wódeczki i „popisać brutalnymi wierszami przed licealistkami”. Ej, panie dzieju, dziwne to były czasy... O kulturze dyskutowało się powszechnie, a nie niszowo, kłótnie o pryncypia mogły zakończyć się mordobiciem i zerwaniem stosunków młodoliterackich. Mniej mówiło się o nagrodach, a więcej o książkach. Recenzenci nie brali pieniędzy od autorów, a starzy i doświadczeni twórcy z ciekawości zaglądali na spotkania autorskie młodych.

Na tym pierwszym spotkaniu w „Poziomce” był chyba jeszcze Krzysztof Wasiak i może Bolek Kowalski (przez grupę przewinął się jeszcze Waldek Strzelczyk, dłużej, parę lat, w grupie zabawili Rysiek Holzer, Piotr Bratkowski i niżej podpisana. Wymieniam tych, których znalazłam, w imię prawdy literacko-historycznej). Nie pamiętam kiedy „Moloch” definitywnie zakończył żywot. Może Waldek uznał, że formuła się wypaliła albo że już zrobiliśmy w tym czasie i miejscu, co się wtedy dało. A może zaważyły sprawy osobiste. (Mam wrażenie, że kiedyś podobnie opisał grupę Piotr Bratkowski, a ja tylko to powtarzam). Waldek pisał o grupie poważnie i oficjalnie m.in. na łamach „Nowego Medyka” i w antologii *Studenckie grupy i kluby poetyckie*. Podchodził do swojej misji z pewnym namaszczeniem, a jako założyciel i lider rozstawiał członków po kątach i dość łatwo rozstawiał się z tymi, którzy nie pasowali do jego wizji lub o zgrozo! obniżali poziom.

Waldek miał swoje bożyszcza literackie. Odnosiłam wrażenie, że chyba pielęgnuje tę więź i kult nazbyt mocno, że pozwolił, by wrosły na zawsze w jego serce mroczne ulice, obskurne knajpy, tajniacy, brudne dworce, zapaskudzone autobusy i wymięci, zmęczeni ludzie – postaci, rekwizyty i scenerie obecne i w młodzieżowych, i ostatnich jego wierszach. Czy to wzrok poety się nie zmieniał, czy świat pozostał taki sam...

*to będzie wiersz o przekrwionych oczach przyjaciół
których poraził wyborony świt pierwszego piva
o porannej czekawce bezcelowych ulic
i witrinach puszczejących perskie oko drogich alkoholi
o panienkach szukających w sennych twarzach autobusów
treści snyc samotnych prześcieradeł (...)
o poecie który rzygał w zakrwawiony sedes
przysięgając że wyrzygał duszę z wódką (...)*

(Ballada warszawska)

Zawsze niepokoiła mnie toksyczna (dosłownie) więź młodych twórców z pisarzami – legendami, dążącymi do samozagłady, balansującymi na krawędzi

dzi przepaści; pokrewieństwo z wyboru z ich światem, z idolami, którzy już w ową przepaść wpadli. Ból literacki i ból realny. Anegdoty o ekscesach i samobójstwach poetów przeklętych traktowane nazbyt lekko. Tym groźniejsze, że owi idole byli wybitnymi artystami.

Mam w pamięci nekrolog z polskiego pogrzebu (1975) Marka Hłaski, przyklejony do ściany na podwarszawskiej drewnianej stacji Waldka i Krzysztofa. I lzy wzruszenia w oczach Waldka, który pisał o „przyjacielu”, którego nie było mu dane znać osobiście, i o „kolegach samobójcach”.

*(...) i chociaż grób mieszka już we mnie
sublokatorską taflą strachu
i krzyż z pośpiechem kielkuje w piersi
dotkliwą drzącą legendy
nie mogę się złapać za słowo
którego nie wymyśliłem*

(Miniatura)

Członków „Molocha” łączyła nie tylko twórczość z groźnym miastem w roli głównej, ale integrowały nas wspólne lektury, słuchane i śpiewane piosenki (Waldek często podśpiewywał Wysockiego), podobne przeżywanie trudnej rzeczywistości, gusta artystyczne, wyczerpanie na kłamstwo i tandetę. Łączyła nas także przynależność do ważnego wtedy „klubu” – „kuźni talentów” – Koła Młodych przy OW ZLP. Doświadczenia pokoleniowe. W roku 1977 nakładem Staromiejskiego Domu Kultury ukazały się nasze debiutanckie tomiki wierszy, a wcześniej, w 1976, właśnie po Waldku objęłam odpowiedzialną posadę gońca w „Nowym Wyrazie”.

Z jednej strony to, co pisaliśmy, było mocno osadzone w historii, sytuacji społecznej, często w poezji używaliśmy wtedy słowa „my”, z drugiej strony poezja owego czasu nazwana została przez krytyków „nową prywatnością” (Piotr Kuncewicz pisał na przykład, że „neoprywatnik czy raczej neoprywatciarz nie może istnieć bez pociągu”). W tamtych latach liczyło się coś bardzo prywatnego – przyjaźń, inaczej pojmowana niż dziś (niestety nie znaczy to, że ówczesne przyjaźnie zawsze były wierne, przetrwały, nie zważając na miłość własną i słabość charakterów). Czy aż tak byliśmy głodni przyjaźni i tak w nią wierzyliśmy? U wszystkich z nas słowa „przyjaźń”, „przyjaciele” powtarzały się w wierszach zatrważająco często. U Waldka także w sposób dość niepokojący.

Sztuka prowadzenia rozmów

*nasze rozmowy są coraz cichsze
podejrzane i niepełne cierpią na anemię*

[słowa

słowa dostają zawałów i odpływane z ust
jak spłoszone króliki z tresowanych rękawów
giną gdzieś w tłumie gorlinych uszu
lecz nie dlatego nasze rozmowy są coraz cichsze
i nasze słowa są coraz bledsze
a nasze sztandary są coraz krwistsze

3-4 marca 1978

Ten wiersz Waldka spróbujmy dziś czytać w oderwaniu od kontekstu pelerowskich lat siedemdziesiątych. Gdy traktuję ten wiersz prywatnie, brzmi jeszcze bardziej przejmująco.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Cytowane wiersze i fragmenty utworów Waldemara M. Gaińskiego pochodzą z antologii: *Poeta jest jak dziecko*, MAW 1987 oraz *Studenckie grupy i kluby poetyckie*, ZG SZSP 1979.

Waldemar M. Gaiński (16.08.1952 – 03.02.2011). Zadebiutował w „Nowym Wyrazie” w 1974 r., opublikował tomiki *Poemat uliczny* (1977), *Asfaltowy blues* (1981), *Rocznik pięćdziesiąty drugi* (1988) oraz *Miasto już przestało boleć* (1997). W latach 70. był twórcą warszawskiej grupy poetyckiej „Moloch”, członkiem Koła Młodych przy ZLP. Laureat konkursów literackich i Nagrody Prezydenta Częstochowy w 1997 r. Od 1986 r. mieszkał w Częstochowie, pracował jako dziennikarz w lokalnych mediach. Brał udział w życiu literackim miasta.

W roku 2016, w piątą rocznicę śmierci poety, Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie wyda zbiór *Wiersze ostatnie*. Tomik ukaże się z inicjatywy Władysława E. Piekarskiego, Wiesława Wyszyńskiego i Tadeusza Piersiaka w opracowaniu plastycznym Doroty Brodowskiej i grupy twórczej T.OP.Tank. (*kmb*)

ZMARŁ EDWARD HOŁDA

Dnia 18 marca 2016 w Warszawie zmarł Edward Hołda. Urodził się w 1924 r. w Krakowie. Pisarz, poeta, reporter. Studiował w Wyższej Szkole Nauk Społecznych w Krakowie. Debiutował jako poeta w 1950 r. na łamach tygodnika „Nowa Kultura”. W latach 1955-1957 był redaktorem tygodnika „Po Prostu”, w latach 1970-1972 dwutygodnika „Współczesność”, zaś w latach 1972-1981 tygodnika „Literatura”. Opublikował 5 tomików poezji, kilka tomów opowiadań, reportaży i powieści. Pochowany na cmentarzu w Pyrach. (*pnn*)



Edward Hołda

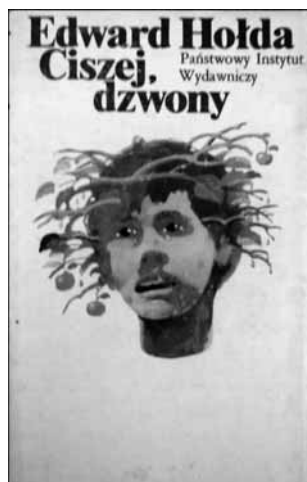
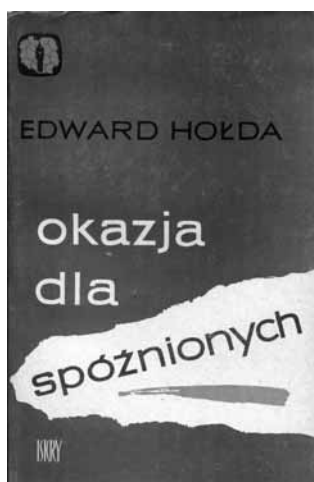
Popołudnie

Spóźniona dziewczyna wysiada z tramwaju,
przechodzi przez jezdnię, spogląda na zegarek i widzieć,
że jej już nie ma pomiędzy tymi, których roztrąca
biegnąc tam, gdzie już kogoś wita
i mówi mu coś najprostszego
i najbardziej niezwykłego.
Wita, ale biegnie dalej,
bo musi przecież dobiec i poświadczyć sobą
to, co tamten już na pewno słyszy,
a kiedy tak biegnie,
czyjeś ręce rozpuszczają jej włosy,
czyjeś gładzą po karku,
czyjeś obnażają piersi,
czyjeś zdzierają z niej sukienkę.
Teraz
wszyscy ją dostrzegają,
zegarek na przegubie jest jedynym jej odzieniem,

czarne gumy od pończoch wplątują się
w migotanie różowych kolan.
I tylko oczekujący
upuszczając na bruk niedopalek,
zdrętwiałe wargi składając do pierwszego słowa,
nie wie,
że wita się
z nagą.

Wszystko to

Solniczka na obrusie,
chleb, talerze, sztucce
wciąż podsycany ogień
i świerkowy zapach,
drzwi otwarte gościowi,
którego powitają kobieta, mężczyzna
i dziecko między nimi,
a gość usiadzie przy stole,
oni z trzech, on z czwartej strony świata,
wszystko to niechaj spełnia się bez końca
pod gwiazdą naszych przeplecionych rąk



NOWI CZŁONKOWIE SPP

Kazimierz Świągocki

O sobie

Urodziłem się niecałe dwa lata przed zakończeniem wojny. Czuję się człowiekiem XX wieku. Los jednak rzucił mnie w XXI wiek, którego nie rozumiem i, co za tym idzie, nie lubię. Pierwszy wiersz opublikowałem w 1959 roku, pierwszy tomik wierszy dopiero w 1974. Obecnie jestem autorem pięciu tomików wierszy, jednego tomu utworów wybranych i jednego zebranych. Poza tym wydałem pięć książek eseistycznych i naukowych o literaturze. Ale bardziej niż literatura interesuje mnie filozofia i muzyka. Poezję niemal od początku traktowałem jako wyraz przeżyć egzystencjalnych i metafizycznych. Może dlatego lepiej mnie rozumieją i cenią filozofowie, teolodzy i bibliści niż poloniści i literaci. Nie uznaję wszelkiej twórczości z ducha postmodernistycznej. Prawie nie czytam bieżącej literatury. Czytam tylko arcydzieła wielkiej tradycji i dobrą eseistykę, niestety przeważnie obcą, bo w polskiej rzadko znajduję to, czego szukam. Pisząc o dziełach literackich – zazwyczaj poetyckich – staram się wydobywać z nich te treści, które przenikają również moją poezję, czyli treści filozoficzne, treści egzystencjalne i metafizyczne. W poglądach na poezję jestem staroświecki, cenię taką, która łączy w sobie harmonijnie piękno brzmienia, obrazu i myśli, czyli raczej dawniejszą niż współczesną.

Poza tym lubię jeździć rowerem i samotnie spacerować. Nie opuszcza mnie tęsknota za żywą przyrodą pól i lasów, wśród których upłynęło moje dzieciństwo i wczesna młodość. Czuję się o dwadzieścia lat młodszy, niż naprawdę jestem. Najwięcej szczęścia dają mi dzieci i wnuki.

Nagroda Krzysztofa Schreyera

Poemat Krzysztofa Schreyera „Oda do Farmacji” uzyskał drugą nagrodę w ogólnopolskim konkursie poetyckim „Recepta na wiersz”, ogłoszonym przez Muzeum Farmacji w Krakowie. Jury konkursu: Józef Baran, Janusz Drzewucki, Krzysztof Lisowski, Jarosław Mikołajewski, Adam Ziemianin, Zbigniew Bela (dyrektor Muzeum Farmacji). Wręczenie nagród odbyło się 12 lutego 2016 w Muzeum Farmacji Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. (pmm)

Krzysztof Saturnin Schreyer

Oda do Farmacji

Farmacjo, wiedzy stara, ileż to nauki
trzeba, aby cię pojąć. Wszak już nasze wnuki
ślęczały nad skryptami wielkich profesorów,
ucząc się trudnych recept i złożonych wzorów.
Teraz, gdy w genetyczną weszłaś inżynierię
i do pracy zaprzęgasz grzyby i bakterie,
jeszcze trudniej jest pojąć twoją boską siłę,
twe warsztaty tajemne, procesy zawile.
Zdumiewam się bez przerwy i pojąć nie mogę
jak mogłaś w oka mgnieniu pokonać tę drogę
– bo mgnieniem dla ludzkości tych stuleci parę –
by w naukę zamienić obyczaje stare.

Dygresja:

*Ten kto się z medycyną nowoczesną styka
i do ksiąg średniewiecznych zagląda czasami,
niech pomyśli w ządumie o doli medyka,
który leczył choroby przed kilku wiekami.
Zupełnie nas nie dziwią dawne krotoczwile
o lekarzach, że zawsze unikać ich trzeba,*



Z lewej strony Autor

*bo tłumacząc boleści uczenie, zawiłe,
 niernych swoich pacjentów ślą szybko do nieba.
 Krwi upusty, enemy, kości dziwnych stworzeń,
 robaki zasuszone, wymysły przeróżne...
 Trzeba zdrowia, by po tym nie poczuć się gorzej...
 Koncepty były przednie, lecz wysiłki próżne.
 A jeśli przyszło leczyć królów lub królowe?
 Tu ryzyko ogromne, a więc dla zasady,
 by ochronić pozycję, a czasem i głowę
 konsylium zwoływano na trudne obrady.
 Nocą, niczym alchemik o złocie marzący,
 medyk o leku myślał panaceum zwanym.
 Syzyfową był pracą trud niestający –
 ani złota ni leku w naczyniu miedzianym.
 Jednak warta pochwały praca alchemików –
 poznali właściwości i zasad i kwasów.
 Przetrwały też narzędzia (i parę wyników)
 te kolby i retorty, do najnowszych czasów..*

Wróćmy w erę lodowców. W pierwotnych gromadach
 o truciznach roślinnych i zwierzęcych jadach
 plemienni czarownicy mogli sporo wiedzieć –

ci pierwsi farmaceuci – tak można powiedzieć.
Obserwując przyrodę, przyzywając duchy,
czarownik świat objaśniał dodając otuchy.
Teraz, widać wyraźnie, w niejednym człowieku
odzywają się echa tych zamierzchłych wieków.
Medycynę współczesną, chłodną, białą, czystą,
trudno nam jest zrozumieć. Rzeczą oczywistą
jest to, że straszy dzieci, lecz dorośli młodzi
też wierzą w dziwne moce, w to, że chemia szkodzi.
Nie łatwa jest medycyna, a tu intrygują
cudowne, proste środki, w których się lubują
nosiciele „energii” i rąk nakładacze
i zastęp samozwańców, co leczą inaczej.
Ta magia, która dawniej świat nam objaśniała
dobrze służąc gromadzie, wszak w genach została.
Wielbimy więc i dreszcze i tajemne znaki,
zapachy, dziwne gesty, egzotyczne smaki.

Dobre często efekty takiego leczenia
nie można pozostawić bez wytłumaczenia.
Najpierw słowo *placebo* każdy z nas wymieni.
Po wtóre i praktycy i wszyscy uczeni
przytoczą oczywiste, liczne statystyki,
które wcale odkryciem nie są Ameryki,
że choroba w większości przypadków zanika
również wtedy, gdy chory nie widzi medyka.
Stąd znachorzy, magowie, wędrowni szamani
na dal cieszą się sławą i są odwiedzani.
Kto ma przeżyć, przeżyje – błogosławiąc maga,
lecz kto w ciężkim jest stanie, ten mu nie pomaga
i wtedy jak najszybciej, nie tracąc godziny
trzeba się do współczesnej zwrócić medycyny.
(Byłe homeopaci nie wzięli nas w ręce,
bo pijąc „ślady” leków, możesz skończyć w męce).

Co o samoleczeniu mówi medycyna?
Tu się pasjonująca opowieść zaczyna
o tym co nazywamy siłami natury.
Owe siły działają przez swoje struktury:

mamy tu przeciwciała, mamy limfocyty –
 hufiec mocny, choć cichy, w prądach krwi ukryty,
 ale nim się uzbroi, pozbiera odwody,
 nasz organizm ogromne może ponieść szkody.
 Tu dawniej nie mógł pomóc czarodzieja dotyk,
 dzisiaj mamy receptę, na niej antybiotyk.
 Marli ludzie jak muchy, marli od zarazy
 lub zakażeń gdy w bitwie dosięgły ich razy.
 Fleming z penicyliną wydobyłą z pleśni
 rozpoczął nową erę, więc jemu współcześnie
 wielki wyścig zaczęli z zapalem wręcz dzikim
 tworząc sulfonamidy i antybiotyki.
 Ale ja nie wykluczam roli czarów z góry,
 bo czasem trzeba wstrząsnąć siłami natury,
 więc gdy kora mózgowa nagle poruszona
 wysłała ciału wici, lepsza jest obrona.

Człowieka, kiedy zaczął tryb życia osiadły,
 niewidoczne, podstępne schorzenia dopadły.
 Póki biegał wytrwale, polując na zwierza
 i stepy, gnany głodem niby wilk przemierzał,
 nie znalazł co to dzisiejsze powszechne choroby,
 jak otyłość, cukrzyca i marskość wątroby.
 Gdyby żył w naszych czasach Hipokrates stary
 na pewno by powiedział: gasicie pożary,
 tymczasem zamiast do nich z armią leków biegać
 nauczcie się pierwszej, jak im zapobiegać.
 Kiedy grozi zgrzybłość i nadmierna tusza
 dobrze jest poznać prawdę, że trzeba się ruszać.
 By żyć wiecznie, ambrozją żywią się bogowie,
 ale tutaj, na ziemi wam, śmiertelnym powiem
 co jeść, kiedy ćwiczyć, jak spać i co robić,
 by do brzegu starości bez uszczerbku dobić.
 Starość, gdy jej nie sięgnie ni klęska, ni wojna,
 ma być pełna radości, długa i dostojna.

Niestety, gdy choroba całą swoją władzę
 weźmie nas w posiadanie, już nic nie poradzą
 te mądre przykazania dawniejszych lekarzy.
 Trzeba iść do apteki, kilka leków zażyć.

Choć niektórych ta „chemia” przedziwnie odstrasza,
jak gdyby zapomnieli, że przyroda nasza
jest chemią, którą trzeba pojąć i oswoić,
by medycynę w dobre narzędzia uzbroić.
I tak w białych fartuchach magów potomkowie
z trudnych wzorów i równań piramidą w głowie
poprawili przemyślnie substancje rozliczne,
stworzone przez natury fabryki chemiczne.
Wieńc nasza wierzba (*Salix*) kwas salicylowy
dała całemu światu. Produkt standardowy,
ma go każda apteka, zna każda rodzina,
wszak to nasza pocziwa, dobra aspiryna.
Dawniej na poty straszne, gorące wapory
dawano szybko wyciąg – ten z wierzbowej kory.
Na polach i po lasach wiele ziół bezcennych,
tu *Konwalia majowa*, tam *Milek wiosenny*,
nazwy pełne poezji, działanie łagodne –
symbole medycyny, trochę już niemodne.
Nadal w wielu ogrodach rośnie naparstnica,
cieszy oczy zielenią, kwiatami zachwyca,
a wzmacnia chore serca, bo z jej liści leki
nie znikły jeszcze z pólek współczesnej apteki.
Któż to wie ile skarbów przyroda ukrywał!
I Nobla może dostać, kto z niej wydobywa
lekarstwa. Wszak Youyou Tu, ta Chinka wytrwała,
z zielska lek na malarię wyekstrahowała.
Wiele ziół jeszcze w lasach Azji czy Afryki,
w nich nieznane substancje, też... psychodeliki.
Farmacja wydobywa i ulepsza związki,
choć znawcy kuchni twierdząc, że ich zasięg wąski,
wołą kawę parzoną zamiast kofeiny.
Inni, by przeżyć wizję, wybiorą rośliny
o nazwie tajemniczej, bo to woń i mnóstwo
substancji dreszcz budzących... Swych doznań ubóstwo
kompensują wywarem to z traw, to z korzeni;
natury ludzkiej nigdy nauka nie zmieni.
Lecz trzeba i to wiedzieć: nie służąc leczeniu
narkotyk może wielką nieść ulgę w cierpieniu.

O farmacji! Bogini, która tyle twarzy
 ukazujesz, że teraz nikt się nie odważy
 rzec, że cię całą pojmie, weszłaś w świat nauki,
 a dawniej byłaś bliższa i magii, i sztuki.
 Dobrze jest więc podumać o twych szlakach krętych
 przedziwnych poszukiwań, myśli niepojętych...
 o tym, jak dziwną drogą kroczył człowiek dumny –
 Homo sapiens, co siebie nazywa rozumnym.

Krzysztof Saturnin Schreyer



Od lewej: zdobywcy trzech pierwszych nagród: Krzysztof Reimer (pierwsza nagroda), Marek Szczerbiński (trzecia nagroda), Krzysztof Schreyer (druga nagroda). W tle dyrektor Muzeum Farmacji w Krakowie Zbigniew Bela.

GLORIA ARTIS

Piotr Wojciechowski

Motto: Podziękowanie za odznaczenie GLORIA ARTIS:

Szanowny Panie Ministrze, (tak sobie przygotowałem, ale Ministra nie było, tylko dwaj nieśmiali i staranni Dyrektorzy, powiedziałem więc Szanownni Panowie Dyrektorzy) Panie i Panowie, Drodzy Przyjaciele, Tydzień temu pochylił się głowę, a Kościół posypał go popiołem, przypominając o potrzebie pokory. Dziś dziękuję Ministerstwu za ponowne przypomnienie tej samej cnoty.

Nie jest to najbardziej eleganckie podziękowanie, ale jest szczere. Trudno cieszyć się z odznaczenia, które dzieli mnie od znakomych kolegów, którzy odmówili jego przyjęcia, od Tomasza Łubińskiego, od Iwony Smolki, od Piotra Matywieckiego, od panów Kazimierza Ortosia i Grzegorza Kasdepke. Ich argumenty to nie puste słowa.

Dlatego myślę sobie, że gdybym znalazł się na miejscu Pana Ministra – chciałbym spotkać się z każdym z nich i porozmawiać. A może zebralibyśmy całą piątkę i poprosił o to, aby zajęli się zorganizowaniem kolejnego Kongresu Kultury. Może potrzebny jest nam dziś taki dziedzinek dialogu i nadzieja, że stanie się on miejscem uczciwej rozmowy.

NASZE EMERYTURY OFICERSKIE

**Felieton wygłoszony na Biesiadzie Literackiej 18 lutego 2016 roku
po wręczeniu Medalu Zasłużony Kulturze Gloria Artis**

Posypała się na literatów kaskada odznaczeń. Nie znam kulis tych decyzji, muszę więc wierzyć, że ktoś chciał dobrze. Boli jednak, że sprawa znowu nas podzieliła. Rozumiem koleżanki i kolegów, którzy odmówili przyjęcia. Szanuję ich racje. Przyjąć – zrobi się komuś przykrość, nie przyjąć – innej osobie przykro będzie.

Jedno jest pewnie – nie te odznaczenia są najpotrzebniejsze i nie o takie wsparcie dla literatury wołać należy.

Systemy orderów i odznaczeń to część tradycji jaką dostaliśmy z czasów królewskich, dworskich, feudalnych. Podobnie jest z systemem nagród literac-

kich – to mechanizmy, które w pewnym sensie działają ponad rynkiem i ponad demokracją. Dają pewne urozmaicenie, dają temat mediom, bywają pożyteczne, gdy wskazują na wartości. Niekiedy stymulują tsunami zazdrości, niekiedy coś na kształt dżentelmeńskiego współzawodnictwa.

Współzawodnictwo może być mile pod dwoma warunkami – wtedy, kiedy się jest ambitnym i wtedy, kiedy się w tym współzawodnictwie wygrywa. Czasem też wtedy, kiedy się kibicuje wygrywającym.

Kibicuje się u nas futbolowi, żużlowi, innym sportom, powszechnie kibicuje się polityce i Kościołowi. Kibicowanie to osobliwa forma zaangażowania, ale biernego zaangażowania. Minimalizacja działań przy maksymalizacji emocjonalnego gadania i krzyku. Jednym ze zjawisk, które ma wyjątkowo tłumną Strefę Kibica, jest płacz nad podziałem społeczeństwa na wrogie sobie obozy. Gdzie pójdę, zacni ludzie ze zbolalymi gębami opowiadają kto podziałowi winien, jakie okropne są objawy rozdarcia, jak groźne będą konsekwencje. Równie mądre i głębokie mogłyby być narzekania i protesty skierowane przeciwko obecności azotu w powietrzu. Oczywiście trudno nie przyznać racji tym, którzy twierdzą, że oddychało by się łatwiej, gdyby w powietrzu był sam tlen. Że wtedy – pełną piersią. Praca z mniejszym wysiłkiem, dobre samopoczucie, krzepa. Nikt ze zdrowym umysłem nie postuluje jednak usunięcia azotu z atmosfery.

A wszyscy chcą, aby ustala wrogość, nieufność, aby zaprzestano bijatyk. Rzeczników zwalczających się stron uważa się za szkodników, albo obcych agentów, albo oszołomów. Nawet do literackiego światka trafia echo tych sporów i podziałów.

A przecież trzeba zobaczyć, jak nieuchronnie rodzi podziały demokratyczny model rządów, jak rozwój ekonomiczny zwiększa obszary bogactwa – ale też biedy. Rozwarstwienie przynosi te podziały, jakie najtrudniej usunąć. Ploty wokół strzeżonych osiedli co rok wyższe! Widzieć trzeba, jak potrzeby rynku amunicji i broni sprzyjają zaoognianiu lokalnych konfliktów zbrojnych. Polska też eksportuje broń. Pokój zagraża rynkom zbytu. A dalekie wojny odbijają się echem w rodzinnych naszych domach.

Zważmy też, jak podziały i konflikty potrzebne są mediom. Rynek nauczył media jak handlować podziałami zamieniając je w smakowite njusy i spektakularne skandale. Rozwój technologii rejestrowania dźwięku i obrazu, technologii obróbki medialnej danych, propagowania wiadomości, autopromocji i mitologizacji mediów powoduje lawinowy wzrost podaży motywów podziału – coraz częściej ekran czy głośnik rzuca nam wiadomości, które wołają o pomoc do nieba, a co najmniej o komisję parlamentarną. Wzrost i doskonalenie mediów popędza podziały, powoduje ich globalizację i komercjalizację.

Skromny, pracowity, skuteczny polityk dążący do rozumnych kompromisów, to dla mediów śmieć w obiektywie. Trzeba przetrzeć szkło i skierować rurę na krzykaczy, rozrabiaków, obrzydliwców, oszustów – oni są wytwórcami nju-sów! A kto inny, jak nie te wrzaskuny, powoduje, że podziały się pogłębiają?

Podobno w mediach publicznych zmieni się teraz bardzo dużo. Mnie jako pisarzowi potrzebne byłoby to, aby było w mediach mniej Strefy Kibica, a więcej kultury. Kultury wysokiej, tej której nikt nie pomyli z rozrywką. Kultura nie potrzebuje tego, aby jej kibicować. W rozmaitych dziedzinach kultury istnieje współzawodnictwo, w literaturze też ze sobą współzawodniczymy. Ale nawet współzawodnictwo w kulturze nie potrzebuje kibiców. Potrzeba pokazywać, przypominać, dyskutować o ocenach, rozmawiać o wartościach i kryteriach ocen. Nazywać arcydzieła arcydziełami, a to co marne nazywać marnym, hucpą, gniotem. Trzeba cytować, porównywać. Ludziom już wmówiono – to czego nie ma w mediach, to nie istnieje. Wmówiono, że tylko to, co w mediach, to ważne i prawdziwe.

Ja się nie ludzę, że odznaczenia przysporzą czytelników tym, którzy te odznaczenia przyjęli, albo tym, którzy uznali, że odznaczeń przyjmować nie powinni. Bardzo bym chciał, aby po nasze książki sięgano, szukając w nich wartości estetycznych, etycznych, poznawczych.

Wszystko, co dotyczy literatury, jest w Polsce częścią systemu obrony narodowej. Zapaść czytelnictwa, skrzywienia w działaniu krytyki literackiej, upadek dobrego smaku w twórczości i w jej odbiorze, to wszystko zjawiska równie groźne jak zły stan techniczny pojazdów pancernych i niedobory w zapasach rakiet. Aby to pojąć, potrzeba sprawnej wyobraźni, a przecież kto nie jest czytelnikiem literatury pięknej wyobraźnie musi mieć przywiedlę. Kto ma dosyć wyobraźni, aby widzieć to, że gdy przybywa ludzi, dla których kultura jest nudna, przybywa potencjalnych dezertów. Nie tylko dezertów w czasie wojny, czmychających z okopów. Kto ma dosyć wyobraźni, aby widzieć, że klęska demograficzna Polski spowodowana jest dezercją z okopów ojcostwa?

Pisarz to producent ważnej części uzbrojenia – wyobraźni. Z tego względu należałyby się pisarzom emerytury podobne do tych, jakie dostają dowódcy wojskowi. Iwona prosiła mnie, aby o emeryturach dla pisarzy przypomnieć. Ona ma dobre serce, pamięta o klepiących biedę koleżankach i kolegach z SPP. Ja nie spodziewam się cudu. Pamiętać muszę, że zawody artystyczne są zawodami życiowego ryzyka. Pamiętam, że po przemarszu postmodernistów, po zwycięskich zagonach barbarzyńców, legły w gruzach wszystkie kryteria. I gdyby politycy chcieli zrobić system emerytur dla pisarzy, beneficjentami nie byłoby ci, o których martwi się Iwona.

Jeśli nie mam racji – nasza wygrana.

Ale to, co realne, to obecność lub nieobecność polskiej książki w radio i telewizji, domagajmy się, aby było więcej o nich, z lepszymi pomysłami na zachętę, premiowanie czytelnictwa, interesujące dysputy. Nie byłoby źle, gdyby krytyką objąć nie tylko bieżącą produkcję pisarzy i wydawców, ale także stan naszego księgarstwa i hurtu książki. Czy dochody ze śmieciowej literatury tłumaczonej z amerykańskiego nie powinny wspierać obecności polskiej klasyki na półkach księgarskich?

W interesie narodowym jest też utrzymanie małych księgarń, powrót książki do małych miejscowości.

Gloria Artis i inne odznaczenia należą się wszystkim, którzy dbają o obecność książki w codzienności Polaków – bibliotekarzom, organizatorom klubów czytelniczych i konkursów recytatorskich, menadżerom i wykonawcom festiwalu piosenki poetyckiej, bibliofilom, ilustratorom, intrologikom także.

Mają dostawać dodatkowe pieniądze rodziny wielodzietne. Tego mi mało. Rodziny wychowujące dzieci powinny dostawać biblioteczki, aby wychowywały obywateli, nie dzikusów. Duże i małe, wiejskie i miejskie biblioteki powinny mieć dotacje ukierunkowane na zakup dobrych książek polskich autorów – tych książek, które proponowałiby bibliotekom najlepsi krytycy i literaturoznawcy.

To wszystko brzmi nierealnie. Chcę jednak, abyśmy pamiętali, że nad Bugiem, Wisłą, Wartą i Odrą nierealne stają się rzeczywistością częściej i łatwiej niż gdziekolwiek indziej.

Piotr Wojciechowski

Zofia Beszczyńska

O Wilku, Czerwonym Kapturku i Babci

Był raz Wilk, który bardzo chciał być miły.

Dosyć mam – powtarzał sobie – tych bajek, filmów i innych wymysłów, w których jestem krwiożerczy i zły. A czasem zmieniam się w wilkołaka! Nikt nie pamięta, jak dużo zrobiłem dobrego. Jak pomagałem głupiemu Jasiowi i brzydkiej Małgosi (a może odwrotnie?) i jak na własnym grzbiecie przywoziłem pięknego księcia śpiącej królewnie... Nie mówiąc o tym, że naprawdę lubię dzieci. Ale ja im jeszcze przypomnę! Jeszcze im pokażę!

Włókł się przez las smutny i zamyślony. I kogo spotkał? Tak jest, zgadliście!

Tym razem jednak dziewczynka miała na głowie czerwoną chusteczkę, bo jej sławny kapturek był już strasznie brudny. Ale i tak szła do Babci, mieszkającej w chatce po drugiej stronie lasu, z przykrytym serwetą koszykiem. Było w nim wino porzeczkowe, świeżo upieczone ciasto i kilka jabłek. Wędrowała dobrze sobie znaną ścieżką, podśpiewując cienkim głosem, aż nagle ups! – omal na kogoś nie wpadła. I tak się ucieszyła, że prawie straciła oddech.

– Ojej, pan Wilk! – wykrzyknęła. – Babcia tyle mi o panu opowiadała! A ja tak często tędy chodzę i nigdy jeszcze pana nie spotkałam! Już myślałam, że wcale mi się nie uda!

Wilk zamarł. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie takiego powitania! Z całych sił próbował sobie przypomnieć, gdzie słyszał, że małe dziewczynki bywają niemile, przebiegłe, a nawet złośliwe. Do tego stopnia, że mamy wilczyce straszą nimi dzieci. A tu taka niespodzianka.

Ale Czerwony Kapturek, a właściwie Czerwona Chusteczka szybko wyrwała go z błogości.

– Kochany panie Wilku – zaczęła jak ptaszek. – Czy mógłby mi pan potrzymać koszyczek? Ja tylko... tego... zerwę parę kwiatków... eee... dla Babci. Co? A może... no... mógłby pan w ogóle jej go zanieść? Bo przecież wie pan, gdzie mieszka? A mnie... jak to powiedzieć... okropnie bolą nóżki...

I zrobiła minkę, jakby zaraz miała się rozplakać. Niepotrzebnie, bo Wilk był wniebowzięty. Nareszcie będzie mógł pokazać, jak bardzo lubi dzieci!

Złapał koszyk w zęby i raz-dwa-trzy potruchtał przez las. Rzeczywiście świetnie znalazł drogę: chadzał nią wiele razy. Odwiedzał Babcię od czasu do cza-

su i nieraz odpędzał od jej chatki leśne zwierzęta i stwory – elfy, krasnoludy, gnomy i różne takie – które z nudów lub złośliwości przylatywały narobić jej szkód w ogródku albo chociaż postraszyć. Babcia miała serce otwarte dla wszystkich. Karmila, opatrywała rany i pocieszała, gdy przybiegali z płaczem, ale często nie umiała sobie z nimi poradzić.

Staruszka bardzo się na widok Wilka ucieszyła. Zaraz podgrzała zupę z warzyw i ziół, która stała na piecu, a na deser oboje zjedli po kawalku ciasta z koszyka. Później usiadła w bujanym fotelu i wróciła do dziergania szalika, długiego chyba na sto metrów i pstrokatego jak pióra dzięcioła. Dla kogo ten szalik, Wilkowi nie zdradziła, ale zaczęła opowiadać mu bajkę. O pewnym Czerwonym Kapturku, który szedł do swojej Babci, niosąc jej koszyk... lecz dalszy ciąg wszyscy znają.

A co się stało z prawdziwym Czerwonym Kapturkiem – albo Czerwoną Chusteczką – z naszego opowiadania? Poszła zrywać kwiatki i co dalej?

Nieważne, jak długo chodziła po lesie i co tam porabiała, ważne, że w końcu trafiła do Babci, którą szczerze kochała. I co tam zobaczyła?

Wilka śpiącego smacznie u stóp staruszki? Szal wypełzający do lasu jak wąż? Cienie pierzchające spod oświetlonego okna?

– Hej – zapiszczał ktoś w dole – dasz mi kwiatka? Bo nie mam gdzie spać.

Dziewczynka roześmiała się głośno. Położyła bukiecik na progu i pchnęła drzwi chatki.

Jan Strękowski

O śpiącym rycerzu

Rycerze bywają dzielni, odważni i mężni. Bywają też tchórzami, którzy ukrywają się podczas bitwy za plecami innych. Bywają błędni rycerze, którzy blakają się po bezdrożach w poszukiwaniu smoków, potworów, złych czarnoksiężników, z którymi chcą się zmierzyć i zamkniętych w szklanych wieżach księżniczek, które trzeba uwolnić.

Bywają też rycerze śpiący. I ci są najgorsi.

Takim właśnie rycerzem był rycerz Kacper. Należał on do drużyny bardzo wojowniczego Księcia Północy, władcy, który wciąż toczył wojny. Atakował, bronił się, uderzał, wpadał w zasadzki i sam wciągał w zasadzki swych wrogów. Raz przegrywał, raz wygrywał. Ale nigdy przegrana nie była ostateczna, bo potem los się odmieniał i Księżę Północy święcił swój triumf.

Do czasu. Do chwili, gdy do jego drużyny przystał rycerz Kacper.

Naraz wszystko się odmieniło. I klęska gonila odtąd klęskę, przegrana następowała po przegranej. Porażka poprzedzała jeszcze większą porażkę. A wszystko przez rycerza Kacpra właśnie, który nigdzie nie zjawił się na czas, nigdy nie wstał odpowiednio wcześniej na wartę, zresztą na warcie też był żaden z niego pożytek, bo od razu zasypiał, a wrogom w to graj.

Księżę Północy mógł polegać na wszystkich swoich rycerzach, prócz rycerza Kacpra. Ale zanim się o tym dowiedział, stracił przez niego i jego zaniedbania dwie trzecie królestwa, połowę armii, większość zamków. Największemu wrogowi oddał za mąż swą córkę, piękną księżniczkę Adelajdę. Jego ogromny skarbiec, w którym przez lata gromadził wojenne łupy świecił dnem, a on sam już kilka razy był o krok od śmierci lub popadnięcia w niewolę.

W końcu wezwał rycerza Kacpra na dywanik.

– Jeśli jeszcze raz zaśpisz na warcie, to pożegnasz się ze służbą w mojej drużynie!

Biedny rycerz obiecał, że od tej pory oka nie zmruży, ale już w kilka dni później złamał obietnicę, śpiąc na straży przed zamkową bramą, nie zauważył wrogich wojsk. Zamek został zdobyty, Księżę Północy cudem uszedł z życiem, a rycerz Kacper wolał nie pokazywać mu się już na oczy.

Postanowił wyruszyć w świat. Do miejsca, gdzie nikomu nie będzie przeszkadzać jego skłonność do przesypiania ranków, posiłków, wart, bitew, gdzie nikt nie będzie miał pretensji o to, że inni dawno wstali, a on jeszcze śpi.

Rycerz Kacper przypomniał sobie opowieść niani o krainie śpiochów, gdzie zły czarnoksiężnik rozgniewany na królową, która odmówiła mu ręki, zaczarował całe miasto.

– To odpowiednie miejsce dla mnie – pomyślał. – Tam będę mógł się wypaść.

Natychmiast wyruszył w podróż i po wielu latach przygód i tułaczki dotarł do baśniowego miasta, o którym opowiadała kiedyś niania. Wszyscy tu spali. Drzewa stały nieruchome jak posągi, pod murami zamku spali śpiący rycerze, za bramą spały psy, koty, konie i osiołki, spali słudzy i dworzanie, spała królowa, spał król i spała królowna. W mysich norkach spały myszy, w dziuplach spały sowy, na strychach spały nietoperze. Spały pszczoły w ulach, a motyle na kwiatkach, które również spały. Spalo wszystko co żywe, ale nie to najmocniej ucieszyło rycerza Kacpra. Najbardziej ucieszył go widok śpiących na warcie rycerzy.

Natychmiast dołączył do nich.

Ach, jak wspaniale mu się spało! Spał, spał i spał. I nie przypuszczał nawet jak rewolucją stało się jego przybycie do śpiącego zamku.

Bo rycerz Kacper, o czym nie miał pojęcia, okropnie chrapał. Chrapał tak, że obudziłby każdego, nawet śpiącego kamiennym snem susła czy odspiającego sen zimowy niedźwiedzia. Obudziłby każdego, za wyjątkiem siebie samego. Śnił słodkie sny, uśmiechał się do nich i nic nie słyszał. A jego chrapanie niesło się przez góry i lasy, przez drogi i bezdroża, nie mówiąc już o tym, że w zamku, na zamkowych podwórzach i w całej okolicy brzmiało jak trzęsienie ziemi, poruszało drzewa, mury i kamienie.

I naraz... Śpiący tuż obok rycerza Kacpra jeden ze śpiących rycerzy przetarł oczy. Potem kolejny i kolejny. Aż wkrótce wszyscy śpiący rycerze byli rześcy i wyspani. Potem obudziły się czujne psy, ptaki, w końcu koty, a nawet śpiące w norach myszki. Przecierali oczy wyrwani ze stuletniego snu dworzanie, słudzy zaczęli wielkie sprzątanie, zaszumiały drzewa. To wszystko usłyszał śpiący w komnacie król i przeciągnął się, potem otworzyła oczy królowa, a na koniec i królowna. Obudzili się wszyscy, tylko jeden jedyny rycerz Kacper spał i spał, nieświadom tego, co uczynił.

Ach, jakże mu byli wdzięczni. Chcieli mu dać za żonę królową, ale on zadowolił się sypialnią. Oddali mu więc najpiękniejszą sypialnię, gdzie mógł spać do woli, a na środku rynku wystawili pomnik śpiącego rycerza, który pewnie stoi tam do dziś. I smacznie śpi.

O dobrym duszku

Czy wiecie, że w niektórych strumieniach mieszkają nie tylko ryby, żaby czy wodne owady, ale także dobre duszki, które spełniają ludzkie życzenia? Dzieje się tak wczesną wiosną, gdy lód stopi się, a wody szybciej ruszą w stronę morza. Jeśli staniemy wówczas na kładce, mostku czy na brzegu, w szumie strumienia usłyszymy zakłęcie, którego uzupełnienie przywoła dobrego duszka.

Kłopot w tym, że każdy strumień i każdy duszek mają swoje własne zakłęcia, inne niż w pozostałych strumieniach. W dodatku co roku zakłęcie zmienia się, bo dobre duszki lubią wszystkich zaskakiwać. Na dodatek, duszki nie lubią złej pogody, wychodzą tylko w słoneczny dzień, gdy wieje lekki wiatr, delikatnie marszcząc wodę strumienia.

Dlatego tak rzadko spełniają się nasze życzenia. I dlatego tak niewielu szczęśliwców spotkało dobrego duszka.

Szczęście jak i nieszczęście nie wybiera i nie zawsze rozdzielane jest sprawiedliwie. W pewnym lesie mieszkał sobie biedny drwal. Był sam, żona go kiedyś opuściła, zabrała córkę do miasta, nie chcąc dłużej żyć w leśnej głuszy. Miał tylko psa i kota. Niczego nie pragnął, o niczym nie marzył. Ciężko pracował na wyrębie, żywił się jagodami, grzybami. I nie myślał o zmianie.

Ale szczęście nie wybiera. Przez las płynął sobie wartki strumyk, szumiał na kamykach, marszczył się na korzeniach, czasem błyszczał złotym piaskiem dna w słońcu, w innych miejscach czerniał nocy w głębinach. Drwal lubił tam chodzić. Siadał na chwiejącej się kładce, zwieszając nogi nad wodą, przyglądał się rybkom pluskającym w dole, słuchał szumu wody na kamieniach i uśmiechał się.

Był wtedy szczęśliwy.

Ale... pewnego razu w szumie wody usłyszał jeszcze coś. Jakby słowa wypowiedane przez kogoś niewidzialnego mieszkającego w wodzie. Jeden... dwa... Jeden... dwa... Jeden... dwa...

– Trzy! – zawołał wtedy drwal.

I nagle...

Co to? Na kamieniu stanął dobry duszek strumienia, a raczej tylko jego głos, bo dobre duszki są przecież niewidzialne. I powiedział:

– Zawolałeś mnie! Słucham!

– Ja? – zdziwił się drwal.

– No tak – powiedział duszek. – Powiedziałeś przecież „trzy”.

– Powiedziałem – potwierdził drwal. – Ale dlaczego? Sam nie wiem.

Wtedy dobry duszek wytłumaczył mu wszystko. A na koniec polecił:

– Mów teraz szybko swe życzenie, bo za chwilę słońce schowa się za chmury i będę musiał odejść.

Długo myślał drwal i nie mógł nic wymyślić. Tak jakby wszystko już miał i niczego nie potrzebował.

– No szybciej – poganiał duszek. – Niczego nie pragniesz, o niczym nie marzysz?

– Marzę – odpowiedział drwal. – Ale kiedy o tym myślę, wszystkie moje pragnienia wydają mi się śmieszne i nieważne. Chyba że... Tak, już wiem! Chcę także w przyszłym roku odgadnąć twoje zaklęcie!

– Tylko tyle? – zdziwił się duszek. – Dobrze – zgodził się.

W tym momencie wielka czarna chmura przesłoniła słońce i duszek znikł.

Drwal nie mógł doczekać się następnej wiosny. Czasem myślał, że rozmowa z duszkiem była snem, przecież strumyk szumiał jakby ktoś nucił kołysankę. Ale kiedy znów przyszła wiosna, do lasu wróciły ptaki, zakwitły przebiśniegi i przyłaszczki, a łód spłynął do morza, zjawił się na kładce, w miejscu, które przed rokiem odwiedził dobry duszek.

Był piękny dzień. Strumyk szumiał łagodnie i w tym szumie usłyszał drwal ciche słowa: wiosna... lato... wiosna... lato...

– Jesień! Zima! – zawołał drwal.

Tak jak poprzedniej wiosny na kamyku w strumieniu stanął dobry duszek i tak jak poprzednio poprosił o życzenie. I tak jak przed rokiem drwal nie mógł się zdecydować, o co poprosić.

W końcu powiedział:

– Chcę także w przyszłym roku odgadnąć twoje hasło!

– Dobrze – zgodził się duszek.

Mijały lata. Każdej wiosny duszek wymyślał nowe hasło i każdej wiosny drwal pojawiał się na kładce nad strumykiem. I za każdym razem prosił tylko o jedno. Prosił, by udało mu się odgadnąć zaklęcie w przyszłym roku.

Był nadal biedny, przygarbił się i postarzał, ale niecierpliwie czekał spotkania z dobrym duszkiem. Niczego więcej nie pragnął, o niczym innym nie marzył. Niczego więcej nie potrzebował.

I był szczęśliwy.

Jan Strękowski

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Filipek i rodzeństwo

Przeżywamy napięcie przedporodowe

(fragment)

Na kilka dni przed terminem porodu w naszym mieszkaniu nie było ani jednej muchy. Wszystkie pouciekały, nie trzeba było psikać płynem na owady. Wystraszyły je porządki, które zrobiłem z tatą i babcią Niusią.

Serio!

Teraz nawet w moim pokoju jest tak czysto, że boję się do niego wejść. Chociaż piegowata Zosia, która ma znakomitą pamięć, uważa inaczej.

– Wasze muchy nie wytrzymały napięcia przedporodowego – powiedziała.

Zosia dwa razy przeszła przez napięcie przedporodowe, bo ma już dwoje młodszego rodzeństwa, więc wie, o czym mówi.

Z pewnością w mojej rodzinie działo się coś niecodziennego. Tata zachowywał się jak brakująca połowa półwariata z naszego osiedla i gdyby ich sparować – tatę i półwariata – powstałby cały wariat. Mama za to była nadzwyczaj spokojna i napelniona optymizmem aż po uszy, więc dopuszczała do siebie tylko dobre nowiny i tylko uśmiechniętych ludzi. Babcia Nusia wróciła od Inuitów i na razie nigdzie się nie wybierała, co wcale nie cieszyło dziadka Zbyszka, bo babcia zapraszała koleżanki do domu, a one zajmowały dziadkową kanapę. Z tego powodu działały mu na zszarpane nerwy i wpędzały w alkoholizm jego kolegów z dawnych lat.

Serio!

Dziadek sam mi powiedział o tym „alkoholizmie”. Oderwany od kanapy i telewizora biedny dziadziuś nie miał się czym zająć, więc robił nalewki z owoców na spirytusie i wymieniał się nimi z kolegami, wpędzając ich w alkoholizm. Babcia Nusia nie przejmowała się dziadkiem i jego kumplami, tylko z pomocą koleżanek przygotowywała się do roli nowoczesnej babci, która powinna nadążać za wnukami w każdej dziedzinie życia.

O dziwo tylko babcia Danuta zachowywała się normalnie. Całkiem normalnie znowu obraziła się na mamę, więc modliła się o szczęśliwy poród we własnym domu i zamęczała ciotkę Elżunię telefonami o kształt brzucha

mojej mamy, bo podobno po wyglądzie brzucha można stwierdzić, czy poród jest tuż-tuż.

Niestety, dni mijały, a moje rodzeństwo uparcie siedziało w brzuchu. Nawet ja miałem tego dość. Jak się już ma urodzić, to niech się urodzi! Chcę mieć wreszcie normalne wakacje i normalny nieporządek w pokoju!

Tata też tego nie wytrzymał i zadzwonił do babci Danuty z prośbą, żeby przyszła do nas jak najszybciej. Liczył na to, że babcia zdenerwuje mamę, bo zawsze ją denerwuje, i zdenerwowana mama wreszcie zacznie rodzić. Babcia domyśliła się, czego się po niej spodziewa jej zięć, i obraziła się na nasze mieszkanie.

– Moja noga więcej u was nie postanie! – powiedziała.

Mama się ucieszyła, zamiast zdenerwować, bo nie przepada za babcynymi odwiedzinami, i nie pospieszyła się z porodem. Niestety nie przewidziała, że napięcie przedporodowe odbierze tacie resztki rozumu. Sto razy na dzień pytał, czy mama spakowała się do szpitala. Wczoraj dwa razy jeździł po benzynę, chociaż miał pełny bak. Dziś pojechał po raz trzeci. Obsługa dystrybutora poznała go natychmiast, bo poprzednim razem nasze auto przejechało jej po stopach, dlatego się nie ucieszyła.

– Pan wariat czy o drogę pyta?! – warknęła do taty.

– O drogę? – tata podniósł na nią oczy pełne szaleństwa. – Dziękuję za przypomnienie! – podziękował.

Wyskoczył z samochodu, wpadł na stację i kupił mapę Warszawy, chociaż w domu ma z sześć map, a w samochodzie jest GPS, więc trudno byłoby nie trafić do szpitala, w którym mama ma rodzić za prawdziwe pieniądze, a nie z łaski, jak powiedziała ciotka Elżunia, która za wszystko płaci prawdziwymi pieniędzmi, bo jest bogatsza od najlepiej opłacanych piłkarzy świata, chociaż o mojej kochanej piłce kopanej wie tyle, co moje rodzeństwo o porodzie. Ostatnio ja i wujek Robercik wmówiliśmy jej, że do utworzenia muru w czasie meczu piłkarze potrzebują betonu.

Serio!

Mam nadzieję, że moje rodzeństwo nie odziedziczy po ciotce niewiedzy na temat futbolu. Jeśli już miałoby coś po niej dziedziczyć, to jej majątek.

– Mama też stara się o rodzeństwo dla mnie – pochwaliła się Weronika, która od dawna zazdrości mi przyszłej siostry.

Pokiwałem głową z politowaniem.

– Zapomnij. Jeśli ciocia będzie starała się o zajście w ciążę tak, jak starała się o ukończenie studiów, to zostaniesz jedynaczką do emerytury – przygadałem jej. I poczułem dumę ze swoich rodziców, że tak ładnie się sprawili.

Szkoda tylko, że razem z ciężą sprowadzili na nasz dom to napięcie przedporodowe, które zmieniło mojego wyluzowanego tatę w kłębek nerwów.

Doszło do tego, że tata nie pozwalał mamie zrobić nawet herbaty, żeby się nie przemęczyła. Chodził za nią krok w krok, a dziś wlaźł za nią nawet do ubikacji.

Mama na chwilę zapomniała, że musi być przepelniona optymizmem i powiedziała uszczypliwie:

– Przecież się za mnie nie wysikasz!

Mama nie znosi, gdy tata i dziadek Zbyszek traktują ją jak kobietę i zgodnie ze zwyczajem całują w rękę na powitanie albo otwierają drzwi i przepuszczają przodem, albo nazywają „blondynką”, chociaż jest blondynką.

Serio!

Powiedziałem o tym chłopakom i dziewczynom z naszego osiedla, których zwołałem pod naszym blokiem, bo napięcie przedporodowe wyгнаło mnie z domu.

– Dlaczego twoja mama nie lubi być wyręczana przez mężczyzn? – spytała Oliwia od Maurycego, której mama uwielbia, żeby mężczyźni robili za nią wszystko.

– Bo kobiety same potrafią otworzyć sobie drzwi, wepchnąć się w nie pierwsze i wyzwąć się od blondynek – wtrąciła Nina.

– A jak zechcą, to i w rękę się pocałują – wtrącił uszczypliwie Antoś.

– Bo to jest piękny polski zwyczaj! – uzupełnił szczerbaty Nam, którego mama kocha piękne polskie zwyczaje.

Hirkowi wyciągnął się nos od myślenia jak Pinokiovi od kłamstwa.

– Dlaczego mama Filipka nie lubi polskich zwyczajów? – próbował zrozumieć naszą rozmowę.

Popatrzyliśmy na niego z góry.

– Skup się, Hirek. Filipiek powiedział, że jego mama nie lubi, żeby za nią sikał mężczyzna – skarciła Hirka piegowata Zosia.

Hirek zmarszczył czoło w głębokiej zadumie, a my rozmawialiśmy dalej.

– Nie rozumiem... Dlaczego tata Filipka wszedł do kibelka z jego mamą i chciał się za nią wysikać? – niewyżyty Maurycy też nie nadążał ze zrozumieniem, pewnie dlatego że wcześniej całą uwagę skupił na kanapce wielkiej jak latający talerz.

– Tata wszedł za mamą, bo nie myślał o sikaniu! – zniecierpliwiłem się lekko, więc w skrócie wyjaśniłem to, co dla mnie było całkiem jasne.

– Tylko o czym?! – Maurycy też się zniecierpliwił.

Wzniosłem oczy ku niebu.

– O porodzie! – wykrzyknąłem na cały głos, bo byłem zestresowany z powodu napięcia przedporodowego panującego w moim mieszkaniu.

Maurycy nie był pod napięciem ani przedporodowym, ani elektrycznym, a jednak odwrzasnął, plując mi bulką w twarz:

– Twojemu tacie chciało się sikać czy nie?!

A to pieczywo pszenne z odnóżami!

Byłbym mu odebrał niezdrowe żarcie, ale zaskoczył nas głos nieśmiałej Marysi.

– Równouprawnienie kobiet i mężczyzn polega na tym, że kobiety i mężczyźni robią wszystko wspólnie – pisnęła cichutko.

Po jej słowach zapadła dokładnie taka sama cisza, jak po wrzasku Przystawki od wufu na lekcji o życiu w szczęśliwej rodzinie, którą prowadził w zastępstwie za panią od życia w szczęśliwej rodzinie. Wrzasnął wtedy na naszą klasę: „Cicho, grzyby leśne na chudej nóżce, bo wam czapy pourywałem!”.

Gdy pierwszy szok minął, Hirek wyraził to, o czym wszyscy pomyśleliśmy:

– Sikają też razem?

[...]

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Małgorzata Strękowska-Zaremba:

„Filipek i rodzeństwo”.

Wydawnictwo Literatura.

Ilustracje: Joanna Zagner-Kołat.

Seria wydawnicza „To lubię”.

Oprawa twarda.

ISBN: 978-83-7672-429-4

Cena: 22,90 zł



Zwycięstwo Natury i Przestrzeni – „Bóg przemawia do nas poprzez wiatr”

Zwycięstwo Natury – piszę o nim z pełną świadomością mieszkanki wielkiego miasta, kobiety utopionej w rozlewisku cywilizacji. Jestem jak większość z nas standardowo uzależniona od Internetu, telefonii komórkowej. Dodatkowo w pakiecie otrzymałam korki, smog, koszmarne hałas i oczywiście choroby cywilizacyjne z depresją na czele. Ciekawe, że ta ostatnia odnosi wielki komercyjny sukces. Mamy tylu starannie wykształconych ekspertów od inżynierii duchowej.

Leczą swoich klientów zapewniając promocje cenowe i gruntowną przebudowę struktury psychicznej. Cóż może efektywną terapię wspomóc kiedyś inżynieria genetyczna.

Może da się za jakiś czas sprawnie reperować ludzki mózg jak komputer, co parę lat zmieniać w nim oprogramowanie i system operacyjny.

Na razie sfrustrowanych klientów można dodatkowo wysłać do psychiatrii, gabinetu SPA, a najlepiej do Centrum Handlowego.

Czego najbardziej brakuje w naszym najdoskonalszym technicznie ze wszystkich światów?

Osobiście brakuje mi Przestrzeni zarówno fizycznej, jak i psychicznej.

Przestrzeń jest święta, jest koniecznym warunkiem życia rozumianego jako rozwój, zyskiwanie podmiotowości suwerenności oraz niezależności.

Przestrzeń daje możliwość wzrostu. Zwierzęta hodowane w klatkach są nędzą imitacją życia – rozgoryczone szympansy w ogrodach zoologicznych, otoczone przez tłumy gapiów jak promocyjne opakowania czekoladek w supermarkecie, zduszone w fermowych klatkach kury, które zdążyły wydłubać sobie już oczy.

Brak Przestrzeni rodzi agresję. A jak ma rozwijać się zmiażdżony, pozbawiony horyzontów i dosłownie horyzontu człowiek?

Stajemy się mężczyzną czy kobietą o określonych właściwościach fizycznych w pewnej Przestrzeni. Bez tła malarz nie stworzy obrazu, a my swojej tożsamości.

Wreszcie czy ktoś wyobraża sobie rozwój myśli bez Przestrzeni, w której ta myśl kiełkuje?

Czy możliwe byłoby też odczucie obecności Boga w ciasnym plastikowym świecie? Bez Przestrzeni nie pojawiają się w człowieku skłonności metafizyczne ani wrażenie tajemnicy. Byt, który jest pozbawioną wymiaru, spłaszczoną masą, traci swoją zagadkowość. Przede wszystkim gubi swoją duchowość. Doskonale wiemy, dlaczego kościoły gotyckie były tak wielkie. Dlaczego więc teraz kastrujemy wszelką wymiarowość, a także wieloaspektowość ludzkiego życia?

Nawet przed stworzeniem świata była Przestrzeń wypełniona wodą.

Sprzeniewierzamy się nie tylko kosmogonii. Buntujemy się w ogóle przeciwko egzystencji. Jakbyśmy podświadomie chcieli szybko umrzeć.

W naszej cywilizowanej kulturze natura jest tworem abstrakcyjnym.

Stała się też bardzo wyświechtanym sloganem marketingowym, kiczem, tandetnym mitem – jak piękno i luksus. Wystarczy tylko prześledzić hasła reklamowe kosmetyków czy innych produktów codziennego użytku – wszystkie odwołują się do natury, jednocześnie nie mając z nią nic wspólnego. Bo daleko do natury produkowanym w laboratoriach chemicznych eliksirom młodości czy mleku z modyfikowanej genetycznie soi. Przy okazji daje to do myślenia o uczciwości naszej kultury i pokazuje jej aspekt moralny.

Na szczęście Natura i jej Przestrzeń potrafi zwyciężyć nad ludzkim zacieśnianiem i umniejszaniem istnienia.

Niektórzy twórcy mają pełną świadomość tego faktu. Świadczą o tym chociażby dwa niezwykle obrazy filmowe. „Himalaje, gdzie mieszka wiatr” (*Himalaya, where the wind dwell*) w reżyserii Joen Soo-il, jak też „Szamanka” (*Natin dancer*) stworzona przez Guka Omarova, są hymnami podkreślającymi walor Przestrzeni w ludzkim życiu fizycznym, a przede wszystkim duchowym.

Filmy te subtelnie, a jednocześnie bardzo zdecydowanie i wymownie pokazują absolutne zwycięstwo Natury nad naszą ludzką tekturową makietą cywilizacji.

„Himalaje gdzie mieszka wiatr” to pochodząca z 2008 roku produkcja koreańsko-francuska.

Film nieprzypadkowo zaczyna się obrazem wielkiej pełnej wieżowców i zgłębku metropolii, z której starzejący się koreański biznesmen wyrusza do odciętej od świata wioski w Nepalu, gdzie mieszka rodzina jego przyjaciela. Historia ukazana jest w długich surowych ujęciach bez muzyki.

Z wielkiej metropolii przenosimy się do leżącego u podnóża gór miasteczka, które choć pełne wrzawy, samochodów i przekupniów, znacznie odbiega od pokazanej na początku świątyni biznesu i drapaczy chmur.

Następnie nasz manager trafia do serca gór. Himalaje są pokazane w całej okazałości. Możemy podziwiać ich barwę, rzeźbę, roślinność i zwierzęta. Oczywiście jest, że góry to czysta Przestrzeń sama w sobie.

Już na początku biznesmen przegrywa z Naturą i jej Przestrzenią. Dostaje choroby wysokościowej. Nie jest w stanie sam iść. Miejscowy człowiek przewozi chorego przez góry na grzbiecie swojego muła. Bez tego zwierzęcia byłoby niemożliwe, aby biznesmen trafił do położonej wysoko na dachu świata wioski.

Przestrzeń górską miażdży swoją potęgą. Ludzie okazują się słabsi od zwierząt, zdani na ich łaskę.

Nasz gość, pochodzący z cywilizacji, trafia do domu mieszkańców wioski.

Zarówno jego, jak i nas owiewa aura tajemniczości i zupełnego zaskoczenia. Jesteśmy w świecie równoległym – nie jednym ze światów możliwych, lecz rzeczywistości oczywistej i realnej jak nasza europejska cywilizacja.

Uczestniczymy w zwykłej codzienności mieszkańców tak innej od tego, co znamy z naszych powszednich dni. Najbardziej znamienna jest tu Cisza. To doświadczenie dla nas zupełnie odległe. Cisza wzmacnia Przestrzeń. Jest jej ukonstytuowaniem.

Dla nas absolutna „cicha cisza” to abstrakt. Trudno o nią w aglomeracjach miejskich pełnych samochodowych klaksonów, stukotu tramwajowych kół. Trudno o nią również w blokowiskach, gdzie słyszymy zza cienkich ścian klótnie sąsiadów, mecz piłki nożnej i krzyki bawiących się dzieci.

W Himalajach cisza zniewala. Jest jednocześnie uwerturą do delikatnych dźwięków dziecięcej piszczałki. Jednak najpiękniejszym dźwiękiem – górską symfonią i motywem przewodnim filmu – jest przenikliwy odgłos wiatru w Himalajach.

Wiatr towarzyszy wędrownikom pasterzy, myślom ludzi, ich duchowym rozterkom.

Bóg przemawia do nas poprzez wiatr – mówi buddyjski mnich, mieszkaniec wioski.

Wiatr to też atrybut Przestrzeni. Nie może pokazać bez niej w pełni swoich możliwości i siły.

Bóg zatem króluje w Himalajach. Często rozmawia ze „swoimi bliskimi”.

Oni milczą – wsłuchują się w te enigmatyczne boskie przemowy.

Mieszkańcy wioski są skoncentrowani na codziennych czynnościach. Wykonują je w zadumie, bez pośpiechu, pieczołowicie i z szacunkiem dla tego co robią – obojętne, czy jest to wyrabianie masła, karmienie dziecka, chorego, czy sprzątanie domu.

Jakże obce jest nam – cywilizowanym ludziom – takie lekceważenie czasu, nieliczenie się z nim.

Zupełnie wbrew zasadom ekonomii – żyć bez wszechobecnego u nas pośpiechu.

Czy to nie grzech wobec naszej świętej cywilizacji, oczekujących rzeszy klientów, zadań i obowiązków przyjętych do spełnienia misji powszechnego konsumowania i dobrobytu dla wszystkich?

A jednak taki szacunek do codziennych zwykłych czynności przekłada się na szacunek do człowieka, otwiera horyzont duchowy, w ogóle pozwala go dostrzec.

Niezwykłe nasycone tajemnicą są też używane przez Nepalczyków przedmioty.

Noszą piękne wyszywane stroje. Duchowny cały czas transowo kręci kulą, obracając się na złotym drążku – jakby odpędzał złe moce.

Wszystko jest inne, starannie wykonane, nawet zwykłe naczynia służące w czasie posiłków.

Oprócz tajemnicy wszystko nasycza zmysłowość – soczystość barw – miękkie kolorowe tkaniny, hipnotyczny dźwięk dzwonek na szyjach owiec.

Ludzie wydają się znikomimi wobec olbrzymich stad tych zwierząt.

Na każdym kroku widać, że człowiek jest tylko jednym z elementów naturalnego świata.

Nie mamy jakiegokolwiek moralnego czy duchowego prawa do wywyższania siebie i poniżania innych stworzeń. Wszystkie te istoty egzystują w Przestrzeni scalanej przez wiatr – głos Boga.

Czym w filmie jest rozmowa człowieka z człowiekiem? Kiedy wchodzimy ze sobą w autentyczny kontakt?

Relacja międzyludzka to wprowadzanie drugiej osoby we własną Przestrzeń.

Gdy słuchamy, przyjmujemy, co inny ma nam do przekazania, ofiarowujemy mu Przestrzeń, swoją uwagę, bliskość, która ma wspomniane już tło.

Przestrzeń obecna jest w relacji managera z małym chłopcem.

Milczenie, gest i mimika mają istotne znaczenie w ich porozumiewaniu się.

Analogiczna sytuacja występuje w przypadku relacji człowieka cywilizacji i żony jego nepalskiego przyjaciela. Tu też mamy do czynienia z przemilczeniami i oszczędnością słów.

Psychiczna Przestrzeń pozwala rozwinąć się intuicji i empatii.

Żona Nepalczyka wyczuwa bowiem, mimo zapewnień biznesmena, że z jej mężem stało się coś złego. Ona już wie.

Wreszcie pogrzeb starej kobiety, dotarcie jej do nowego świata, do którego odprowadzają przez góry zmarłą jej bliscy, też wymaga Przestrzeni.

Osobliwy wydaje się nam „cywilizowanym ludziom” pogrzeb pełen kolorów.

Nie ma pozbawiającej zmarłego Przestrzeni trumny. Ciało kobiety jest z mumifikowane, różnorodnie przyozdobione.

Przepięknym rytuałem pokazanym w filmie jest też rozsypywanie prochów zmarłego po górach, powrót do „Praprzestrzeni”, roztopienie się w niej i zjednoczenie z bytem.

Pogrzeb w cywilizacji europejskiej to smutny czarny ceremonial, gdzie zamknięty w ciasnym pudle nieboszczyk nie ma miejsca na życie w innym świecie. Jak istnieć w ciasnocie, będąc przysypanym ziemią?

Kazachska „Szamanka” też egzystuje na rozległej Przestrzeni górskich stepów. Ona również potrzebuje wielowymiarowości, by uzdrawiać ludzi, by wczuć się w nich.

Znamienny jest fakt, że w odtwórczynię głównej roli wcieliła się autentyczna szamanka Neiskupul Omarbekova. Szaman jest ambasadorem i rzecznikiem Natury. Zna jej prawa i tajemnice, niedostępne innym.

Potrafi dzięki tym tajnym, nadprzyrodzonym siłom uzdrawiać ducha i ciało.

Dla wielu ludzi żyjących w dobie rozwoju medycyny takie działania wydają się efektywnym lgarstwem godnym uśmiechu i politowania.

Jednak po obejrzeniu tego wspaniałego filmu takie uczucia wzbudzają w nas „cywilizowani gangsterzy”. Nie chcą marnować pustej Przestrzeni na jakieś szarlatkańskie praktyki zdziwaczalej starej baby. Po co tak marnować miejsce na którym można zbudować stację benzynową, która przyniesie dochód i ułatwi przemieszczanie się po górskich stepach samochodom terenowym?

Mafiozi wyrzucają Szamanke – tak im się tylko zdaje.

Znająca nadprzyrodzone moce Natury kobieta wprawia się w trans, pozorując swoją śmierć.

Bardzo ciekawy jest ten obrzęd szybkiego kręcenia się w kółko i dzikiego śpiewu Neisipkul Omarbekovej na tle górskie Przestrzeni. Szamanka ostrzega członków mafii, że to święta ziemia i nie można jej tak traktować.

Zadowoleni potentaci bawią się przy rosyjskiej dyskotekowej muzyce i stołach zastawionych jadłem, wódką i barwnymi, kryształowymi ozdobami – mieniającymi się ptaszkami i kwiatkami, wywołującym efekty holograficzne. Jakże śmieszna, żalosna i tandetna jest ta imitacja natury.

Widać przy okazji rosyjskie uwielbienie kiczu. Ten cały bazarowy świat i kolorowe baloniki wydają się wrzodem, rakową naroślą na świętej Ziemi.

W filmie bardzo interesujące jest zestawienie atrybutów Naturalnej Przestrzeni z atrybutami pop kultury i cywilizacji.

Mamy robiące dużo zamieszania samochody terenowe na tle gór i stepów.

Nędzne chaty z drewna i gliny – miejsce, w którym mieszka Szamanka i znajdują się przywożone tam w hurtowych ilościach zakupy z supermarketu.

Obrazy pubów i nocnych klubów pełnych hałaśliwej muzyki przeplatają się z szamańskimi rytuałami uzdrawiania – polewaniem wodą, smarowaniem gliną, malowaniem na plecach chorego anioła czy obmywaniem krwią ze świeżo zabitego barana. Dla nas te zabiegi są co najmniej dziwne. Stanowią jednak skuteczne leczenie.

Potęga Natury okazuje się przemożna. W jeden wieczór stacja benzynowa wybucha. Pożar w ciągu kilku chwil trawi to, co zbudował człowiek.

Znów trawa, posępna, milcząca Przestrzeń górskiego stepu, na który powraca wypędzona Szamanka.

Natura zwycięża nad człowiekiem, nad sianym przez niego złem (to obraz bardzo nam znany, zakorzeniony w romantycznej tradycji).

Reżyser filmu jednoznacznie określa, że zło pochodzi od człowieka, który wystąpił przeciwko Naturze. Dobro pochodzi właśnie od niej.

Człowiek stojący po tej jasnej stronie zna swoje miejsce na naturalnej Przestrzeni. Wie, jak korzystać z jej dobrodziejstw. Uznaje jej panowanie nad ludźmi. Darzy ją szacunkiem. Nie odcina się od swoich korzeni.

Naturalnie na początku była bowiem Przestrzeń, w niej wszystko zostało zaplanowane i rozmieszczone. Jest koniecznym warunkiem wzrostu fizycznego i wszechstronnego rozwoju człowieka.

Cywilizacja ze swoimi potężnymi gmachami zabiera nam, zwierzętom i roślinom Przestrzeń.

Wznosząc drapacze chmur – nieudolne imitacje prawdziwego dachu świata, centra handlowe, ogromne hale hipermarketów – niby stwarzamy ogromną przestrzeń. W rzeczywistości paradoksalnie ją ograniczamy. Nie ma ciśnieńszych, bardziej zaludnionych i dusznych miejsc, gdzie trudno oddychać, usłyszeć swoje myśli. Jesteśmy tam tylko zbiorem jakichś stłoczonych istot, zagłuszonych przez głosy z megafonów, agitatorów marketingu i stosy różnych przedmiotów.

Budujemy coraz więcej, bo potrzeba miejsca dla ludzi. W tym wszystkim zapominamy, że jak pisał Mircea Eliade: *Kosmogonia jest wzorem i typem każdej budowli. Budowa każdego miasta, każdego nowego domu, to ponowne naśladowanie i w pewnym sensie odtworzenie stworzenia świata. Istotnie każde miasto, każde miejsce zamieszkania znajduje się w „centrum wszechświata” i z tego tytułu budowa jego mogła*

być możliwa tylko dzięki zniesieniu świeckiej przestrzeni i czasu świeckiego oraz zaprowadzeniu świętej przestrzeni i świętego czasu. Podobnie miasto stanowi zawsze imago mundi, a dom jest mikrokosmosem.

W naszych czasach te słowa mogą brzmieć odległe i egzotycznie.

Jednak z tych dwóch „obrazów współczesnego świata” jednoznacznie wynika, że Przestrzeń jest święta.

Stanowi najważniejszą kategorię istnienia, sięgającą czasu przed powstaniem świata.

Woda i ciemność mieści się w Przestrzeni. Aby objawić siebie duchowo i fizycznie, człowiek potrzebuje miejsca.

Bez tła nie ma nic. Bez tła panuje jedynie pustka. Dzięki przestrzeni wyodrębniamy coś z niczego, różnicujemy. Nie ma muzyki, obrazów, literatury bez Przestrzeni między tworzącymi je komponentami. Przestrzeń jest pierwszą zasadą, metafizyczną podwaliną wszystkiego.

Sylvia Gibaszek

Krystyna Rodowska

Między obcością a przybliżeniem

Uwagi o nowym przekładzie powieści Marcela Prousta *W stronę Swanna*

W roku 2013 upłynęła setna rocznica opublikowania we Francji pierwszego tomu dzieła Marcela Prousta *A la Recherche du temps perdu*. Tytuł ten w Polsce został przetłumaczony (przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego) jako *W poszukiwaniu straconego czasu* i jest wciąż powielany w tym brzmieniu przy okazji kolejnych wydań czy omówień. Pierwszy tom siedmioksiągu Prousta nosi tytuł *Du côté de chez Swann* i choć po francusku brzmi dość wieloznacznie, ja także (za Boyem) tłumaczę go jako *W stronę Swanna*.

Z okazji owej setnej rocznicy Societé d'Etudes des Pratiques et Théories de Traduction zorganizowała we Francji, w listopadzie 2013 r., wielkie międzynarodowe kolokwium translatologiczne, poświęcone dyskusji na temat przekładów dzieła Prousta w różnym czasie, w różnych krajach i na różne języki „Jak tłumaczyć Prousta?”. Materiał porównawczy okazał się ogromny. Największą namiętnością – cytuję za artykułem w Internecie – do przekładania i przekładania na nowo czy to całości, czy poszczególnych tomów *W poszukiwaniu straconego czasu* wykazują się ponoć Włosi, Amerykanie i Japończycy. Ale także Hiszpanie i... Argentyni. Choć to niby ten sam język, zdumiewają nie tylko pasją translatologiczną w odniesieniu do Prousta, ale także rywalizacją i sporami krytycznymi w ocenie jakości owych przekładów, a jest ich cztery w Hiszpanii, dwa zaś w Argentynie! Hiszpański poeta Pedro Salinas – autor pierwszego przekładu *W stronę Swanna*, opublikowanego już w roku 1920, należy do głośnego pokolenia poetyckiego „27”, do którego zaliczali się m.in. Lorca, Aleixandre, Guillen, Alberti. Przytaczam nazwisko pierwszego hiszpańskiego tłumacza tej powieści, ponieważ jest bardzo znane, a także dlatego, by zwrócić uwagę na dystans zaledwie siedmiu lat, jaki dzieli publikację tego przekładu od ukazania się powieści Prousta we Francji.

A w Polsce uczczono stulecie *W stronę Swanna*... kolejnym wydaniem przekładu Tadeusza Boya-Żeleńskiego, dokonanego w latach 1936–1937 i regularnie wznawianego, a także sesją Proustologiczną w Krakowie, jesienią 2013 r. Nie przysłuchiwałam się jej; bowiem w tym czasie przebywałam we Francji, w sprzyjającym twórczemu skupieniu Collège International des Traducteurs

Littéraires w Arles, pracując właśnie nad nowym przekładem *Du côté de chez Swann*, który obecnie jest na ukończeniu.

Dla przypomnienia: obecny etap mojej pracy stanowi kontynuację – po długiej przerwie – wielkiej i trudnej przygody z Proustem, zapoczątkowanej osiemnaście lat temu opublikowaniem w specjalnym, podwójnym numerze „Literatury na Świecie” (1998, nr 1-2) dużego, pięćdziesięciostronicowego fragmentu *W stronę Swanna*, mającego kluczowe znaczenie dla całości *W poszukiwaniu straconego czasu*. Wienczy go odtwarzany przez dziecięcego narratora, ale z perspektywy człowieka dojrzałego, tego już z *Czasu odnalezionego* – słynny moment wylaniania się zapomnianego świata dzieciństwa bohatera-narratora-samego autora – z przypomnienia smaku ciastka, zwanego magdalenką, rozmoczonego w filiżance naparu lipowego u ciotki Leonii.

Pomysłodawcą wspomnianego numeru „Literatury na Świecie” był Michał Paweł Markowski – autor zamieszczonych w nim błyskotliwych esejów własnych, przekładów esejów samego Prousta (*O czytaniu, Pamięć i intelekt*) i jego ważnych po dziś dzień interpretatorów, takich jak Gilles Deleuze i Roland Barthes. Zawartość tego numeru to niezbędne dzisiaj kompendium wiedzy, przewodnik po labiryntach *W poszukiwaniu straconego czasu*, do którego nie mógł mieć dostępu nieżyjący od 1941 r. pierwszy jego tłumacz – Boy-Żeleński.

Wystarczy zanurzyć się dzisiaj w jakieś kilkadziesiąt stron jego przekładu, a przede wszystkim przeczytać wstęp, gdzie pod koniec zwraca się do polskiego czytelnika, tłumacząc się przed nim z zastosowanej metody rozdrobnienia na „bardziej czytelne” części słynnych Proustowskich zdań, zagarniających całe obszary zapętleń narracyjnych i mnożących się dygresji, by zaprotestować przeciwko dokonaniemu *W poszukiwaniu straconego czasu* – „w dobrych intencjach” – gwałtowi na ciele tej niezwyklej prozy. Boy usiłował przerobić *W stronę Swanna* i pozostałe części proustowskiego cyklu w polszczyźnie na „normalną” powieść. Pierwszy tłumacz, komentując niespotykany casus Proustowskiego zdania, zauważa: „To, co się przyjmuje od Prousta, tego czytelnik nie darowałby tłumaczowi. Polski język nie dopuszcza nieograniczonego mnożenia zdań zależnych i nizania ich w długie bez końca łańcuchy”. Dzisiaj – z perspektywy ewolucji języka XX-wiecznej prozy światowej, także polskiej – chciałoby się zapytać: czyżby? Czy „dążenie do większej przejrzystości” usprawiedliwia tak arbitralną decyzję tłumacza – negocjatora między autorem a czytelnikiem?

Z dzisiejszego punktu widzenia, po latach przyswajania lektur Joyce’a, Musiła, czy choćby Andrzejewskiego, odpowiedź może być tylko jedna. Bez wątplenia, w przypadku pisarstwa Prousta mamy do czynienia z gatunkiem

„sylwicznym” – stopem prozy z poezją i esejem, z szeroko pojętym językiem, zadziwiającym, jeśli nie szokującym nawet czytelnika nad Sekwaną, którego gusta estetyczne i lingwistyczne zostały uformowane w przeważającej mierze przez zasady kartezjańskiej logiki i ducha rygorystycznej, francuskiej gramatyki. Wystarczy przypomnieć tylko pierwsze negatywne reakcje wydawców i pisarzy, w tym André Gide’a. Ollendorf (pierwszy z wydawców, którzy odrzucili powieść) miał powiedzieć, „że nie rozumie, jak ktoś mógł poświęcić trzydzieści stron, by pokazać faceta, który wierci się w łóżku przed zaśnięciem” (cytuje za kalendarium opracowanym przez Michała Pawła Markowskiego i zamieszczonym we wspomnianym numerze „Literatury na Świecie”).

Jak dokonać rekonstrukcji w polszczyźnie unikalnego Proustowskiego universum? Zrobić to inaczej i może jednak lepiej, niż ten, kto pierwszy się z nim mocował? Gigantyczne wyzwanie, wręcz zuchwalstwo. Trudno nie doceniać pionierskiego charakteru i ogromu translatorskich dokonań Boya. A przecież nie porwałabym się na próbę nowego przekładu, gdyby nie poprzedzająca ją krytyczna lektura polskiej wersji *W stronę Swanna* w wykonaniu Boya. Jego przekład *Du côté de chez Swann* stał się dla mnie ważnym i jedynym – z braku innego – punktem odniesienia. Ale także trampoliną do skoku we własne sposoby odczytywania słownych, gramatyczno-stylistycznych zawłości i – co równie ważne – znaków rozpoznawczych filozofii poznania Prousta. Bo nowy przekład jest potrzebny, wręcz konieczny, nie tylko dlatego, że tamten się „zestarzał”.

Co to właściwie znaczy „zestarzał”? Znakomita poetka, Urszula Koziół, komentując w prywatnym mailu moją decyzję, „ma opory przy unowocześnianiu języka utworów już dobrze zadomowionych w języku epoki”. To nieporozumienie. Kiedy chodzi o wybitnego, obcego pisarza, każde pokolenie czytelników ma prawo zdobyć go dla siebie i cieszyć się jego językowym kształtem, zadomowionym we współczesnej – i na ile to możliwe, ponadczasowej – rzeczywistości. Bo przecież nie chcemy żywego dla nas autora zamienić na czcigodny obiekt muzealny? Potraktować jako wartość li tylko historyczną? Swoją drogą, sprawa jest delikatna, wymagająca ogromnego wyczucia ze strony tłumacza, lawirowania między Scyllą anachronizmu i przestarzałości a Charybdą ryzykownego unowocześniania języka przekładu na siłę. Jestem świadoma czyhających niebezpieczeństw.

Zacznę od językowego szczegółu, od rzeczy drobnych. Kto wie dzisiaj z młodszych czytelników, co znaczy słowo „gryzетка”? Nawiasem mówiąc, jest ono w tekście powieści wymysłem Boya, nie ma go w Proustowskim oryginale: Swann każe swemu stangretowi sprowadzić dla siebie na erotyczne

igraszki w głębi powozu młodziutką robotnicę (*une petite ouvrière*), i to określenie anonimowej, plebejskiej kochanki na krótką chwilę powtórzy się kilkakrotnie, otwierając tłumaczowi pole do interpretacji. Boy zaryzykował odkurzenie słowa „gryzетка” (z francuskiego *grisette* – młoda pracownica w domu mody, szwaczka, lubiąca flirtować, ale także szara, zgrzebna tkanina, czy ciemna mąka, orkisz, otręby), tyle że traci ono mocno myśzką nawet w świecie początków XX wieku, opatrzone w słownikach adnotacją: „przestarzałe”, „dawne”, utworzone w połowie XVIII wieku. Dotarcie do znaczenia takich słów jak „finta”, „piszczyk”, czy nawet „błaga”, wymaga szperania po papierowych lub internetowych słownikach.

„Zestarzenie się” przekładu Boya uderza dzisiaj szczególnie w sferze słownictwa, stylistyki, gramatyki, szczegółu obyczajowego, ocierając się o ewidentny anachronizm, groteskowość, dziwactwo, często nawet toporność i wreszcie – o rozmiłanie się nie tylko ze zrozumieniem intencji autora, ale – niekiedy – z prawdą psychologiczną opisywanej postaci. Dla przykładu: dwukrotnie w tłumaczeniu Boya, charakteryzującym pewne zachowania bohatera śródkowej, najdłuższej części *Miłości Swanna*, pada słowo „chamstwo”, obciążone ładunkiem negatywnej, wulgarnie nacechowanej nadekspresji. Za każdym razem, przy czytaniu, wszystko we mnie burzyło się: no nie! Swann – zakochany masochistycznie w Odette, opętany zazdrością o wodzącą go za nos kochankę, może się zachować nieracjonalnie, wybuchowo, ale – w moim odczuciu – nigdy chamsko! Czy dlatego, że „nie pasuje to” do tego wyrafinowanego konesera sztuki, bywalca arystokratycznych salonów? Przecież odsłanianie psychologicznych sprzeczności i niekonsekwencji miotających człowiekiem, to *specialité* autora *W poszukiwaniu straconego czasu*, podyktowana jego pasją demaskatorską i wszechobecną ironią?

A jakiego słowa w oryginale użył Proust? No cóż, słowem tym jest *muffle*. Istotnie, słowniki na pierwszym miejscu wymieniają „chamstwo”. I zaraz potem: „grubiaństwo”, „prostactwo”, „nieokrzesanie”, „gruboskórność”. Na dalszym planie synonimów pojawia się „niedelikatność”, „nietaktowność”. Ale ja sięgam do francuskiego rzeczownika, z którego te wszystkie cechy się wywodzą: *muffle*, czyli pysk (zwierzęcia), paszcza, a więc jednak coś związanego z instynktem, dzikością, agresją. W jakim zatem słowie kryje się prawda duszy neurotyka-wrażliwca, wyskakująca jak diabeł z pudelka przyzwoitości? U Boya jest to tak: „i z owym przelotnym chamstwem, które nawiedzało go od czasu, jak nie był już nieszczęśliwy i jak tym samym obniżył się jego poziom duchowy, wykrzyknął w duchu: »I pomyśleć, że spartoliłem kilka lat życia... dla kobiety... która nie była w moim typie!«”. Ja skłaniam się ku innemu rozwiąza-

niu, pozostawiając je do oceny czytelników: „i w tym dosadnym języku, który pojawiał się u niego od czasu, kiedy przestał być nieszczęśliwy... wykrzyknął w duchu: I pomyśleć, że rozwalilem sobie kilka lat życia dla kobiety, która...”.

Rzecz jasna, Swann drugiej dekady XXI wieku, choćby i miał wysoki status społeczny, wysublimowany intelekt i poziom oglądy, operowałby językiem znacznie bardziej niewyparzonym. Odbierająca te same impulsy językowe co my – Odetta, powiedziałaaby: „Co za ściema”!, a nie „Co za łgarstwo!” czy „bzdura”. Ale tłumacz, nie tylko Prousta, powinien – jak myślę – wyostrzyć maksymalnie swoją intuicję przy wyborze słownictwa w języku docelowym. Intuicję zawsze biorącą pod uwagę szerszy kontekst psychologiczny i kulturowy, i świadomą faktu, że nieunikniona różnica między oryginałem a przekładem wpisuje się w ryzyko interpretacji, będącej – w rozumieniu najnowszych badań nad specyfiką przekładu – nie tylko prawem, ale i obowiązkiem tłumacza.

Wspomniałam na początku o kluczowym dla odczytania sensu całości cyklu Prousta fragmencie *W stronę Swanna*, którego narracyjnym zwieńczeniem jest wyłonienie się zapomnianego świata dzieciństwa narratora z filiżanki lipowego naparu. Mediatorem między zasypanym przez lata niepamięci czasem, spędzonym na wakacjach i feriach wielkanocnych w Combray a świadomością dorosłego narratora, jest zmysł smaku sączonej właśnie filiżanki naparu czy herbaty z rozmoconą magdalenką. Opis całego procesu wylaniania się utraconej przeszłości w psychice i umyśle narratora, wzięty jakby pod mikroskop badacza, rozgrywa się w maksymalnie zwolnionym rytmie. To jeden z najbardziej fascynujących i znaczących *passusów* *W poszukiwaniu straconego czasu*.

Narrator raz po raz stwierdza całkowitą bezużyteczność inteligencji (*intelligence*) dla zrozumienia tego, co się dzieje w jego wnętrzu. Zwraca się zatem do swego umysłu (*esprit*) i przychodzącego mu w sukurs, pierwotnego świadectwa smaku. Tymczasem Boy cały czas odwołuje się do pojęcia i słowa „inteligencja”, co przekłamuje zrozumienie zachodzącego procesu przebijania się nieświadomości i niepamięci do integrującego psychikę narratora, wyzwalaającego przypomnienia. U Boya: „Stawiam filiżankę i zwracam się do swojej inteligencji. Do niej należy odkryć prawdę”, „Żądam od swojej inteligencji jeszcze jednego wysiłku.... Ale czując, że moja inteligencja nuży się bez rezultatu, każę jej, przeciwnie, zażyć dystrykcji... skrzepić się przed ostateczną próbą”. U mnie „inteligencję” w tych samych miejscach zastępuje umysł” – pojęcie o wiele szersze: „Czując jednak, że mój umysł trzusi się bezowocnie, zmuszam go – wprost przeciwnie – by skorzystał z odprężenia, którego mu odmawiałem... nakłaniam go do wzięcia się w garść przed ostateczną próbą”,

„czynię pustkę wokół umysłu i raz jeszcze każę mu doznać smaku tego pierwszego lyku”.

Tak więc pośrednia polemika z Boyem, imperatyw nieustannej czujności porównawczej w trakcie pracy nad przekładem, budują także podmiotowość „drugiej tłumaczki” – zawsze w poszukiwaniu, nigdy w poczuciu identyfikacji z „prawdziwym” tekstem Prousta. On sam aż do śmierci wprowadzał zmiany do rękopisów, na marginesach – ku utrapieniu wydawców – owładnięty obsesją dążenia do ekspresji idealnej!

Dla Boya – o czym także on sam pisze w swoim wstępie do *W stronę Swanna* – prawdziwym bohaterem całej powieści jest Czas, czyli historia wielu epok, zawarta w jednym jego wycinku, nieustające przeświecanie wielu czasów przez jedno zdarzenie czy wypowiedziane zdanie. Dla zmarłego dwadzieścia lat temu filozofa i znakomitego interpretatora m.in. dzieła Prousta, Gillesa Deleuze’a, dzieło to „zbudowane zostało nie na pamięci, lecz na rozpoznawaniu znaków...; to z niego czerpie ono swą jedność, a jednocześnie zdumiewającą wielorakość”. Magdalenka, widok trzech dzwonnicy na horyzoncie w Martinville, nierówność płyt brukowych w Wenecji, i wreszcie „mała fraza” Vinteuilla, skromnego nauczyciela muzyki i zapoznanego kompozytora z prowincji, który iskrę geniuszu okupił tragicznym życiem. „Mała fraza” pojawia się kilkakrotnie w powieści. Stanowi ona dla bohatera nie tylko wielkie przeżycie estetyczne, ale połączone z nim nierozzerwalnie doświadczenie inicjacyjne, pozwalające mu lepiej zrozumieć historię jego chorej miłości, a także – antycypować przyszłość, wolną od udręk złudzenia. Poprzez mitologizację „małej frazy”, Proust już w tym pierwszym tomie wielkiej całości wygłasza swoje *credo*: wzruszający hymn na cześć Sztuki i jej ocalającej sens życia mocy.

Krystyna Rodowska

Zbigniew Zbikowski

Panie poeto

Panie poeto, ja bardzo pana szanuję
od zmierzchu do rana i od świtu po zmrok, i czuję,
że kobietę, tę tu, pan zrozumie,
bo pan się wszystkim jak nikt przejmuje
i zawsze pocieszyć umie.

Panie poeto, ja bardzo pana doceniam,
od zmierzchu do rana i od świtu po zmrok, i mniemam,
że odczuwając katusze duszy
mej udręczonej, co weny nie ma,
blaganiem mym pan się wzruszy.

Pan jest artystą, pan to potrafi,
dla pana to drobiazg, to pikuś, to nic.
Pan w dusze kobiet jak łyżka w sorbet,
jak kluczyk w zamek, jak mydło w pianę
bez trudu wnika, to żaden pic.

Panie poeto, ja bardzo pana wychwalam
od zmierzchu do rana i od świtu... Okej, czy szala
już się przechyla? Wprost mówiąc: czy my,
gdy ja się zgodzę, a pan postara,
spłodzimy dziś nowe rymy?

Panie poeto, ja bardzo pana... Cholera!
No właśnie teraz nie mogę znaleźć rymu do „kocham”,
i zbiera mi się na szlochy, i nie
minie mi stan ten, jak chwila płoża,
w panu nadzieja jedynie.

Pan jest artystą, pan to potrafi,
dla pana to drobiazg, to pikuś, to nic.
Pan w dusze kobiet jak łyżka w sorbet

jak kluczyk w zamek, jak mydło w pianę
bez trudu wnika, to żaden pic.

Panie poeto, jak ja te pana, przepraszam,
wiersze, od zmierzchu po świt i przez dzień cały wygłaszam
w kółko, jak głupia, to chyba mogę
raz rym do „kocham” dostać od pana,
co rzuci mnie na kolana?

Proszę mi zaraz szepnąć go czule...
dla pana w ogóle to nic, to jakby kropelka szampana.
Pan w dusze kobiet jak szpila w sorbet
tak lekko wnika, miękko, jak w czulent,
jak w marmoladę, jak w pianę.

Pan jest artystą, pan to potrafi,
dla pana to drobiazg, to pikuś, to nic.
Pan w dusze kobiet jak łyżka w sorbet
jak kluczyk w zamek, jak mydło w pianę
bez trudu wnika, to żaden pic.

W tangu mi to mów

Jesteś jak spętany jacht
prący ku nieznanym wodom –
gdy twe cumy zerwie wiatr,
popłynę z tobą.

W tangu mi to mów, dziewczyno, w tangu,
powiedz mi to w tanga rytm,
póki gitara lka,
w mej dłoni drży dłoń twa,
dopóki taniec trwa
i krew w nas płynie.

Jesteś jak wędrowny ptak,
skrzydeł związać ci nie mogą –

jeśli światem ruszysz w świat,
pofrunę z tobą.

W tangu mi to mów, dziewczyno, w tangu,
powiedz mi to w tanga rytm,
nim kur obudzi dzień,
nim muzyk przerwie grę,
nim wino skończy się
i noc przeminie.

Jesteś jak Kometą X,
szybująca nad mą drogą –
gdybyś kiedyś zgasł i znikł,
ja zgasnę z tobą.

W tangu mi to mów, dziewczyno, w tangu,
powiedz mi to w tanga rytm,
nim księżyc straci blask,
nim płomień zgaśnie w nas,
nim się zatrzyma czas
i życie minie.

Zbigniew Zbikowski

Janusz Andrzejczak

Mgła

Z wąwozów parowów i z leśnych rozpadlin
z tego co bez czasu z tego co czas nagli
więc z kamieni spod nich z samego ich środka
z kosmosu wodnych drobin z ich wzajemnych spotkań
z wilgoci co na plażie mrużącym pod liściem
z oddechu leśnej myszy która ani piśnie
z mroku nocy z burzy z poranka z wieczoru
z olsów z łęgów z puszczy z mieszanego boru
z bagna torfowiska i leśnego oczka
z menisku nartnika w jeziornych zatoczkach
z mrówczych tras lęku sarn z lotu nietoperza
z zimy która kurczy co lato rozszerza
z przedmrozu przedburzy przedranka przednocy
z dziupli co raz ziewa raz woła pomocy
z miękkości przelotów motyli i ptaków
z mrówki co zdyszana stanęła na szlaku

i jeszcze z puszczyka co się z echem psoci
z lasu z łąki z tchnienia i z kwiatu paproci

powłóczyście bezdźwięcznie bez jawy i tła
snuje się ścieli klębi i tumani
mglaaaaa...

Toruń, 29.04.2011

Odzew

Lasem łąką polem
zawsze inaczej
żurawie
dzieciole

kukulcze
kumacze
przyczajone
na śródleśnej łące
w dziupli
w studni śpiące
pod paśnika strzechą
rozchodzi się kręgami
niepojęte
pojęte...
ęte...

echo

Lecz to nie tylko czyjś skądś głos
falami warstwic niesie
między dalami to jest most
niknący gdzieś w wszechświecie
świecie...
ecie...
cie...

W echu i echem z nim i w nim
na każdej swojej drodze
szumem kropelką mgłą jak dym
pokornie się rozchodzę
w drodze...
rodzę...
odze...
w...

Tęsknię...

Skomlę wołam krzyczę
z tęsknoty
do kaflowego pieca

[do jego żeliwnych

do jego żeliwnych drzwiczek
do jego ciepła na plecach

Wołam ze swej pustelni
od rusztów żeber
po popielnik
mój piecu piecyku
do siebie mnie
przytul

Za jaśminowym tęsknię płotem
za karmnikiem z głogu z jarzębin
wołam i łzawię
ze swoich głębin
do studni z żurawiem

Tęsknię do woni siana
w kopcach w stogach w stodole
do dymu z palonych łątów
snującego się polem

Tęsknię do chałup krytych strzechą
do świętych tęsknię sosen

Gdy już nic z tego
i do mgielnej postaci tęsknię
niosącej kosę

Janusz Andrzejczak

Zofia Beszczyńska

Wiersze z Nowego Sadu

* * *

w hotelowej szafie pajęczyna
jakby nikt nigdy
się tu nie zatrzymał

bracie pająku witaj
choć dawno uszło ci ciało
duchu pająka witaj
choć ducha w sobie masz mało

może pająkasz się gdzieś pod sufitem
śledzisz muchy zagubione
choć żadnej już nie złapiesz
wykluczone

śmieją się z ciebie po kątach
pyłki kurzu okruchy światła
niełatwa jest dola pająka
nawet po śmierci
niełatwa

* * *

Branko był kiedyś bohaterem
tak dawno że nie pamięta
została mu gorąca głowa
i silne ręce

teraz dobiega już półwiecza
i wciąż jest chłopcem na chmurze
i ciągle przeskakuje
z kałuży w kałużę
w kałużach są inne światy
trzeba tylko nadeprnąć właściwie
(nie wymyślił tego on ani ja nawet
lecz ciągle jest to możliwe)

* * *

fontanna jest blisko
ale jej nie słyszę

zagłusza ją cisza

Wiersze o pająkach

* * *

gdy pająk nie ma domu
lepi go po kryjomu
ze śliny strzępków kurzu
promieni księżycy

siedzi potem w fotelu
z księżycowej sieci
i czeka aż przyleci
odwiedzi go
znajoma czarownica

* * *

zbudowałam dom pająka
na drzewie
nikt prócz pająka
o tym nic nie wie

pająk po domu chodzi
i nie wie o co tu chodzi
pająk po domu się błąka
aż żal mi tego pająka
zbudziłam się było jasno
pająk na pewno już zasnął
ale nie mogłam go znaleźć

może nie było go wcale?

* * *

do domu pająka
do pająka domu
wchodzisz po kryjomu
po kryjomu wchodzisz
nigdy nie wychodzisz

albo znajdziesz okno
ukryte w pajęczynie
i przez nie wyskoczysz

wtedy już nie zginiesz

* * *

pałac pająka ma tysiąc pokoi
i w każdym coś się czai
w każdym ktoś czegoś się boi

w jednym jest kolor szary
w drugim kosmatość i czary
w trzecim splątane sieci
w czwartym sny i koszmary

w innym rupiecie i śmieci
w innym motyle skrzydła
w innym duchy i zmary
w innym trujące kadzidła

a w innym pajęczę dzieci
w kołyskach z pajęczych sieci
wpatrują się w wielką ciemność
i myślą: co będzie ze mną?

Zofia Beszczyńska

Jerzy Binkowski

Z cyklu „pieśni pobożne”

Judasz

Zgraja ludzi z latarniami pochodniami po mnie wyszli
Z mieczami i kijami krzyknęli
Czy ty jesteś Jezus – Jezus z Nazaretu – król żydowski

Krzyki gniewu i pogardy szczęk broni jęk Maryi
To zdrajca nadchodzi

Światło jak błysk olśnienia w przestrzeni rozpaczy
Przelamie zaporę czasu
Wyprowadź Ojczy konie przestraszone
Z żaru ognia lęku – lęku mego serca – serca wszechświata

Krzyki gniewu i pogardy szczęk broni jęk Maryi
To zdrajca nadchodzi – to ty – to ty

Ja jestem wśród swych braci bez początku bez końca
Jak mam poruszać się w zmysłach
W zmysłach ponad zmysłami drzę w krwawym lęku
Kłęczę samotny – Ojczy przebac im bo nie wiedzą co czynią

Krzyki gniewu i pogardy szczęk broni jęk Maryi
To zdrajca nadchodzi – to Judasz

Ojczy hyzop zerwij zanurz w mojej krwi
Ojczy serca zagubione skropisz moją krwią
Ojczy jeśli to możliwe otwórzmy niebo im
Słodko cierpki sok z granatu niechaj niesie przebaczenia żar

Krzyki gniewu i pogardy szczęk broni jęk Maryi
To zdrajca nadchodzi – to Judasz to Judasz – to ty

Andrzej Dorobek

PAS-JANS

(fragment)

*Karta
dół*

*„Moim Moskalom”
(oraz pamięci Wiktora Woroszyńskiego)*

CZĘŚĆ I: PAS-JANS

PAS-JANS

*Krzysztofowi Karaskowi
w podzięcie za wieczór reaktywacyjny –
i wszystkie następne
w DPT „Astoria” w sierpniu 2015*

talię słów
znaczoną

atrofią syntagmy
aborcją podmiotu
kastracją dopełnień
hazardem sensów

składam
rozkładam
przekładam

układam

w pas
jans

układam
w po

nas choćby po

to

piel
jak pięść
piel
grzmotu

to

pień
głuchy jak

to

pięć

[trzy
pięć
osiem?]

nie

trójka
siódemka
as

to

pik
dama

karta
stół

to

paź
od królowej do króla
od damy do wala

karta

tas

i znów

pas
jans

bezkrwista czerwień
skwaśniałe wino
dzwonki błazeńskie
dupki żółdne

karta
dół

pas
de deux

de trois

de quatre

królowe
króle

waly
damy

blotki
trzpíotki

as
jans

na nic

Andrzej Dorobek

Janusz Drzewucki

Nowoczesne i staroświeckie

To, co współczesne,
nie musi zaraz być
nowoczesne; to, co
współczesne równie
dobrze może być
staroświeckie i już.

Kto wie dlaczego

Kto wie dlaczego,
ten wie; kto nie wie
dlaczego, ten już nigdy
się nie dowie.

Elvis żyje!

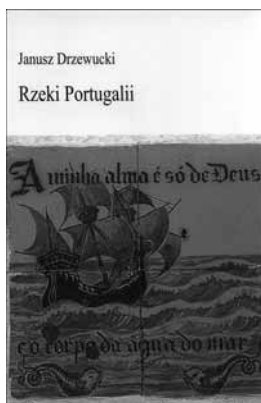
Elvis Presley żyje we Wrocławiu,
zmienił się nie do poznania,
schudł, wylysiał, ale trzyma się
dobrze, ostatnimi laty prowadził
warsztat samochodowy na Krzykach
czy też na Biskupinie, w końcu
przeszedł na emeryturę; Jim Morrison
mieszka w Poznaniu, na jednej
z prywatnych uczelni jest lektorem
języka angloamerykańskiego, nie ma
emerytury, więc musi dorabiać;
Jimmy Hendrix przeprowadził się
z Krakowa do Rzeszowa, nie mógł
wytrzymać w Krakowie, wiadomo,
Kraków to nie jest miasto dla

starych ludzi, którzy ze starością
nie chcą się pogodzić, pracuje
w sklepie z używanymi płytami;
do Krakowa przeniosła się za to
Janis Joplin, mieszkała w Szczecinie,
przyjechała do Krakowa na wycieczkę
i zakochała się, wyszła za mąż,
zatrudniła się w kasie na Wawelu;
Boba Marleya widziano w Pieninach,
ściął dredy, jedni mówią, że uprawia
pietruszkę i koper, drudzy, że
zasuwa jako flisak na Dunajcu,
rację mają zapewne i jedni, i drudzy;
mimo tego, co mówią i piszą, żyje
Ian Curtis, grał w klubach jazzowych
na Wybrzeżu na trąbce, osiadł
we Wrzeszczu, wynajął kawalerkę
z widokiem na zatokę, oprowadza
zagraniczne wycieczki; także na
Wybrzeżu widziano Kurta Cobaina,
ale znikł i po jakimś czasie odnalazł się
na Śląsku, skończył kurs intrologatorski,
jednak nie podjął pracy w zawodzie,
okazało się za to, że ma talent
do komputerów, załatwił sobie fuchę
w firmie informatycznej, kibicuje
Ruchowi Chorzów, jest stałym
bywalcem stadionu przy Cichej;
Amy Winehouse wzięła się za siebie
skończyła z toksycznym trybem życia,
jest psychoterapeutką w Łodzi,
prowadzi zajęcia z trudną młodzieżą
i samotnymi matkami, zrobiła prawo
jazdy, kupiła motocykl, jak nie może
zasnąć, jeździ bezpłatną autostradą
do Warszawy i z powrotem;
wbrew pogłoskom Janusz Drzewucki
nie został rybakim w Nazaré, był

[nim zresztą

nim zresztą w poprzednim wcieleniu,
dwa razy nie wchodzi się do tej samej
rzeki, nie pracuje w banku w Lizbonie,
ani w księgarni w Porto, na czym mu
bardzo zależało, ani w bibliotece
w Coimbrze, przez długie lata
najczęściej można go było spotkać
przy Wiejskiej w Warszawie, często
wpadał na kawę do Czytelnika,
ostatnio widziano go w Berdyczowie,
niestety, nie ma konta na Facebooku,
nie wystawia zdjęć na Instagramie,
nie wypowiada się na Twitterze,
ale piszcie do niego, jeśli naprawdę
musicie, odpowiada na wszystkie listy.

Janusz Drzewucki



Wiersze pochodzą ze zbioru „Rzeki Portugalii”, Biblioteka „Toposu”, tom 122, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2016, ss. 80, format: 140 x 210 mm, ISBN 978-83-61002-71-0. Jest to tom poezji, na który składają się wiersze powstałe podczas podróży do Portugalii i po Portugalii, ale również po Polsce; ponadto utwory zainspirowane wspomnieniami z dzieciństwa i młodości, a także muzyką jazzową i bluesową. W książce pomieszczono również teksty, których bohaterami są przyjaciele autora, poeci: Krzysztof Karasek, Bohdan Zadura, Jerzy Górzński, Adam Ziemianin, Adam Zagajewski. Obok utworów rozbudowanych pod względem formalnym, opisowych i narracyjnych, utwory krótkie, utrzymane w poetyce fragmentu lub aforyzmu. Za poprzedni zbiór wierszy „Dwanaście dni” (2013) autor został uhonorowany Nagrodą im. Cypriana Kamila Norwida.

Leszek Engelking

Z nowych wierszy

* * *

Czas coraz głośniejszy w mojej głowie szumi.
Szum wszystkie dźwięki osłabia i tłumi.

Noc kanonadą gwiazd bezgłośnie huczy.
Śmierć się po ziemi po omacku włóczy.

Już świt jak fala nadyma się, wzbiera.
I nim rozbłyśnie, jeszcze ktoś umiera.

* * *

Koło przystanku
tablice reklamowe aż czterech zakładów pogrzebowych
– właściwie trzech zakładów i jednego studia.
Ach, to zamiłowanie do antyku:
Hades, Persefona, Cerber i Styks –
pan i pani na spacerze z psem nad rzeką.
„Spełnimy każde twoje życzenie” –
to już chyba jakaś inna firma,
czyżby Elizjum?
Konkurencyjne ceny.
Kompleksowe usługi.
Dysponujemy własnym krematorium.
Możliwość rozłożenia płatności na raty.
Czynne 24 godziny.
Wyobrażam to sobie:
romantyczny pogrzeb dla dwojga
przy nastrojowych świecach
albo zniczach.
Noc, najelegantszy cmentarz w mieście, chybotliwe płomyki.
Orkiestra cygańska gra „Oczy czornyje”,
łkają skrzypki.

Zabawa

Dzieci bawią się w sąd ostateczny.
Prawie całe podwórko
To, okazuje się, potępieni,
Tak jest najzabawniej.
Tylko paru służalców,
podlizuchów i sykofantów
przechodzi na prawą stronę
i nudzi się w przedsionku raju
piekielnie.
Fajniej być czortem.
Radosne diabły,
choć niby też skazane na otchłań,
szturchają i kopią potępieńców,
plują na nich i wrzeszczą.
Ileż przyjemności
w zadawaniu wiecznych mąk.
Śmiechom nie ma końca.

Kaszana

Ulicą idzie ślepa kiszka,
maca przed sobą białą laską.
Jakiś chirurg ją wyciął,
a przy okazji nam niezły numer.
Wali tą swoją łagą na oślepa.
Będą zabici i ranni
wśród policjantów
i przypadkowych przechodniów,
by nie wspomnieć o flanerach.
Jednym słowem
kicha.
No przecież mówię:
kaszana.

Leszek Engelking

Danuta Gałęcka-Krajewska

Nieprawda

To pytanie więźnie w gardle
wbijając dźwięk skąd przyszedł
Więc skąd?
Może z kanionu ciszy w Colorado
gdy uchylając sprężynę ciała
przed świstem zgłodniałych strzał
uciekał w okowach strachu
na przeciwległy kraniec Ziemi
lecz tam czekali już
po zęby uzbrojeni
Czterej Jeźdźcy Apokalipsy
których dziki wzrok
już na zawsze
przywarł do niedomytej szyby tego świata
by pod pozorem nadziei przetrwania
owiewać wyschnięty język pustyni
skłębionym wichrem bezprawia
i w przyczajeniu czekać
na następne żniwa odwagi
biorąc ogłuszający dźwięk syren
za rodzaj pytania
o jądro prawdy
o przyczynę każdej prawdy
nawet wyssanej z drżącego Palca Opatrzności

Panta jednak rhei

Rozgałęzione historie stadnego życia
zamknięte ciągi narodzin i zgonów
nadal ruchome szeregi dat
włokące jednostkowe zawirowania
przez kamuflaż dziejów

[Zapomniane protony]

Zapomniane protony Wszechświata
Odległe w czasie i przestrzeni
rozdygotane prześwity wspomnień
i wyblakłe zapisy rodzinnych koligacji
przywracane falującej rzeczywistości
mocą nieustraszonych tropicieli genealogii
Owe fragmenty istnień
spisane wybiórczo
na płytach nagrobnych
otulone jednostajnym szumem
ściszonych głosów
Kroniki jedności w nadziei
i odległości w bólu
utrwalone na owalnych fotkach
pod wytartym stemplem uśmiechów
("Czy ładnie wyszłam?" – pytała figlarnie stara szatniarka)
Opowieści rozsypane
w aksamitnych albumach
w kolorze
lub bez
z pominięciem wstydliwych tajemnic
zagubionych losowo
w chłodnych zaułkach młodości
Niezbędne od zawsze
niepotrzebne od wczoraj
Ledwie dostrzegalne
w zakurzonych fałdach
zstępującej pamięci

Pozorny spokój frazy

Trzeba umieć wydobyć się z wiersza
otrząść pióra z metafor
wznieść się ponad wadliwy metabolizm
niedopowiedzeń składni
i dotknąć krat zardzewiałej mowy
tak mocno

by pękła powłoka zalęknionej frazy
by wyszły na jaw
wady fabryczne snów o sile wyrazu
ukryte przezornie w fałdach
bezgłośnej zmowy przypadkowych znaczeń
i żądań wczorajszego dziecka
Póki co lepiej oddalać
bezterminowe roszczenia
czasów zaprzyszłych
Gdy nie ma winnych
braku drogowskazów
zostają tylko skreśleni
z katalogu pobliskich ulic
I tak w atmosferze niepewności
upływa kolejny dzień
poszukiwaczy odrębnego słowa

Danuta Gątecka-Krajewska

Sylwia Gibaszek

Klif orłowski

wody lyk
tyk

czas powoli osypuje się
lyk tyk kamyk igliwie
łuszczy się brązowa skóra
kruszy się żyłka po żyłce

trzask

klif gubi swe ciało a czas materii nabiera
jak w białą koszulę w morską pianę się obleka

przepływ odpływ

wirują fale jak spienione mleko w garnku
przyływ odpływ
odpływają drzewa głązy narzutowe
w wielkim tyglu topią się kutry i przystanie

przyływ
nic tu po nas
W Hadesie też ochlapią nas fale

Niežnośny ciężar bytu

byt drogi Parmenidesie nie jest
niebyt też nie jest tylko sący się ciszą
byt niesilny stalowy silnik przegrzany
nasilają się opady decybeli
pneumatyczne opary
skrapla się smoła olej silnikowy

nad miastem bez pneumy
na zatłoczonych ulicach
krztuszą się ludzie bezduszni
pełni ciężkiej materii
niewydolni wykrztuśni
może gdzieś jest materia prima
może w przedświtach
ktoś Arystotelesa czyta
za korkami i smogami
za tysiącami betonowych dżungli
nie ma androidów ani ich łowców
nie ma korpolutków
jak w cywilizowanych baśniach
dla małych dorosłych
dzieci jak pisklaki w pierze obrosły
pytają mamy co to bytu bytu
bytować egze egze
egzegeza egzema synteza
egzystować
ecie pecie gdzie
quo vadis homo ludens
już język między słowami
za górami za religiami
czas rozplątać
el eliyahu
allahu
amen

Eugeniusz Kasjanowicz

William Shakespeare

Jakie szczęście miało Stratford
że przyszedł tutaj
nieskończony sen
ta jedna gwiazda
która zabłysła niespodziewanie
i nie spadła o świcie
Sofokles i Wergili
stanęli z otwartymi ustami
kiedy rodził się nowy dramat
Rzeka Avon płynęła
nic nie przeczuwając
nagle ruszyła z rozwianą grzywą
porywając ludzi
Jakie szczęście
mieli Romeo i Julia
że uchroniłeś ich
od nieszczęścia zapomnienia
zamieniając w kamienie
żarzące się nieprzerwanie
od których czasem
zapala się płomieniem
jakiś nowy William
a ty zapisany jesteś
w Wielkiej Księdze
Jakie szczęście ma człowiek
że otworzyłeś
do dna
człowieka

William Shakespeare

How lucky was Stratford-on-Avon
that the endless dream here
that one and only star which shone up unexpectedly
and didn't fall down in the morning
Ovid and Virgil came to a stop with their mouths open –
when his new drama was being born
the Avon was flowing foreboding nothing it suddenly
rushed with its mane flying
snatching people
How lucky Romeo and Juliet were that
you preserved them from the misery of oblivion
changing them into glowing continuously
from which a new William
sometimes burns with a flame
when you are put down in the Great Book
How lucky is a man
that you have opened him
to the dregs

Eugeniusz Kasjanowicz
 *tłum. Zbigniew Lisowski **

* Prof. Zbigniew Lisowski, poeta, absolwent m.in. University of Oxford.

Andrzej Tadeusz Kijowski

Franciszek Lacki

Preludium

Proszę o szczególną ochronę.
Wypalam trawę i płonę.
Gdzieś między Ołtarzami Gołaczami,
Kosowem Lackim,
A rozstrzelaną Sterdynią
Obłoki płyną.

Obłoki krzyże kreślą odrzutowe
Na niebie, które nas wezwać gotowe.
Gdzie wokół Toledo wije się Tag,
Gdzie Franciszka Stygmaty,
Gdzie skręca Bug,
Gdzie Ród Ossolińskich bogaty.

Mam warstwy. Nadaję się na studium.
A to dopiero preludium.
Jestem jak strefa, ostoja, jak zalew.
Wiem próżne zale.

Vanitas

Zaczyna się opera. El Greco dzieła.
Skąd tu przybyłeś Franciszku
I w wersji której?
Czy Cię tu wojny przygnały, ponure?
Czy Cię szwoleżer Krasieński
Z Hiszpanii zabierał?

Jaki ptak, jaki kos u stóp czaszkę złożył?
Barwy przeoblekał
Spalonych w Treblince,
Pepeszami rozstrzelanych w zbożu

Jak soltysa – Myszkę Józefa.

Lachy. Rusy. Nasza wiara.
Granice. Miasta po powstaniu
We wsie zmienione przez Cara.

Stygmaty

A tyś na to wszystko patrzył
Przez cztery stulecia z plebanii,
A wokół ludzie zwyczajni. Tacy zwyczajni.
Jak ciemny obraz przez muchy
Niszczony przez lata.
Nie z tego świata.

Odszedłeś w zapomnienie mówią.
Malarza – nieznane nazwisko.
Świątemu kłaniali się nisko.
Dla większej chwały Boga
On robił wszystko.

Rozświeślał jak Caravaggio,
Jak zmartwychwstały
De la Tour z Mozeli –
Gdyby nie ten niemiecki porucznik
Hermann Voss i wojna,
O nim by też zapomnieli.

Dziś w diecezjalnym muzeum ogląda Cię wielu.
Opowiadają legendy o formie, o stylu,
O prekursorstwie, o późnym odkryciu.
W życiu!

Jesteśmy jak stacja,
Jak rezerwat, jak ptak.
Na granicy imperiów
Gdzie mieni się świat.

[Przyszedeś

Przyszedeś za Napoleonem?
Czy Rzeczpospolitą Obojga Narodów
Masz jeszcze w pamięci?
Oni tylko do walki, do czaszki.
Do grobów.

Marni
Choć święci.

Ekstaza

A tutaj Izabella Galicka i Hanna Sygietyńska.
Uniesione Panie.
I koślawą Polska i duma, drwiny.
I zawiść. I zamieszanie.
Księdza proboszcza – szlachetny testament.

A Ty? – Badają dotyk pędzla,
Że jakaś w rogu skaza.
Barwy nieba. Nędza.
Ty nie wiesz co to obraz.
Lecz znasz co świętych obraza.

I stałeś się jako park krajobrazowy
W rezerwacie
Pośród biskupiego miasta.
Smugi wokół głowy.
Obłoki jak krzyże.
Modlitwy powolne. Wzloty chyże.

Czaszki u naszych stóp.
Krew broczy jak rzeka wierna.
W chmurach bitewny huk.
Grzmi Stoczek, dudni Samosierra.

Ptasie powietrze.
Ogień wiary.
Chrzcielna woda.

Coda

Znikąd ochrony, niepewna strefa
 I kosów nurskich ostoja.
 Twoje ręce i nogi przeklute.
 Drutem.
 Pięknoduchom – za pokutę.

Ślad brzozy na niebie,
 A bobry płyną brzegiem.
 I klębią się chmury i opadają mgły.

Zlatują lackie ptaszki św. Franciszka.
 W modlitwie wznosimy się my.
 Krew z rąk i nóg Twych tryska w strugach.
 Do Buga.

Ołtarze Gołaczę 2014

Pasja Wielkanocna

Tak, mam wrażenie z krzyż niosę.
 Krzyż dziwnie lekki, nad pojęcie.
 Niebo z mych powiek zmywa rosę.
 Gdy trwam – w uporze, w tańcu, w święcie.

Tak, już złamali mi kolana.
 Nie zegnę ich, to nad me siły.
 Duma i godność nieskalana.
 Nikomu z tym nie będę miły.

Tak, zęby gubię, dziaśła ściskam.
 Tak, to jest Pasja – oczywista!

Wielkanoc 2006

Raj bez Ewy

Po wygnaniu Ewy
Pan Bóg poczuł się
jak w raju
Węża też diabli wzięli
Za morza, za lasy

Przed nim długie cztery tysiące lat
Nawet pięć
Aż pojawi się Anzelm
Będzie można
Wywodzić spór
O UNIWERSALIA.

Tymczasem Pan Bóg
Antropomorfizuje
Sprowadza
coś
ponad co nic większego nie może być pomyślane:

Do obrazu Ewy
I jabłka
I startej głowy węża

Wilga 2013

Andrzej Tadeusz Kijowski

Alicja Patey-Grabowska

Zmartwychpowstali z katyńskiej ziemi

Pamięci Ojca

Skargi
potrząsające struny drzew
echem jak świder
rozłupujący korzeń

Szepty
modlitw dzieci i wdów
o zmiłowanie
o wybaczenie
myśli o pomście

I skargi chorałem
przebiły niebo
aż Miłosierdzie wzniosło
Dłoń

Stanęli w szeregu
ZMARTWYCHPOWSTALI
z ziemi
jak z księgi

Słowo
stało się ciałem

Miotła Historii

Miotła Historii
zagarnia śmieci
które za moment
rozzruci wiatr

[Na cztery strony]

Na cztery strony
w cztery strony świata
Miotła Historii

A może bat?

W mętnej wodzie

W mętnej wodzie
podtopione schody
rozmyty ślad
stóp

W mętnej wodzie
nie wzbije się orzeł
Tylko gad
który przypiał
orle skrzydła

luty 2016

Głuchy śmiech

Może nam dane
kilka wieków później
Może nam dane
kilka wieków wstecz
nagle olśnienie

Teraz szukamy siebie
po przekątnej życia
Jak w ciuciubabkę
z oczami w przepasce
chwytny w ramiona
głuchy śmiech

Alicja Patey-Grabowska

Barbara Rosiek

* * *

mogło być inaczej
nie pamiętam już
dlaczego piszę
swoje niechciane życie
inni mnie potępiają
inni wielbią
kolejne samobójstwo
nikt nie zna
regul chorej
przestrzeni egzystencji
pokochać
– to wszystko
– to też warto

* * *

wierna zasadom
że wygram ten bój
o świecie
urojonych marzeń
zwykła rzecz
nienawidzić i kochać
jednocześnie
przez łzy potępionych
i śmiech szyderców
odrodzić się z popiołów
dlaczego wciąż
ciebie tu nie ma?

* * *

In my age
memory is not good
a jednak

[ciebie

ciebie zapamiętałam
oprawcę mego istnienia
nie przejmowałeś się piekłem
które dla mnie stworzyłeś
zabijać
w człowieku sens istnienia?
zbrodnia doskonała

* * *

dla Michała Jagiełły

pragnę
obudzić się jutro
tak zwyczajnie
przekląć świat
że znowu tu jestem
iść z psem na spacer
napisać wiersz
umieram przyjacielu
w głuszy tego
poranka
dawką narkotyku
chwila ekstazy
i... już NIC

Barbara Rosiek

Wiersze napisane zostały dnia 6 lutego 2016 roku (ostateczna wersja)

Konrad Sutarski

Apokalipsa dni dzisiejszych

Apokalipsa miała być dniem ostatecznym
 wichrów pełnym trzęsień ziemi wybuchów wulkanów
 zaćmień wszystkich słońc świata mgławic i kosmosu
 w nich prześmigów aniołów przerażonych demonów
 dniem grozy i nadziei od której rzeki zaniemówią i zapomną płynąć
 miał nastać mrok ciężki aż wilk zając i sowa drzeć zaczął jednak
 gdy przybędą zastępy jeźdźców
 księgi pieczęci zostaną otwarte
 i smok się pojawi choć zrzucony będzie
 wreszcie tron miał zajaśnieć o jakże wysoko
 i sąd się rozpocząć sąd prawdziwy nad nami

Tymczasem nadciąga szarańczę
 niekończących się tłumów
 ludzi obdartych zszarzałych
 ciągnących z zza mórz z wyniszczanych zaświatów
 Żadnych grzmotów tu nie słyhać ani tąpnięć ziemi
 nawet gwiazdy nie spadają
 piołun wód nie zakaża
 tylko cisza zimna i głucha wokół się roztacza
 drzewa stoją oniemiale
 nagie ramiona w rozpacz wznoszą
 a tłumy gęstniejąc nadchodzą

Już są wokół nas
 pod gardło podchodzą
 w nas się rozpuszczają
 obcych bogów przynosząc
 naszą ziemię i wiarę tabunami stóp swoich tratuja

Kto ich tutaj przypędza
 rajem jabłkiem mądrości tak nęcąc
 a z tyłu w nich strzela

[ich opuszczone

ich opuszczone domy rodzinne burzy i spopiela

Jakiż to moloch pelen broni i złota
żądny władzy nad światem on to zamiast Boga
prowadzi ich tutaj agresją zaraża
chcąc przemieszać kultury języki
aby miejsca tu w końcu zabrakło
dla przeszłości tej ziemi
dla rodzonych z niej wnuków

2015

Świat na nowo

Ile razy Bóg będzie skłonny świat na nowo stwarzać
kłamstwa i bezprawie w ziemię zakopywać
ludzkie okrucieństwa na stos rzucać spalać
aby na tym nawozie co ze stosu czy też w ziemi
na ruinach dawnych epok jak Sumeru oraz Rzymu
znów wykluła się pszenica maki zajaśniały

Każda wiosna daje przykład
że to wciąż możliwe
kiedy śniegi już stopniały
ziemia świeżo pachnie
wiatr wici nadziei po niebie roznosi
dzikie gęsi w szarych kluczach znowu powracają

Zanim jednak świt nastanie
pewnie szeptem świat ten stary
wszak już pędzą barbarzyńcy tłumnie tabunami
z nimi terror i zamachy
no i głów ścinanie
aby było dosyć miejsca dla kultury nowej wiary
oni pola już trują
drzewom milknąć każą
więc wichury się zrywają

noc długa nastaje
a w niej luno za lunami
księżyc z krzyżem walczy

Kto zwycięży
czyje prawo
nawet wróżbiarz tego nie wie
tylko pies i wilk lby wznoszą
przeżalone i ku niebu wyją

2015-2016

Agnieszka Syska

pożądamy twoich stóp

stoisz na piętach
palach

baal szem tow unosi się jak nad wodami
potopu

krzny
na krznie

na palcach
dom

na palcach

mgły zawiane mgły
unoszą się

nad łakami wylewa rzeka potop

między rzekami

potop

kruki nad wodami
szukają linii
lasu

las pogorzał

las rąk unosi się nad wodami

pogorzał
maggidzie

zejdź niżej
pożądamy twoich stóp
ziemi

toniemy płoniemy toniemy

ziemi

pod lasem
międzyrzec

kruków jak dusz

kruki przyleciały dusze odleciały kruki przyleciały

międzyrzec

ustami

dotykamy linii wody

każ do gęsi
jak do cytr i harf

budźcie ich jak jutrzeńkę

do gęsi

ustami

przebłagasz potop
w międzyrzeczu podlaskim

jak ogień

potop

a dom stoi

[jak stała matka

jak stała matka baal szem towa

senny żywy senny próg
stoi

drzwi

machają skrzydlami

jakby tow wlatywał i wylatywał

skrzydlami

Agnieszka Syska

Jerzy Śleszyński

Nie umiem

Nie umiem rozmawiać z poetami

ostatnio czytałem Tadeusza Dąbrowskiego
i miałem wrażenie że rozmawiamy
więc jednak można

poza tym zdarzeniem może jeszcze
Urszula Koziol w starodawnych ramach
machająca do mnie białą chusteczką

książka czasopismo gazeta
częstują mnie słowem wiązonym
ale nie ma rozmowy

alfa jest profesjonalistą
kilka filologii i recenzje na zawołanie
pudélko po czekoladkach wypełnione nagrodami

beta miewa odloty
pisze wtedy rzeczy tak głębokie że sam ich nie rozumie
tonie w obsesjach powracających jak stary wiarus

delta chwali nowoczesność
słowa nie mogą być tylko słowami
nic nie znaczą i nie mogą mieć znaczenia i o to chodzi

gamma celebrytuje piękno
tu profil Nefretete tam obraz Mondriana
że wół do karety nieważne byle wół piękny i kareta piękna

nie umiem rozmawiać z poetami

alfa mówi że stypendium i nowy tom

[beta mówi

beta mówi sam do siebie i na dodatek cicho
delta wiersz biały zamienia w pepitkę
gamma mówi zdobiąc samogłoski i siebie

a ja milknę

Hans Mayer

1.

Zapadło mi w pamięć
zdanie duszące jak refluks
„kacety przeżyli
nie ci co powinni”

przez tyle lat Jean Améry mocował się
sam ze sobą
żeby wreszcie wszystkim wymierzyć karę
swoim samobójstwem

2.

Poeci lubią dramatyzować
wybrany Herbert pytał w wierszu
„czy nie było lepszych?”
odpowiedź wydawała się zbyt cicha

wchodzący do piekła kacetu zadawał pytanie
„czy nie było gorszych?”
kto przeżył znalazł wszystkie odpowiedzi
taka wiedza zabija aż do śmierci

Jerzy Śleszyński

Bogdan Świecimski

(fragmenty przygotowywanego do druku tomiku Hulaj dusza)

Hulaj dusza

Hulaj dusza
piekła nie ma
a Bóg zapadł w śpiączkę
i nie wiadomo kiedy i czy się obudzi

Po stronie zła

Nie ma Boga
nikt go nie widział
a Chrystus był tylko prorokiem
– głosił w młodości

Bóg jest musi być
potrzebujemy Go
jak kania dżdżu
– głosi teraz

i modląc się do Niego
z niepokojem spogląda na wnuki
bo zamiast starych bajek
którymi matka utulała go do snu
wołą w świecie wirtualnym
śledzić losy Harrego Pottera
lub walkę dobra ze złem
coraz częściej stając po stronie zła
choć nie pozwala im zasnąć
lub wrywa ze snu trupami poległych
o zmasakrowanych twarzach
i pustych oczodołach bez dna

W poszukiwaniu Boga

zdąża ku niemu
lecz nie znając jego dróg i postaci
nie wie
czy go odnajdzie i rozpozna

potrzebuje przewodnika
wybrał Chrystusa
bo kto bardziej niż syn zna ojca
kto więcej niż on
wycierpiał
dla niego i dla nas

Miłość Boga

Bóg wszystkich synku kocha
mówiła natka
ale nie zawsze
i nie dla każdego ma czas
musi pomyśleć o innych
co na niego czekają
i dla siebie musi znaleźć czas
żeby się zdrzemnąć
odpocząć nabrać sił
tyle ma przecież roboty
tyle synku roboty

* * *

wyzute z imion kwiaty
mrą jak opadłe liście
i zmieszane z błotem
po zdyszanych tłumach
zdążających w stronę
mieniającego się w słońcu złota
– są odwożone do kompostowni
a ziemia po nich pokrywana asfaltem
ku zadowoleniu wypasionych bryk

i ich właścicieli
 pragnących szybciej od innych
 pokłonić się rosnącemu w potęgę Mammonowi
 i tajnym służbom szatana

Lot

Bóg był jest i będzie
 w niebie i wszędzie
 powiedział wziął LSD
 i z rozpostartymi ramionami
 poszybował w stronę nieba
 ale nie doleciał daleko
 przyciągnęła go ziemia
 i jego lot zakończył się
 nie u stóp Boga
 lecz u stóp wieżowca

W poszukiwaniu Boga

w poszukiwaniu Boga
 zdaj się na przewodnika
 najlepiej tego co sprawdził się na krzyżu
 jego nauk posłuchaj
 i rób co ci poradzi
 inaczej czeka cię los Ikara
 bądź Syzyfa

* * *

niedawno mnie odwiedziła
 i zaprzyjaźniona ze mną
 zwyczajnie spytała
 czy już
 a ja milczałem
 bo co miałem powiedzieć
 skoro coraz bardziej doskwiera mi życie
 ale i coraz większy czuję strach

[jak dłużej]

jak dłużej nie będę mógł
wyszeptalem wreszcie
sam cię zawołam

Sława

co mi po sławie
skoro w kościach coraz mniej wapna
i w żyłach coraz gęstsza krew
coraz wolniej płynie
a ona popatruje na mnie z ukosa
i chce abym jej dał więcej siebie

* * *

Gdy umarł ojciec
nie płakałem
gdy umarł przyjaciel
nie płakałem
lecz gdy umarła matka
wciąż wyciskam łzy
z chusteczek i z prześcieradeł
a wylałem ich tyle
że nie wiem
czy jeszcze jakieś zostały

Bogdan Świecimski

Kazimierz Świągocki

Więc czymże jestem?

Więc czymże jestem, z jakich idę krajów,
jakie mnie drogi do kogo prowadzą?
Widzę, jak we mnie przeszłość wciąż powstaje,
kamień i światło o ciało się wadzą.

Czy jednak duszę czas także pochłonie
tak jak ocean mioceniński rozgwieżdżę?

Przybyłem po to jedynie, by imię
swe wziąć od ziemi i rozbić o gwiazdy?

ok. 1968

Śniący się motylom

Prawie że zmyślony, śniący się motylom,
nie znany gwiazdom, niepotrzebny drzewom –
nie byłem i nie będę. Jestem może chwilą,
szyderstwem Lucyfera, Boga ciemnym śpiewem.

A jednak szukam rdzenia i pierwszego ziarna,
które, zanim powstałem, wpięrow we mnie umarło.
Odwijam się jak rulon wypełniony pismem
i czytam swoje dzieje ryte w świętym słowie.
Ja – punkt nieskończoności, co na moment błysnął,
przez nieskończoność gasnę w ciemnej jak śmierć mowie.

ok. 1990

Cogito

*Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?
Nic jest przecież prostsze i łatwiejsze niż coś.
G. W. Leibniz, Zasady natury i łaski*

Jeszcze nie było znaku ani światła,
wymiarów ciszy, ani ciszy przyczyn.
Na swą tożsamość nawinięte koła
drzemały. Święte trójkąty były niczym.
Punkt słońca jeszcze nigdzie nie przemierzał
gąszczy geometrii nieeuklidesowych.
Rzeczy nie było, lecz ich zaprzeczenia
tworzyły próżni obudowę.

I tylko było NIE ogromne całe
nad sobą, w sobie i z sobą pomiędzy,
i rosło wszędzie, wewnątrz się schylało,
rzedło, wietrzało coraz szerzej, prędzej.

Aż się rozpierzchnęło po sobie i zrzekło
jedynowładztwa do trwania w negacji;
aż zaprzeczyło sobie ogromnemu
sobą jedynym i sobą zniknionym.

I ze środka Nicości jak ze słów Niemego
wyszło Konieczne i szło po trójkątach.
Podeszło do mnie: jesteś alter ego.
Myślisz, więc jesteś. Czemu się oglądasz?

I z ogromniałem nagle po tych słowach.
Nie byłem. Jestem. Znów schylałam się w nicość.
Słucham i słyszę: czy to duch Jehowy
do mnie przemawia, czy się we mnie śni coś?

I oto widzę, jak rośnie Konieczne
i jak otwiera się środek Niemego.
Wiatr z gór Nicości wieje w moje wnętrze,
łamie się Drzewo Dobrego i Złego.

1967, 1984

Koło

Ten ogień, co mnie trawi, ze mnie wziął początek.
Kto więc po mnie go przejmie, gdy będę umierał
i dróg mych krzywe biegi zatrzasną się w koło,
by zaokrąglić dzieje aż do zera?

Jeżeli ogień ze mnie, to jestem początkiem,
jeżeli zaś do mnie – jestem też granicą.
Czy nigdy ze swych brzegów wystąpić nie zdołam?
A koło co mnie toczy, nie jestże spiralą?

Kiedy ogień strawi moje wszystkie drogi
i już gwiazd nikt nie będzie po mnie umiał zdmuchnąć,
Bóg oczom wtedy zniknie, a ja w pustce po nim
zostawię swe ognisko, niech się próżnia stopi.

Gdy nadejdzie czas końca, odemkną się koła
i wszystko, co zawarte, będzie otworzone.
Kto wtedy wzrok mi odda, kto zawróci Boga,
który skacząc po górach odchodził mnie co dzień?
I kto me ciało zmieni w jego święty ogień?

1966

Powrót do koła

Wrócić do ciebie i w twym cieniu
zamieszkać dobroczynnym – koło,
to tak jak matki mleko ssać
i ciszę domu.

Powrócić deszczem w obieg wody
i wody niestałość –
to światłem nalać wzroku smukły dzban
po mądrość ciemną.

O, bo do blasków ziemi droga
przez ciemne sny prowadzi;
truchleje śmiałkom słuch,

by w niesłyszalną idąc przestrzeń
nie zlekli się odgłosu stóp,
ni kropel deszczu.

Niech przeto w smutną mądrość lat
krew i sól niosą,
gdzie dobroć światła błyszczy blado
dojrzałym kłosem.

O, bo nie z tego świata głos
jest głosem gwiazdy i harmonii;
bo nie wiesz idąc głucho w los,
skąd mądrość koła dzwoni.

ok. 1970

Przymierze z czasem

On rzeką we mnie, a ja w nim brzegami.
Idziemy wiecznie na śmierć i na jedność,
brzezi się schodzą, my się oddalamy.

A kiedy już mój stos ciała zapłonie
na górze ciszy, w ziemi Abrahama,
czas mnie uniesie w swoich czułych dłoniach
tam, gdzie wciąż bije godzina ta sama
ziemi i niebu jadącemu kołem.

1966; 1984

Kazimierz Świądecki

Wiersze pochodzą z tomu utworów zebranych pt. „Kamień i czas”, Łódź 2014.

Marek Ławrynowicz

Mundur

(fragment powieści, która ukaże się jesienią 2016)

Staliśmy na placu apelowym, zastanawiając się, jak przeżyć kolejny koszarowy dzień, gdy na chodniku obok Biura Przepustek pojawił się dziwny osobnik. Był ubrany w mundur podporucznika, ale na nogach miał wyraźnie za duże żółte trampki, a na głowie czerwoną, spiczastą czapkę z białym pomponem, jaką nosili w tamtych czasach i nadal noszą święci Mikołajowie. Gapiiliśmy się na niego zdumieni, aż zbliżył się na tyle, że mogliśmy go rozpoznać. To był doktor.

- Cholera jasna – rzekł Palyga. – Następny wariat.
- On chyba chce po prostu wydostać się z woja – powiedział Karolek.
- Przecież wpakują go do psychiatryka – zaoponował Cybulski.
- Jest lekarzem. Nie posiedzi tam długo – powiedziałem.

Następne dni przyniosły kolejne wyczyny doktora. Wszystkich pacjentów podzielił na Hitlerów i Stalinów. Jedni i drudzy byli ponumerowani. Doktor mówił: Stalin siódmy na zastrzyk i od razu było wiadomo, o kogo chodzi. Ponieważ trampek mu było mało, zaczął chodzić w jednym trampku i jednym bucie ogólnowojskowym. Na głowie doktora pojawił się kaszkiet, a największą sensację wywołał, przychodząc do koszar w mundurze przepasanym cienkim, damskim paseczkiem i z damską torebką zamiast raportówki. Trepy udały się do dowódcy pułku i zażądały, żeby coś z doktorem zrobił, ale major odmówił.

– A skąd ja wezmę potem nowego lekarza? – rzekł. – A aspirynę żołnierzom zapisuje?

- Aspirynę zapisuje – potwierdziły trepy.
- No, to póki zapisuje, to niech robi, co chce, a ja nie chcę o niczym słyszeć.

Karolek obserwował doktora i coraz bardziej był przekonany, że pułkowy lekarz jest całkowicie normalny. W końcu postanowił, że wybierzemy się do niego obaj i pogadamy o Trzeciaku.

Poczekaliśmy, aż doktor będzie miał popołudniowy dyżur, i poszliśmy do izby chorych.

– Panie doktorze – powiedział Karolek, celowo nie używając określenia „obywatelu porucznika” i innych wojskowych głupot. – Mamy problem.

- Nic mnie to nie obchodzi – rzekł wesoło doktor.

Załóżyl nogę na nogę i zaczął nam machać przed nosem trampkiem pomalowanym w jaskraworóżowe paski.

- Tu chodzi o życie ludzkie.

– Nie zostało udowodnione, że istnienie ludzkości wnosi coś pozytywnego do życia naszej planety. Raczej przeciwnie.

– Panie doktorze – przejąłem inicjatywę. – Jest pan poetą i humanistą.

– Jestem osobą ludzką – stwierdził doktor – która nie może się wydostać z jednostki wojskowej w Opolu.

– Uratowaliśmy panu życie. Co prawda przypadkiem, ale jednak.

– Nie jestem pewien, czy to było konieczne.

– No, dobra – wkurzył się Karolek. – Dostyc tych głupot. Słuchaj. Naszemu koledze Trzeciakowi kompletnie odpalantowało.

– Będzie weselej – powiedział doktor.

– Nie będzie. On się zajmuje pułkowym magazynem broni. Wiesz, co się stało w jednostce 274 25?

– Coś słyszałem.

– Szeregowiec wylazł na dach budynku. Miał ze sobą ręczny karabin maszynowy Diegtiariewa i cztery talerze z nabojami, czyli prawie dwieście sztuk. Była piąta po południu, słońce już tak nie paliło, na dachu było przyjemnie i przewiewnie. Ułożył się na plecach i gapił w niebo. Nawet się trochę opalił. Potem pododdziały zaczęły się schodzić na wieczorny apel. Szły z pieśnią na ustach, a nasz szeregowiec, leżąc już na brzuchu, szykował Diegtiariewa. Kiedy dowódca pułku wydał rozkaz „baczność”, puścił długą serię. Szybkostrzelność Diegtiariewa to 600 strzałów na minutę, więc możesz sobie wyobrazić, jak to szybko szło. Zalał drugi talerz i wpakował 49 pocisków w spanikowaną, bezładną masę. Na tym szczęśliwie poprzestał. Zabił 38 osób w tym dowódcę pułku. Rannych nikt nie liczył. Potem grupa żołnierzy usiłowała się dostać do niego na dach. Zabił jeszcze sześciu, nim go załatwili. Tak to było, doktoru.

– O co wam chodzi? – spytał doktor, patrząc na nas szeroko otwartymi oczami.

– Tamten chłopak miał tylko jeden rkm, który rąbnął z magazynu i cztery talerze naboji. Trzeciak może mieć wszystko: działka bezodrzutowe, granatniki, miny różnego rodzaju, także dowolną ilość trotylu w kostkach, rzecz jasna z zapalnikami. Masz pojęcie, co się może stać, jeśli sobie wymyśli coś głupiego.

Doktor milczał przez dłuższą chwilę.

– Czego on chce?

– Tego samego, co ty. Natychmiast się stąd wydostać.

– Ile ma do cywila?

– 129 dni.

– Tylko? Nie da rady wytrzymać?

– Mówi, że ani dnia dłużej.

Doktor znów się zamyślił.

– Czy on ma ten... jak wy nazywacie... ten centymetr krawiecki.

– Metr? Pewnie, że ma.

– No, to go namówcie, żeby mierzył. Bez przerwy. Od rana do wieczora. Nie zrozumieliśmy, o co mu chodzi.

– Ale konkretnie co ma mierzyć?

– Wszystko, co mu się nawinie. Im więcej osób będzie to widziało, tym lepiej. A potem przyprowadzicie go do mnie na izbę chorych.

Uściśniliśmy doktorowi serdecznie grąb i polecieliśmy pogadać z Trzeciakiem. Informacja, że ma mierzyć co popadnie, najpierw go oburzyła:

– Za idiotę mnie ma, czy jak?! Jeszcze nie zwariowałem! – oświadczył i odwrócił się twarzą do ściany.

– Doktor dobrze kombinuje – powiedział Karolek. – Jako czubek będziesz mógł stąd wyjść.

– Do żadnego psychiatryka nie dam się zamknąć – oświadczył Trzeciak.

– On cię nie chce tam zamknąć. – wyjaśniłem. – Chce, żebyś wyszedł, udając wariata.

– Dlaczego mieliby mnie puścić?

– Masz poważny argument – rzekł Karolek. – Klucze do magazynu, w którym jest tyle materiałów wybuchowych, że można całe koszary wysadzić w powietrze.

Trzeciak gapił się na Karolka jak wół na malowane wrota, a potem zrobił rzecz zaskakującą – uśmiechnął się. Pomyślałem, że może uśmiecha się, widząc oczyma duszy jak pól Opola wylatuje w powietrze, ale Karolek znalazł Trzeciaka lepiej niż ja. Świrus uśmiechał się, bo znalazł wyjście z sytuacji i dodatku bardzo mu się ono spodobało.

Następnego dnia, we wtorek Trzeciak odpiął metr od paska i zaczął mierzyć. Najpierw wysokość stopni schodów, szerokość okien, ogólnowojskowe łóżka, na których spaliśmy, i tym podobne. W środę rano porzucił jednak te banalne zajęcia, wszedł bez pukania i meldowania się do gabinetu Konia i zaczął go mierzyć. Dowódcę batalionu tak to zdumiało, że nawet się na niego nie wydarł, tylko obserwował Trzeciaka z niepokojem, a potem spytał Karolka:

– Co on robi?

– Mierzy obywatela kapitana – rzekł z niezmaconym spokojem Karolek.

– Dlaczego?

– On wszystko mierzy. Mnie mierzył już dwa razy.

Koń źle się czuł w roli mierzonego, ale ponieważ nie wiedział, co robić, cierpliwie poddawał się zabiegom Trzeciaka. Potem Trzeciak skończył, zapisał wyniki na wyciągniętej z kieszeni karteczce i poszedł sobie. Koń patrzył za nim wstrząśnięty.

– Kto jemu wydał rozkaz, żeby tego... znaczy mierzyć?

– Nie wiem, obywatelu kapitanie. Obawiam się, że nikt.

– Cholera jasna – rzekł Koń. – Czy on zwariował?

– Na to wygląda – powiedział Karolek. – Ale nie wiem, czy obywatelowi kapitanowi jest na rękę przyjęcie tego do wiadomości.

– Nie jest mi na rękę – rzekł Koń i obaj zajęli się czym innym.

Nie na długo jednak. Po godzinie wybuchła afera. Trzeciak poszedł do oficera dyżurnego i zaczął go mierzyć. Oficer kazał mu spierdalać, ale Trzeciak mierzył dalej. Wtedy oficer dyżurny kazał go wsadzić do paki. Trzeciak siedział w areszcie i mierzył tam wszystko, co się dało, zwłaszcza profosa. Wtedy odprowadzono go do izby chorych.

Po przeprowadzeniu szczegółowych badań doktor udał się w sprawie Trzeciaka do dowódcy pułku. Zabrał ze sobą Karolka.

– No i o co tu chodzi? – spytał major.

– Starszy szeregowiec Trzeciak zdecydowanie odbiega od normy – stwierdził doktor.

– Świrus?

– O, tak. I to zaawansowany.

– No to do czubków z nim.

– Sprawa nie jest taka prosta, obywatelu majorze – powiedział Karolek. – Trzeciak, zanim jeszcze całkiem ześwirował, przyznał mi się, że wyprowadził z magazynu broni siedem kałasznikowów, około tysiąca sztuk amunicji oraz dwadzieścia kilo trotylu razem z zapalnikami.

– Co?! Tym się zajmie prokurator! Gdzie ten kretyń to ma?!

– Nie wiadomo, obywatelu majorze – wyjaśnił z niewinną minką Karolek. – Zresztą w innej rozmowie twierdził, że nic takiego nie ma.

– To ma, czy nie ma, do cholery?!

– Biorąc pod uwagę jego stan psychiczny sadzę, że ma – rzekł doktor. – Ten rodzaj psychozy sprzyja gromadzeniu broni i materiałów wybuchowych.

– Kurwa mać! I co teraz?

– Sadzę – rzekł doktor – że dla dobra sprawy lepiej mu się nie sprzeciwiać. Nie doprowadzać do desperacji ani nadmiernego stresu, bo w przeciwnym razie... te dwadzieścia kilo trotylu...

– A co robić, żeby on nie popadł w tę... no... desperację?

– Sprawić, żeby rzeczywistość była mniej więcej zgodna z jego oczekiwaniami. Tak przynajmniej twierdzi współczesna psychologia – wyjaśnił doktor.

– Czego to bydlę oczekuje?

Doktor spojrzał na Karolka.

– Natychmiast wyjść do cywila – wypalił Karolek.

– Co?! Nigdy! Po moim trupie!

Major tak się rozeźlił, że doktorowi i Karolkowi nie pozostało nic innego, jak tylko opuścić jego gabinet. Szli przez plac apelowy i obaj byli zadowoleni. Wszystko wskazywało na to, że rzucone w ogólnowojskową głębę ziarenko wszędzie i przyniesie oczekiwany plon.

Marek Ławrynowicz

Piotr Müldner-Nieckowski**Nel caffè „The Fury”***(z cyklu „Jednym zdaniem”)*

Siedział przy wściekłym stoliku werandy wystawionej przez kawiarnię „The Fury” i pił kawę, czując, że podjęta tego dnia decyzja wsadzenia do kieszeni gotowego do strzału pistoletu ma znaczenie historyczne w tym sensie, że użycie go całkowicie zmieni jego życie, a w rozumieniu oficjalnym wręcz biografię, która jak dotąd niczym specjalnym nie wyróżniała się wśród osobniczych dziejów różnych postaci z jego otoczenia, a więc czując nie tylko ciężar broni, ale i jej wagę jako urządzenia, które dzięki rozprężającym się gazom pochodzącym ze spalania specjalnej mieszanki prochu bezdymnego potrafi z ogromną szybkością wyrzucić z siebie pocisk skierowany do określonego celu, przebić ten cel i rozwalić jakieś serce albo co znacznie ciekawsze, mózg, szczególnie ten, który myśli w sposób absolutnie nie do przyjęcia zwłaszcza w obecnych warunkach, kiedy chrzani się wszystko, co się dzieje wokół, w kraju, w stolicy, w gmachu parlamentu, dodajmy: polskiego, w zaciszu, pozornym zresztą, bo tam wrze, gabinetów szefów partii, ale i co tu dużo mówić, w domach, i to takich, które uchodzą za normalne, a które przecież – to jasne – normalne nie są, bo wiadomo, że nie ma już ludzi normalnych, więc i rodziny nie są takie, ale nie tylko one, gdyż są to często jakieś grupki niesformalizowane, które zachowują się jak spiskowcy, jak ludzie, którzy wierzą w sens tylko spisków, nie mówiąc już o tym, że takich spisków wcale nie trzeba wymyślać ani nazywać, bo one istnieją same z siebie, ot, po prostu siadają ludzie przy wódeczce albo i bez niej i zaczynają kombinować, układać jakieś początkowo nieistotne i luźne, nieskładne myśli, które mogą zmienić ten świat, na przykładzie jedzenia chleba bez pieczenia (najpierw zjeść siedem gramów drożdży, potem po trzydzieści gramów otrąb, nasion dyni, słonecznika, pięćset gramów mąki, trzysta czterdzieści gramów wody – wypić, dwie łyżki oleju z pestek winogron – wypić, zjeść dwie łyżeczki soli, trzy cukru, najgorzej z jedzeniem suchej mąki, to dopiero katorga, dmucha białością przez nos i uszy, ale się opłaca, bo jakaż oszczędność gazu i prądu marnowanych na pieczenie!), aby w pewnej chwili sformułować myśl jakąś jedną sensowniejszą, to znaczy niekoniecznie mądrą, ale za to spójną, na przykład, żeby wybić na ulicy wszystkich za wysokich jak na nasz gust, takich ponad metr osiemdziesiąt pięć (metr

osiemdziesiąt centymetrów jeszcze ujdzie, ale dalszych pięć to już przesada, bo z tego powodu trzeba budować domy z wyższymi drzwiami i podnosić dachy w tramwajach, sitka pryszniców umieszczać ponad sufitem, no, groza) albo za małych (takich poniżej metra pięćdziesięciu, bo wszędzie bez schylania zajrzą, kobietom pod spódnice, samochodom między koła, starszym rocznikom w dzieciństwo, wszędzie, gdzie nisko i tajemnie), to znaczy za wysokich, bo nie będziemy musieli się do nich wspinać w czasie mówienia na ucho, natomiast co do tych strasznie małych, słowem kurdupłowatych, to przecież jest jasne, że w takich niewielkich ciałach nie mogą się mieścić myśli wielkie, i nie tylko, bo w takich małych materia żywotna musi się dusić, nie mając miejsca w skurczonym worku skórny, który im przysługuje z racji biologii organizmu ludzkiego, worek bowiem osnuty na takiej małej osobie nie może zawierać takiej ilości wszystkiego, jak worek człowieka o głowę wyższego, w związku z czym mali są ciemni, barwnik oczu ciemny, barwnik włosów ciemny, melanina właściwa wszystkim gorszym osobnikom rodzaju ludzkiego, też się w tych mikroworkach skórnych zagęszcza, staje się wyraźniejsza, dobitniejsza i zagraża – przez rozmnażanie oczywiście, bo ci mali tak się nawzajem płodzą, że z biegiem czasu naród staje się coraz mniejszy – otóż zarówno ci wysocy, jak i ci za niscy powinni albo samoczynnie się dostosować do średnich, albo dać się wytłuc do nogi, w przeciwnym razie może nastąpić taki moment, w którym średnich w ogóle nie będzie, a zostaną tylko karzelki i goliaty, co jak wiadomo zagraża wybuchem bomby atomowej zrzuconej jak z procy przez kraj sąsiedni w celu uzyskania niskiej polskiej średniej statystycznej, co więcej, może dojść do kataklizmu naturalnego, trzęsienia ziemi, w czasie którego walące się domy wyniszczą ostatnich ze średnich, a mali przetrwają w szparach i rozpadlinach, zaś wysocy dzięki słusznemu wzrostowi z łatwością będą sięgać ku szczytom zwalisk, jedni i drudzy tym samym zajmując pole ludziom, którzy bardziej zasługują na swoje miejsce przez to właśnie, że są uporządkowani, umieszczeni pośrodku krzywej Gaussa, to jest na głównej, wystającej jej części minus odchylenie standardowe, ujednoliceni, a wówczas nie trzeba by było angażować nadzwyczajnych metod produkowania ubrań dla nietypowych ani wymagać dodatkowych kadr, obliczających kalorie przypadające na ich za małe albo za duże ciała, a także stolarzy budujących dziwacznie krótkie albo patetycznie długie łóżka, cóż dopiero mówić o pisarzach i ich powieściach, pisanych dla smutnych jednych i chorych drugich, tą metodą ignorując trzecich normalnych, po czym uświadomił sobie, że o Polsce i Europie wie właściwie wszystko, trzeba tylko zrobić porządku w chaosie, następnie kiwnął ręką na kelnerkę, poprawił w kieszeni pistolet, bo go lekko uwierał w krocze, a może

nawet odbezpieczył, i poprosił o następną kawę (cameriere! per favore kawę plis pardon, tym razem z podwójnym cukrem dla energetycznego wzmocnienia mięśni!), i wyobraził sobie, jak to będzie, kiedy wyceluje muszkę przez szczerbinę najpierw w leb tej przekłętej – od tego zacznij rewoltę – matki tej małpy Helenki, i wykosi pozostałych, którzy tak hurmem świadczyli przeciwko niemu, kiedy sąd zwiększał mu stawkę alimentów, a jakiś głupi urzędnik na normalnej (podkreślmy: normalnej) ulicy wyznaczył miejsca na śmietniki, tak że teraz przy skręcie nie widać, kto jedzie z lewej strony i kto z prawej, bo ustawione przez drogowców lustro jest tak powyginane w rodzaj kopuły, że samochody stoją się małe i jadą w odwrotnym kierunku niż naprawdę, i nawet kokainowy haj nie jest w stanie przywrócić tego do rzeczywistości, ale on jeszcze poczeka, zobaczy, co w tej dramatycznej sytuacji miasta zrobią inni, takie powziął postanowienie, zamówił trzecią kawę i uzmysłowił sobie, że ma tylko dziesięć sztuk amunicji, wobec czego musi uzyskać dostęp do jakiejś firmy produkującej naboje pośrednie z łuską i splonką, gdyż w dzisiejszych czasach już nie mamy wieku dziewiętnastego, kiedy można było sobie w domu odlewać kule z ołowiu i proch mieszać z siarki, saletry i węgla drzewnego, i jeszcze czwarta kawa przed odejściem do następnej kawiarni, a zaczynał go denerwować ten tłum cyklistów pozujących na niewagę i roztargnienie, jeżdżących niby od niechcienia samochodami alfa romeo (wybitnie włoska marka, marchio italiano), którzy przechodząc obok niego z chodnika do wnętrza kawiarni ustawicznie deptali go po nogach, kopali, potracali, gdyż przejście istotnie było bardzo wąskie, ale też palantów jeżdżących samochodami peugeot (marka francuska) i volkswagen (niemiecka), tak jakby nie było na przykład volvo (szwedzka i świecka zarazem), chociaż ostatnio widział volvo na Marszałkowskiej, więc doznając uczucia osaczenia, a także dostrzegając podłość mieszkańców tego nędznego miasta, najpierw z pewnym lękiem wsunął się na moment nieco bardziej pod blat stolika i gdy zaczął od tej cywilizacyjnej duchoty kaszleć, wrzaskliwy instynkt samozachowawczy ostatecznie wygnał go do kawiarni „The Sound”.

Piotr Müldner-Nieckowski

Wiesława Oramus

Czarne kamienie

Pojawił się strach i lęk. Lęk przed pojawieniem się tego lęku – jak przed czymś nieznanym, w nieznanym otoczeniu z nieznanymi powodów, dla niewiadomych celów, zagrażający egzystencji. Łatwiejszy do zniesienia był więc strach, bo umożliwiał rozpoznanie przyczyn, powodów. Przemiana lęku w strach była już pierwszym krokiem w stronę poszukiwania remedium.

Był więc strach. Do udanych można było zaliczyć dzień, gdy tylko na tym kończyły się wszystkie doznania w drodze z i do domu, gdzie w połowie drogi, obok krawężnika, a więc nie do ominięcia, stała ta budka. Od dawna, od pierwszych budowli, jak zaplecze dla budowniczych i pierwszych osadników, i ich zwykłych życiowych potrzeb. Z czasem okazało się, że jest centralnym punktem. Były inne, ale z czasem plajtowały, znikwały z powierzchni ziemi, na jakiś czas zostawiając tylko dziurę po swoim istnieniu. Potem te dziury zasypywano, a obsiane trawą nie psuły już harmonii. Ta budka była nadal w centrum rozrastającej się przestrzeni do zamieszkania, konstruowanej na planie koła. Była pamięcią początków, pierwszych więzi, pierwszych podstaw egzystencji. Opierała się wszystkim nowym normom, zasadom, regułom – jak nóż w rękach właścicielki, nóż nie z tej epoki, nóż wbijany w pasztet, potem w białe ser.

Wzbudzało to odrazę, jak i widok tych rąk, z czarnymi obwódkami pod paznokciami. Ta odraza była innej natury niż lęk. Jej biologiczne, fizjologiczne objawy były w pewnym sensie wbrew zinterioryzowanemu systemowi wartości, normom moralnym i zasadom dobrego wychowania. Odraza była też chyba nie do ukrycia. Kobieta z nożem dostrzegła ją. Wylowiła z wielu innych spojrzeń, wielu innych czekających w kolejce. I w tych okolicznościach, nie tylko poddała głębokiej analizie sam fakt istnienia czegoś takiego, nie tylko odwołała się do swojej znajomości życia, ludzi, ale wsparła się nawet metafizyką, mistycyzmem, znajomością niezbadanych wyroków i profetyzmem, co zawarła w krótkim zdaniu – że zna wielu ludzi, a szczególnie jedną panią, która miała czyste ręce i już dawno nie żyje, a żyła krótko, zaś inni, którzy takich nie mieli żyją, są zdrowi i zadowoleni.

Zdumienie po usłyszeniu tego stwierdzenia wpędziło wtedy w jakiś stan stuporu, wykluczający zdolność nie tylko do dyskursu, ale jakiegokolwiek werbalnej reakcji. To była praprzyczyna strachu i lęku?

Wyznanie zdobyło za to uznanie pozostałych stojących w kolejce. Uznanie zostało wyrażone spojrzeniami, pomrukami, uśmiechami, gestami, wznieśieniem oczu w górę, w błękit nieba, nieskończoność.

Zrobiło się tajemniczo i strasznie, wręcz nierealistycznie, co jeszcze bardziej odbierało możliwość jakiegokolwiek odniesienia się do całej sytuacji. Bo jak poddać taki sąd falsyfikacji, jak w ogóle sformułować problem ogólny, doprowadzić do uszczegółowienia, do hipotez, poddać wskaźnikowaniu? Jak? No jak dobrać wskaźniki? Co może być wskaźnikiem prawdziwości takiego twierdzenia? Analiza przyczyn śmierci ludzi, ale których? Ogląd paznokci jakiejś wybranej grupy zmarłych?

Pozostała cicha rejturada z pola zwycięskiego przeciwnika. Następnego dnia i kolejnego, i jeszcze kolejnego było tak samo.

Bo sytuacja wydawała się nie tylko dynamiczna, ale coraz bardziej odebrana od tamtego faktu, podlegająca generalizacji, stałej ewaluacji i ewolucji, a coraz bardziej nie do ominięcia – tak jak sama budka, która była nie do ominięcia chociażby z powodu robót drogowych, remontów, poustawianych gdzie popadnie rusztowań i stosów materiałów budowlanych.

Pomruki wrogości słychać było – skierowane w stronę sylwetki *en general*, ale też poszczególnych jej elementów, sposobu poruszania się, a nawet garderoby.

Podlegała ona jednak pewnym prawom, w miarę zmniejszania się liczebności grupy egzystującej wokół budki, o czym decydowały też prawa ekonomiczne, pożeranie większych przez mniejszych, konkurencyjność cen, nieetyczne metody podbierania klientów różnymi atrakcjami, a nawet zwykła niemożność zapewnienia psom, kotom czy fretkom bezpieczeństwa w czasie zakupów. Powodowała, że odwrotnie proporcjonalnie do liczebności grupy wiernych rosła jej agresja i siła.

Dochodził do tego czynnik psychologiczny – to przecież tam, u tych rekinów pogardzano człowiekiem, to tam patrzono na ręce, oceniano je, zmuszano do zakładania rękawiczek przed zakupem bulek, stamtąd wyprowadzano, często w obstawie człowieka, którego domem są kanały, śmietniki, parkowe ławki. Na co tacy „czyści” mogą zasługiwać?

A tu była pobłażliwość dla każdego stanu człowieka, dla stanu jego monet, byle ich liczba się zgadzała. Bo ekonomia to ekonomia. Biznes to biznes. A dla jeszcze walczących, jeszcze na krawędzi, jeszcze pełnych nienawiści dla niektórych porządków świata był „zeszyt”, było wpisywanie tam jakichś losów, tak nierówno rozdzielanych łask, z oczekiwaniem jakiejś sprawiedliwości. Czekanie na sprawiedliwość nic nierozumiejących. To w tej grupie najliczniejsze były dowody solidarności w znajomości świata i jego praw tej kobiety z nożem. Ciągłe tym samym, ciągle tak samo używanym.

A z powodu systemu komunikowania się, zaczęły się nasuwać skojarzenia z filmami 3D, koncepcjami czasu i przestrzeni, ilustracjami współczesnych koncepcji Kosmosu, obalających tezy o linearności, mówiących na temat ściskania się oraz rozciągania czasu i przestrzeni, upływu czasu w zależności od prędkości obserwatora.

Reakcje i trwanie w tych kosmicznych wymiarach funkcjonalny też trochę jak koncepcje. Czegoś tam na podstawie analizy fal radiowych. Po nienawiści na twarzach, albo pogardliwym spojrzeniu, można było odczytać treść komentarzy.

To wszystko doprowadzało do twórców fatalizmu, co nasuwało wiele myśli związanych z fizjologią i anatomią. Do swoistego doświadczania swojej cielesności, do kończenia procesu autodestrukcji, jego wskaźnikowania na... – może dotknąć nogi, ręki, płuc, żołądka... Lista nie miała końca.

Sytuacja ta zaczęła się przenosić na psyche. To było jedno z następstw, do odkrycia w sobie masochizmu, do utraty poczucia własnej wartości, obniżenia samooceny, co skutkowało z kolei czymś.... Co to było? Sięganiem... po wszystko, co życie może oferować... z najniższej półki? I chęć izolowania się. Unikania sytuacji ekspozycji społecznej, a jeżeli już, z braku takiej możliwości, to z tym bagażem nieuświadomianych do tej pory pokładów masochizmu. Stąd – przyszła refleksja w którymś momencie – blisko do spełnienia się przepowiedni pani z nożem. Taki mechanizm samospełniającego się proroctwa. Na oczach kłębiącego się, coraz bardziej agresywnego tłumu okupującego okolice budki – jak się okazało nie tylko komentującego, ale tworzącego fakty społeczno-polityczno-psychologiczne. Stymulujące je, kreujące, diagnozujące. Co robić w rzadkich chwilach niemożności przejścia obok, mijając w drodze do siebie? Przechodząc przez tłumek, wtapiając się, ocierając o poszczególne elementy stawalo się mimowolnie elementem dywagacji o nierychliwości, ale sprawiedliwości, wobec tych, co myślą, że są ponad.

Wszystko to przybliżało do problemu pochodzenia, natury i skutków głooszonych sądów, oddalając jednak od szansy na znalezienie wyjścia z tej otchłani, czy też czarnej dziury, rozwiązania, jako etapu całego procesu badawczego wziętego z metodologii nauk społecznych, czy jakichkolwiek innych. A myśl o tym przecież była pierwsza, jeszcze przed pojawieniem się lęku i strachu. Było też odkryciem braku umiejętności radzenia sobie w obszarach metafizyki prezentowanej przy budce. Stąd chyba pojawiła się skłonność do ekspiacji, do szukania ścieżek, szczelin, luk w tym, co otaczało wyszczerbienie tego muru. Zmusiło to do samodyscypliny, do dźwignięcia się, do zademonstrowania niezłomności, przekonania do tego, że los jednak sprzyja tym z czystymi rękami...

Okazało się to skuteczne tylko częściowo; wymusiło postawy uległości wobec tych, którym los sprzyja, ale i chęć ograbienia choćby z części, na różne sposoby i to bez skrupułów. Stąd nieoczekiwane, dziwne oczekiwania wsparcia, dzielenia się, chęci zagrabienia czegoś tam, pozory grzeczności, prośby o coś... zawsze chodziło o jakieś dobra materialne, potem za każdy grosik, obietnica wymodlonej ciągłości łaskawości losu. Agresja w razie odmowy, coraz większe wymagania.

Przypomniały się koncepcje totalnej spirali.

Dosyć skuteczne było przez jakiś czas łączenie się z kimś podobnym, przemieszczającym się po tej przestrzeni, z podobnym statusem, podobnym problemem, dołączenia do niego, tworzenia jakiegoś muru obronnego. W zimowej porze można było brnąć przez zasypane śniegiem trawniki.

Najbardziej pomogły jednak ziemniaki. Zwykle, brudne, w otulinie czarnej ziemi. Jeden z nich, jeden, który wypadł z torby, potoczył się pod nogi, jak czarny kamień. Czarny kamień!

– Brudny, brudny – dało się słyszeć. I jeszcze jeden – Brudny, ale dobry, nasz... naszych ludzi... naszych...

A na ironiczne uwagi, że pani takich nie kupi, bo przecież ma takie czyste ręce zareagowała błyskawicznie.

To był chyba stan iluminacji!

– Kupię. Proszę. Proszę dwa kilogramy tych brudnych, czarnych. Są pyszne, takie nasze, takie... szkoda słów...

Kupowanie tych ziemniaków stało się rytuałem, one same prawdziwym czarnym kamieniem, znalezionym, niewyprodukowanym w pracowniach alchemików, niesionym przez wszystkie ścieżki do swojego domu, uciszającym wszystkie głosy, pomruki, osadzającymi w rzeczywistości zarówno społecznej jak i duchowej.

Pomogły też czarne paznokcie. Prawdziwie czarne, pomalowane, modnym zresztą w tamtym sezonie, czarnym lakierem. To była prawdziwa czerń!

Sprzedaż ziemniaków wzrosła, bo inni też zaczęli kupować, wiedzeni prostą chęcią robienia tego, co inni, zauważalni w życiu społeczności lokalnej, chociażby z powodu najczarniejszych z czarnych paznokci!

Te czarne kamienie stały się też i kamieniem węgielnym specyficznej umowy społecznej, jej praw, osadzonych w końcu w prawach Kosmosu o nietykalności i ochronie swoich.

Był to też powrót do pierwszych lekcji o roli filozofii – królowej wszystkich nauk, nauczycielki mądrości.

Łza w oku się wtedy zakręciła. Taka... hedonistyczna, odpędzająca strachy i lęk.

Koniec

Wiesława Oramus

Jacek Pankiewicz

Strojenie podmiotu

Nareszcie przyszedł do mnie kanalista z jupisiu; bo już mówiono mi wszędzie, że w moim wieku człowiek ma nic, ale to nic nie robić, tylko wstawić sobie tiwi i się wpatrywać; czyli nic nie pisać, bezużytecznie żyć, bo dziś jest nadprodukcja, nie ma odbiorcy na nic, więc po co i komu?

Zadzwoił na domofon, dzwonił, a okazało się, że nie działa, teraz i on nie mógł się dostać do mnie, więc ja musiałem zlekceważyć swój świszczący-szeleszczący oddech i sam zjechać do niego; ale który to on? no i się wywiązał dialog,

– a pan to nie pasuje do wyglądu, bo jak na swój głos, to musiałby mieć co najmniej 40 lat!

– ja mam trzydzieści, pan wie? no, jest coś w tym, co pan mówi, i inni mi tak mówią,

– pan wygląda o wiele młodziej!

– ale i pan też!

– no, ja to mam 80!

– a nie wygląda pan! i też sobie pomyślałem, od czego to pan tak się zatrzymał?

– od niczego, ot, żyjąc, pracując, od kłopotów!

– to znaczy jako kto?

– a powiem panu, bo ja książki piszę, no i one wiecznie są z tego!

– już wiem! jak pan tak długo pisze, to i musiał kiedyś zacząć to ogarniać, a ja nie – ale ja mam tylko trzydzieści lat!

– to może kiedyś zacznie pan coś ogarniać i wtedy? zacznie się panu coś udawać, zacznie pan z nim trwać, może nawet i bardzo długo! a jak pan się już przyzwyczai, i nie zechce się niczym innym obciążać... a znów, w drugą stronę idąc – pan nie ma zgodności głosu z wiekiem! to może niech wreszcie dopracuje się jej pan! kiedy posiędzie pan swój podmiot, będzie go miał na stałe, to i wszystko inne łatwiej pójdzie!... co pan przedtem robił?

– byłem mechanikiem samochodowym!

– ja też byłem, ale amatorsko! to piękny zawód, panie! i wciąż się przydaje! ja przez całe życie, panie, zależałem od mechaników samochodowych! to w końcu już nie chciałem;

– ale ja znam tylko tojotę!

– to ja więcej! i mistrzem musiałem być! a choćby i opanować wszystkie pojazdy, którymi jeździłem, od fiatów i warszaw począwszy; a przedtem, panie, to ja miałem i stalińca, traktor taki, jeszcze na gąsienicach; raz to i musiałem go utopić w błocie, kiedy nie dawał się zgasić, na środku podwórza go zanurzyłem, bo musiałem biec do szkoły! dwanaście lat wtedy już miałem! ale to inne czasy były, panie! pan tego nie zrozumie!...

– ja nie znam innych typów, naprawiałem tylko tojotę!

– i musiał pan odejść od tojoty, dla jupisi; a tojoty nadal dobrymi wozami są! no, ale pan już jest z jupisi! w facie na przykład to ja wszystko umiałem zrobić, bo psuł się często, więc trzeba było naprawić samemu; a jak rajd był jaki, to i na rajdy nim jeździło się; raz nawet zająłem drugie miejsce w klasie międzynarodowej!

– ja nie jeździłem na rajdy nigdy.

I w jupisostwie idzie mu marnie.

Miał mi zmienić dekodery. Ale nowego nie umiał podłączyć, czyli skompabilizować z moim tiwii, bądź co bądź toszibą; i dzwonił do kolegów, wszystkich tam u nich najmądrzejszych, dyktowali mu, gdzie, co wetknąć, tak przez dwie godziny, i nie poszło.

To w końcu i telewizor się wkurzył, choć to tylko telewizor – lecz odezwiał się w nim własny, prawdziwy jego podmiot; i po kolejnym wsadzeniu wtyki – co powiecie? natychmiast wyświetliło się lajfaj.

Bo on miał swój podmiot.

11 stycznia 2016

PS. Z punktu widzenia przyszłości – może niedalekiej – rodzi się pytanie, co czynić bardziej warto, co się oplaca,

czy poprawiać, choćby i progresywnie, na różne sposoby, tego niedorozwiniętego, marnego wciąż, człowieka naturalnego?

czy zbudować od nowa, całkiem z drutów choćby, człowieka sztucznego, niechby nawet i pod piękną powłoką? jesteśmy już dość niedaleko...

A czyż nie lepsi są ci drudzy?

Co zresztą już odzwierciedla i stan literatury krajowej od paru dziesiątków lat.

5 marca 2016

Marek Pękala

Świniobicie

(fragment większej całości pt. „Władziówka”)

Idziem do obory. Woń gnoju ostra, ooo, jak zdrowo daje po nozdrzach, a jeszcze przed chwilą były zwykłym nosem. Można się nawdychać do woli i do niewoli. Za przegrodą pod okienkiem – tłusty wieprz, na boku, przy murze; bo i tu wisi gorąc w mroku, a mur ciągnie dołem chłodną wilgoć. Oddech miarowo porusza wieprzowym brzuszyskiem.

A ja, a ty, nas też bez oddechu by nie było, baj, baj, niechaj będzie pochwalony każdy oddech – w tej prajedni: powietrzu dla liścia, zająca, sikorki i nas tak mi się myśli pobożnie.

Bronek, gospodarz pełną gębą, od zarostu:

- To Maryśka.
- Czyli maciora.
- Nie. Knur.
- To powinien być „Marysiek”.

(...)

- Jak miała z pół metra, to Pawełek już na niej jeździł.
- Fajnie było?
- Nooo... – rozgał się chudy blondasek, piąta klasa.

Pan Wiesiek, pomocnik mistrza, czyli – jak sam się przedstawił – wicedyrektor, wyciąga z obory uwiązanego na tylnej nodze Maryskę. W cichości stawia opór, do pomocy rusza pan Edek. Przyciągnęli na środek trawiastego obejścia, stoi, od jasności oglupiała. Zamaszyste uderzenie obuchem siekiery w łeb. Chwieje się, chce zrobić krok, ale pada gwałtownie – jak na rozkaz. Bokiem. Momentalne, długie podcięcie gardzieli. Wylewa się posoka, gwałtownie. Pod ogonem – ostatnie łajno, zaraz uprzągnięte.

- Świnia duszę ma?

Cisza.

- Święty Franciszek mówił, że ma, inną niż człowiek, ale ma.

Nikt nie kwapi się z odpowiedzią.

– Z nas takie same fabryki gówna. Ale duch skrzydlaty, to nasze cielska, póki dychają, mają dusze, a u świni...

Słuchać tylko duszną ciszę.

– No, kurwa, dość tej filozofii. Do roboty! – mistrz Rysiek odcina nas od kłopotu, jakby nie było egzystencjalnego. No i społecznego zarazem – mało to wśród rodzaju ludzkiego świń. A wieprzów, co nie wiedzą, co to perły, jeszcze więcej. Ale mistrz uciął problem, to i mnie wypada uciąć jęzor, przynajmniej na chwilę, żeby do metafizycznej rzeźni między dyskutantami nie doszło.

Wicedyrektor Wiesiek ostrzy – jak słyszę – trybownik.

– Skąd ta nazwa?

– Bo służy do trybowania mięsa.

– Do czego?

Śmiech.

– Na wsi każde dziecko wie – Bronek wytyka miastowe upośledzenie.

Pan Edek polewa wrzątkiem cielsko i kończyny. A wicedyrektor czyści skórę trybownikiem, coraz mniej brudu i szczeciny.

– To kosmetyka poubojowa – objaśnia z uśmiechem.

I obcęgami wyrzywa pazury z racic.

(...)

– No, wystarczy, na szubienicę z nią.

– Nie dość, że zabita, to jeszcze ma być powieszona? Za co?

– Za nogi. Zaraz pan zobaczysz.

W czterech dźwigamy swinię na drabinie ku dwóm betonowym słupom od trakcji elektrycznej, ustawionym w wysoki trójkąt.

(...)

– I raz! I dwa! – mistrz komenderuje wciąganie świni na szubienicę.

Wisi lbem do spodu, teraz ze dwa metry ma.

– Trza swinię dobrze połąć – instruuje pan Rysiek – bo gospodarz nie chce połąć.

– Paweł! – krzyczy przywołany do obowiązku – leć po kieliszek!

Mistrz wycina dziurę pod ogonem, szarpnięciem wyciąga pustą kiskę stolcową, zawiązuje sznurkiem, a końcówkę przywiązuje na kokardkę z jednym oczkiem do nogi.

– Po co to?

– Tajemnica zawodowa. Zaraz pan zobaczysz.

– No to, żeby młodym się szczęściło!

– A nie tak jak mnie – to Krysia, gospodyni, ciskając ostrym spojrzeniem w gospodarza.

Długie, płytkie cięcie środkiem brzucha. Mistrz majstruje we wnętrzu długim trybownikiem, wzdłuż słoniny. Odwiązuje wystającą, a skrępowaną

przed chwilą kichę, czyli wspomnianą tajemnicę zawodową. Efekt imponujący: z brzucha wywala się żółtawo-czerwony zamknięty wór. To wnętrzości. Żadnego smrodu, no, prawie, bo na upale czuć jak od wora paruje gestawy odorek. Elegancka robota, nie ma co. Na taczce wór wędruje do dołu, od razu zasypany.

– Dużo będzie jadalnego?

– A gdzieś tak pół na pół – rzuca pan Rysiek, wycinając tłuste części – a gdzie ta nasza połówka? Weź ją pan ze słońca. Tam w krzaki. Albo nie, po co lazić. Nalej pan – jego koszulka mokra jak ścierka, tak niemilosiernie praży i praży.

Siekiera mistrza uderza wzdłuż wypatroszonego wnętrza. Już wiszą dwie połowy.

– Nie połowy – słyszę pouczenie – tylko półtusze.

Odciećcie lba, prosto do miednicy z wodą. Robi się czerwona, stąd: krwawina.

Pan wicedyrektor podkłada bark pod półtuszę. Ciężar podgina mu nogi. A tu trzeba jeszcze pod górkę.

Ni chmurki zmiłowania, czysty żar. A przede mną zadanie: duża blaszana miednica z tym świńskim lbem i ryjem w krwawinie. No to dużo ulewam ukradkiem. Podnoszę, ciężkawe toto, jakoś idzie, pod górkę stękam, przez pot widzę jak patrzy na mnie ten czerep brrr bez ślepi a patrzy z wyrzutem krwawymi oczodolami brrr pot robi się zimny z odrazą brrrrrr idę z przerażeniem brrrrrrrrrr już nie mogę odwracam głowę czapeczka ślizga się po mokrej lepetynie daszek opada drogę zasłania potykam się chłapie krwawa woda na koszulkę w spodenkach robi się cieplej nie żebym popuścił z wysiłku nie to reszta krwawiny znalazła tam ujście cienka krawędź michy wcina się w brzuszysko z tyłu ból jak szpikulec wierci w krzyżu coraz szerzej głębiej już ledwo dźwigam resztę świńskiego losu co wtargnął w mój tak bez pardonu jeszcze krok a padnę na ryj w ten zapatrzonny we mnie ryj mieliby ubaw po śmierdzące pachy zaraz by przygadali że wlałem w ich pakę na krzywy ryj w ostatniej chwili odebrał mi michę Broniś od plamy niechybnej uratnął uffffff

To od razu polecałem w krzaki po swoje pół litra, gdzieś je rano schował, przecie nie tylko przed tym wściekłym słońcem.

Dwa wymyte stoły na werandzie, tu mistrz dokonywa kolejnej odsłony rzeźniczego rytuału.

(...)

Zadzwoił pan młody, pyta, czy już może przyjechać po ugodane pięćdziesiąt kilo.

– A przywieź chłopom kawalerską! – woła do słuchawki przyszła, i to szybko, bo już za dwa dni, teściowa.

I stawia przed każdym talerz: kopyto od ziemniaków, parująca, kapusta i po kawale gorącej kielbasy – jeszcze nie ze świni, ze sklepu, tak samo jak następne pół litra; razem z moim będzie czwarte, na pięć i pół chłopa; te półtora to ja, bom najgrubszy między tymi silnymi chudasami, ostatnie ważenie me: sto dwa, ale to jest tylko bezcelne kłamstwo tej elektronicznej wagi.

– No to, żeby młodym!

– No to!

– No to do roboty! – taka ci tu Krysia bezlitosna.

Cichy warkot, kawałki mięsa po wrzucie w maszynkę zamieniają się w mielone.

Pan Rysiek znowu dosypuje przypraw i miesi, miesi. Bierze na palec ociupinę.

– Żeby było dobre, musi być w proporcjach – smakuje, bez mlasku.

– Hrabia Fredro mówił: Znaj proporcją, mocium panie.

– Ale z ciebie, Rysiek, hrabia!

– Raczej mocium!

Wypłukane błony, flakami zwane, już czekają obok maszynki, zaraz będą z nich pęta kielbasy.

– Czy w ciągu tych dziewiętnastu lat, przepraszam za wyrażenie, kariery zawodowej – pytam mistrza, kierującego nabijanym przez maszynkę flakiem – zdarzyło się przy uboju jakieś zaskoczenie, coś dziwnego.

– Mnie nie, ale takie coś żem słyszał: Ubili chłopcy wieprza i poszli się napić. Wracają, a wieprza ni ma. Szukają, piją dla otrzeźwienia, żeby lepiej widzieć. No i po półgodzinie znaleźli w gnojówce za stodołą. Za słabo zabili, to jeszcze tam dolazł i się utopił. Polej pan, bo coś słabo widzę.

No to polewam. Koguta, co mu łeb ucieli, a on jeszcze lata po obejściu, widziałem, to i ze świnią tak samo. Ale cicho siedzę, to znaczy, stoję, następnemu nalewając, bo znowu bym usłyszał, że na wsi każde dziecko to widziało. Trybowniki, skurczybyki. To ja z innej mańki:

– I co dalej z tą zgnojoną świnią?

– Sama się zgnoila!

– Ale to chłopcy ją popchnęli do samozgnojenia – nie popuszczam.

– Jedni gadali, że ją w ognisku spalili i smród był na całą wieś okrutny, a inni, że całe wesele się struło.

– To drugie lepsze, bo to jak zemsta z za grobu.

– A idźta w cholerę z tymi głupotami! – zatrzęsło Krysią i z oburzenia aż haustem wypila.

I we mnie też coś zawyło i się wyrzuciło:

– Tym się różni świnia od człowieka, że się nie ześwini.

I zrobiło się ni do śmiechu, ni płaczu, no, grobowa cisza w tej duchocie w zmierzchu. Potruchtałem w krzaki, splawiam z organizmu wiadomo co. I po raz tysiąc pięćdziesiąty leci beznadziejny głos wołającego na puszczy i pustyni w jednym: Tak, gnojenie szkaradne niczym grzech śmiertelny. Zapamiętaj jeden z drugim, dziesiątym, tysięcznym i milionowym, zapamiętaj, narodzie. Wara od gnojenia, bo się zgnoimy na amen. Amen.

(...)

Nadchodzi noc, gdy mistrz obwieszcza:

– No. Skończyłem. To teraz możecie mnie w dupę pocałować.

Jakoś nikt się do tego nie pali. Za to wszyscy palą się do wódki.

– Leć, Marek, po gitarę – chrypi Bronek.

– Gitaral – drę się w niebogłosy, gorące, milczące. – Leć do mnie!

Długo leciała, aż zapomnieli w podlewanej gadaninie, to nie przyleciała.

* * *

Gdyby tylko nie te oczodoły z krwistej wody, co nadal wpatrują się we mnie, gdyby nie one.

Poświęć, Panie, przynajmniej moją zapalką nad świni praduszką.

Marek Pękala

Krzysztof Rudziński

Gryzonja

*(fragmenty *)*

W moich homeryckich wędrówkach po warszawskich Bielanych, przedsięwziętych nowobogackim krokiem świeżo upieczonego emeryta, zdarzało mi się zachodzić na ten mitologiczny róg obfitości, na przecięciu się ulic Babickiej i Zuga, skąd roztaczał się jedyny w świecie widok na atlantyde „mej szkoły świętej pamięci”.

Nie bywałem tu sam.

O krok od tego jego środka, z którego przyglądałem się światu, rośnię za parkanem wyniosła, wiekowa katalpa o pochyłych, rozgałęzionych pniach porosłych bluszczem. Nie mogę o niej nie wspomnieć, gdyż była bez wątpienia świadkiem zdarzeń tej opowieści.

Dawno, dawno temu towarzyszyła mi codziennie (oprócz niedziel, ferii świątecznych i wakacji) na całej linii tego przewężenia ulicy Babickiej łączącego Barcicką z Zuga, witając w sposób na wskroś wielkopański, szczególnie późną wiosną, kiedy obok jej egzotycznych kwiatów nie dawało się przejść inaczej jak z uniesioną do góry głową, w chmurze oczarowania i zachwyty.

Z tego miejsca stopniowanego do entej potęgi liczbą moich chłopiących kroków do i ze szkoły – Szkoły Podstawowej nr 21, próbuję ogarnąć ten fenomen dziejów suwerenny i własny, ten zatopiony kontynent, niegdyś niedoceniany, a dziś legendarny, traktowany wówczas bez tej uwagi należnej dziejom wyjątkowym, bo niepowtarzalnym.

Horyzont zamyka, patrząc stąd, ukośna panorama z pozoru niezmienionej bryły dawnej „budy” z czerwoną dachówką dachu – przewietrzanej wieloma remontami i dziś otynkowanej, z odnowionym przedwojennym herbem Warszawy na fasadzie, ale pozbawionej przez to resztek starego, dzikiego wina na ścianach i odartej z patyny lat.

Nie zwiodą mnie – jakże przenikam te mury:

Siadam sobie w klasie VII C na drugim piętrze nad pokojem nauczycielskim, w trochę za ciasnej ławce. Pani Józefa Wiernicka – nasza pani od polskiego i zarazem wychowawczyni zadaje wypracowanie domowe; zwykle bywają to tematy odnoszące się do właśnie przerabianej lektury, ale czasami, bardzo rzadko, jest to temat dowolny – coś dla mnie.

Pole uprawne, żyzne i bez granic dla niczym niekrępowanej wyobraźni – tak jak dziś.

Jakże długo czekałem na tę chwilę:

Nadgryzanie Gryzonii

Maksioni i jego Rodzicom

Nikt nie pamięta już, gdzie leży Gryzonja i dlatego nikomu ze śmiertelnych nie udało się dotąd powrócić do tej arkadii idyllicznej i szczęśliwej, do mitycznych krajobrazów tamtego świata, kiedy był jeszcze nowy i niepokalany grzechami zdarzeń, a my jak nieśmiertelni słyszeliśmy jeszcze harmonie jego sfer niebieskich.

Nie chodzi tu oczywiście o ów tajemniczy kanton Graubinden – nazywany Gryzonją, zamknięty głęboko w przysiółkach Alp helweckich, w którym do dzisiaj żyją potomkowie starożytnych Rzymian – bo choć on urody bombonierki szwajcarskich czekoladek, gdzie mu tam do prawdziwej Gryzonii.

Nazwa jej nie należy też do tych już przeszłych i zapomnianych – znanych tylko wtajemniczonym – jak dajmy na to Batavia, dawne kolonialne miano współczesnej Dżakarty, albo tak już niedzisiejszych w przebrzmiałych angulach świata jak choćby przedwojenne Okopy Świętej Trójcy, za którymi rozruszczała się już tylko ta jego szara strefa – imperium spod ciemnej gwiazdy, zaznaczone ogólnie tylko i w przybliżeniu jak na dawnych mapach – *terra incognita*.

Należy ona raczej do rzędu tych najpilniej strzeżonych i zaufanych, które w dziecięcej wyobraźni zwykliśmy nadawać krainom najintymniejszych naszych marzeń.

I dlatego powodowani wspomnieniami jej wiecznej wiosny, przedsiębiorczy później te dorosłe dalekie podróże, poszukując jej po przeróżnych maderach, czy taorminach; i zawiedzeni nie składamy broni ludząc się jeszcze po zatoczkach i grotach Algarve, czy pachnących kwieciem pomarańczy lewantyjskich *buertas*; i dopiero powracając z tych wojaży przywozimy ze sobą to przekonanie, że były to jednak tylko odległe, wyblakłe kopie, nieudolnie podrabiane falsyfikaty Gryzonii.

I jedynie zapachowi lilii na wysokich swoich koturnach przechodzącemu pojemność ludzkiego zachwyty i wszystko inne, udaje się niekiedy, na krótką metę, przekraczać jej granice, by nie znajdując jednak w jej mitycznym klimacie uzasadnienia dla swej organoleptycznej racji bytu, przemienić się w wędrujące łąki asfodelowe. Wtedy to lektura podręcznika entomologii, który właśnie przeglądałem tropiąc wrogów mojego rosarium, doprowadziła mnie do całkowicie odmiennego sądu o położeniu Gryzonii.

Wnioski nasuwały się jednoznacznie – to nie gdzieś na końcu świata, ale raczej na jego początku, niejako u kastalskiego źródła jego, gdy był jeszcze pelen pomysłów i niedomowień – należało się jej spodziewać.

Wytłumaczę to na przykładzie wynikającej z tej lektury interesującej i śmiałej hipotezy – oto wnikliwy czytelnik dowiaduje się tam, że śpieszek cieplarniany (*Tachycines asynamoros*) – owad z rzędu prostoskrzydłych, żyje tylko i wyłącznie w cieplarniach. Otóż Gryzonია ze swej natury przynależy do tych samych obszarów, gdzie przebywał ten owad zanim zbudowano pierwszą cieplarnię. Jest to aporia tylko na pierwszy rzut oka nie przynosząca rozwiązania tak syntonicznie pojętej domniemalności, gdyż zakładając swoistą mityczność obydwu proveniencji, rozumie się to samo przez się.

Trzymajmy się tego Spieszka bez uprzedzeń, nie mając lepszego tropu. Jak jednak mu zaufać, skoro zaraz gmatwa się i przeplata z innymi śpieszkami.

A oto i teraz, jak rychło schodzi na manowce – jak trudno utrzymać uwagę na tej drodze, zorientować, gdzie się rozchodzi? Ani się spostrzegamy, a błądzimy już po innych śladach od nie do pomyślenia po niedopomyślenie – dochodząc powrotnie jedynie tylko do samej legendy Gryzonii.

I roimy o jej piękności i idealizujemy – jesteście Kalebami opowiadającymi wszem wobec o jej mlekiem i miodem pachnących owocach. Pokazujemy zerwane stamtąd gałązki oliwne – nie pamiętając, na jakiej to czarnogórze rośnie ta matuzalekowa Maslica**, z której je zerwaliśmy.

Czas każdego dzieciństwa próbował tej krainy bezwiednie nadgryzając jak woda królewska. Jednak pewnego niefortunnego dnia dawno temu opuściliśmy ją nieopatrznie i nie mieliśmy jej już ujrzyć więcej.

Czy nie ostatni już dzwonek, aby podjąć się jej odnalezienia, bo im dłużej żyjemy na tym świecie, tym bardziej wypacza się nam i zamazuje rzeczywistość tamtego, tak niegdyś dostępna na każdym kroku, i przecieka przez palce.

O gdybym wówczas wiedział, co utracę, gdybym to wówczas wiedział, gdybym wiedział... nie przestępowałbym tych drzwi i nie zamykalbym ich za sobą, aby teraz szukać okrzężnej drogi.

Trzeba jednak przyznać, że te zamknięte drzwi otwierały przede mną nieopisane możliwości...

Nie będzie to jednak kronika dzieciństwa wierna jak rodzinna fotografia, którymi wypelnione są biblioteki świata, będzie to raczej, ze starannie wybranych kamyczków mozaikowy pejzaż Gryzonii – autoportret mojego w niej panowania, od mitycznych początków aż do dnia abdykacji... sfumato wyobraźni... strzępy silva rerum...

A dlaczego Gryzonია – skąd taka nazwa?

Przed wszystkim stąd, że należało ją jakoś nazwać... a nazwa Tiutiurlistan była już wcześniej zajęta i wykorzystana w granicach innej wyobraźni. Gryzonია natomiast ma w sobie coś z tajemnicy tej leżącej w sercu Europy, a za siedmioma górami, a jednocześnie coś z niemowlęstwa – początku pachnącego mlekiem... śliniaczkiem... gryzaczką właśnie... czemuż by nie?

* * *

Wykreowawszy w tak prozaiczny sposób nieopisany temat, szukałem tylko sposobnego momentu do rozpoczęcia pisania.

Ale nowe nie przywykłe zrazu do realizacji, jeszcze nieprzyzwyczajone do niej, jeszcze nieopatrzone i niewrosłe w powszedniość – nie przestawało razić inicjującym się wciąż dysonansem...

Powoli jednak dozując swą obecność, stopniując ją niejako słowo po słowie i przypisując siebie z dnia na dzień zaczynało wrastać w przestrzeń zastanego, wtapiać się i komponować z nim niepostrzeżenie, by wreszcie nie napotykać już sprzeciwu; uznane tak za własne i zaakceptowane bez protestu, potoczyć się dalej. Zjednane świadomości stawało się oswojone i gotowe na ciąg dalszy...

Wówczas olśniła mnie pewnej nocy i postawiła na nogi – obracając boleśnie na nice – niczym niespodziewany skurcz lydky – tak, że wyskoczyłem z ciepłego łóżka na podłogę, myśl równie niewiarygodna, co prawdziwa – że też wcześniej mogłem o tym zapomnieć – w domu, w którym od lat mieszkałem jest zamurowany pokój.

W takim, od dawna odciętym od świata, pomieszczeniu musiało się przecież przechować coś z odległego, minionego życia, zakonserwowane dokumentnie do naszych czasów; jakaś historia bardzo głodna opowiedzenia, coś łasego uwagi, coś zaciekawionego szerszym audytorium łaknące łapczywie światła dziennego ujawnienia – by dać świadectwo.

Wielu marzy o takim zapieczętowanym wnętrzu, od czasu zamknięcia nie niepokojonym przez nikogo; niedoświadczonego nigdy choćby najmniejszym rabunkiem czy zbezczeszczeniem, zabalsamowanego wiernie jak grób Tutenchamona, w dzieciństwie swoim.

Najmniejsza ingerencja z zewnątrz, najłżejszy nawet gwałt zadany jego nieskazitelności, pierwszy najmniejszy promyk światła stąd, powodować tam musi pośpieszny popłoch, paniczną rejteradę przeszłości z szybkością przewracającego się samoistnie domina – ku unicestwieniu...

Krzysztof Rudziński

* Początek pierwszego rozdziału powstającej książki, której fragmentem jest także opowiadanie *Ręczę prosta*, drukowane w: Podgląd 2015 nr 3, ss. 78-79.

** Maslica – ogromne drzewo oliwne liczące ok. 2000 lat, rosnące w południowej Czarnogórze.

Grzegorz Walczak

Bitwa poetów

Piękne i wzniosłe są góry Tai, jak piękna i dumna jest Dżon-dob, córka tych gór, żona Imruulkaisa. Niejeden czarczaf, spod którego wystrzelały spojrzenia skryte a ciekawe, opadał przed Im-ruulkaisem, a za czarczafem i czadra, i reszta zazdrosnej materii, co kryła atlas skóry asadzkich i tajskich piękności. Muallaki Imruulkaisa o miłosnych przygodach lżejsze są niż wiatr, który się dopiero zastanawia nad sobą, rzeńskie są jak poranek, kiedy światłem pękają gorzkie usta nocy, a słowa muallaki są celne jak łuku cięciwa.

Nic więc dziwnego, że kilka słów złożonych ze sobą w pochlebną laskotliwość, kilka westchnień „Don Juana pustyni”, o którym Mahomet powiedział, że „jest chorąży poetów w drodze do piekła”, sprawiało wielkie spustoszenie wśród pragnących miłości. Kładły się z nim pod namiotem nieba dziewczęta o oczach gazeli, te, co po raz pierwszy poznawały przez mężczyznę głębię swego ciała, i te wprawne w miłości, po których niespokojnie toczy srebrne palce księżyc, rzeźbiąc kształt najdoskonalszy. Ale nawet one znużyły poetę, więc kiedy w chwilowej przerwie w wojennych wyprawach odbywanych, jak nakazuje adat, dla pomśzczenia zabitego ojca, księcia Hodira, zatrzymał się w wyniosłych górach Tai i spotkał dumną córkę tych gór, Dżondob – ożenił się z nią.

Mścił się jeszcze przez wiele lat na wrogach, chociaż nic go ojciec nie obchodził, zdejmował głowy tym, co zdjęli ojcową, ponosił ciężkie porażki mimo pomyślnych wróżb balwana Zul-Kholosa i zbrojnej pomocy cesarza Justyniana, od którego troskliwości, jak to u władców bywa, miał niebawem zginąć. Jak mógł przewidzieć, że łaskawy pan Konstantynopola ofiaruje mu nie tylko wojsko, ale wśród podarunków wyszywany złotem zatruty płaszcz. Tymczasem zbierał swój nieustanny plon miłości urodziwy Imruulkais, a stało się to już koniecznością, od której nie ma ucieczki. Miłował więc szczodrze, ale cały był sobą i najwznioślejszą swoją prawdą tylko w miasteczku Okadh, gdzie się odbywały zaciekle literackie boje.

Tu najprzedniejsi poeci ubiegali się o palmę pierwszeństwa, a asadzki Imruulkais miał już chyba tych palm cały las.

Abyś mógł lepiej zrozumieć, kafirze, czym jest dla Araba jego piękna mowa i poezja, opowiem ci pewną historię. Łatwiej wtedy rozstrzygniesz, kafirze, czy honor zwycięstwa nie przerasta czasem sam siebie i czy zmagania w poezji dla prawdziwych poetów nie mają większego znaczenia niż nagroda za nie.

Tu hodowca owiec, którego wciąż podejrzewałem, że jest dobrze zakonserwowanym Amonem, znacząco zatrzymał swą wzniesioną rękę, co się już

rozpędzała. Wreszcie pacnął zamasyżycie w ścianę urobionym poprzednio zgrabnym plackiem z wielbłądziejgo i owczego łajna. Cała ściana domu była już starannie oblepiona gównem. Placki te miały swoją wartość. Łajno skrzętnie zbierane suszyło się teraz na opał do kuchennego paleniska. Mądry Arab ze wszystkiego ma coś, a najwięcej z wielbłąda i palmy daktylowej. Palma i wielbłąd żywi i osłania przed upiornym słońcem, przed piaskiem i wiatrem. Wielbłąd jest cierpliwy i palma jest cierpliwa, dają wszystko, niewiele potrzebują — są szlachetni i bezinteresowni. Palma daje owoc świeży, suszony, przetworzony w różne potrawy, daje mąkę na placki, odurzający napój, daje włókno na maty, drewno do budowy, liście na pokrycie dachu, cienkie płyty, z których — jak to z lyka — można pleść sprzęt przeróżny. Palmy się nie pali. Dobre jest do tego łajno. Wielbłąd jest cieniem człowieka roztropnym, cierpliwym towarzyszem, któremu można nie dać pić, nie dać jeść, nie dać spać, a on i tak przeniesie przez pustynię na swoim garbie ciebie i twoje toboły, a jak ty będziesz bardzo głodny, to on ci da swoje mięso, a jak to będzie wielbłądzica, to ci da jeszcze swoje mleko, i sierść od niej możesz dostać na ubranie, i mocz ci da na sól, i kał wydali, byś miał czym w kuchni palić. O tym wszystkim wiedział stary hodowca owiec podobny do Beduina, ale znacznie jeszcze mądrzejszy.

Pacnął o ścianę ostatnią kupą, otarł ręce, poprawił biały turban na głowie i po raz trzeci zwrócił się do mnie per „kafirze”. To, co mi teraz opowiadał, wzmogło w nim jeszcze bardziej świadomość mojej obcości, więc słowo „niewierny”, choć nie uszczypliwie, brzmiało raczej jak — „ty nierozumiejący, choćbyś nie wiem jak był rozumujący i inteligentny”. Mówił do mnie „kafirze”, a chciał pewnie przez to powiedzieć, że jestem nie tylko niewierzącym w Allacha, ale nie będę mógł zrozumieć szalonego piękna i istoty tkliwej walki poetów, bo nigdy nie byłem w miasteczku Okadh i nie słyszałem prawdziwych „rawi”, którzy jak nikt na świecie lepiej nie pamiętali i wspanialej nie wygłaszali kasyd i perlistych muallak, a zwłaszcza tych sprzed hedżry — ery Mahometa.

— Otóż słuchaj — powiedział ten, którego znowu spotkałem przed jednym z domów oazy w godzinę po tępej drzemce w daktylowym cieniu. Wiadome mi już było, że to nie przypadek.

— Otóż słuchaj — powiedział — o tym, jak poeta Imruulkais, spotkał się z poetą Amr Alabd Sofianem, zwanym Tarafą. Konkurent, z którym od dawna chciał się potykać na doskonałość strofy, znajdował się w szczególnym położeniu. Tkwił właśnie po szyję zakopany w ziemi z obciętymi rękami i obciętymi nogami, czekając na śmierć. Najpierw gorliwie ją przyzywał, a potem, jak już się uspokoił, chciał ją określić, nazwać właściwym słowem, oswoić, lecz ze względu na doznawane cierpienie, nie mógł się z nią uporać z właściwą sobie klasą, więc ze zrozumiałym gniewem, splunąwszy jak najdalej zeschłym od krzyku językiem, zapożyczył, o ile dobrze pamiętam, od sławnego Zuhajra:

*Lecz co jutro przyniesie?... i któż mi odsłoni?
Śmierć jak wielbłąd wpółciemny błąka się spragniona.
Kogo minie – ten żyje, kogo dotknie – skona.*

A jego ani mijala, ani nie przestała dotykać.

– Bądź pozdrowiony, sławny AmBen Alabd Sofianie, zwany Tarafa, bo zapewne jego częścią jesteś – odezwał się pierwszy Imruulkais. – Kto cię tak nieestosownie przykrócił?

– Gdybym miał chociaż jedną rękę – odpowiedział Tarafa – i mógłbym nią osłonić przed słońcem swoje oczy, zapewne również i ja bym rozpoznał ciebie, godny przechodniu, i z właściwym szacunkiem dla wolnych podróżników i gości tej ziemi przywitał, ale przez to, że jestem od jasności podwójnie oślepiiony, odkąd wraz ze słońcem stanąłeś nade mną, domyślam się, że musisz być kimś znacznym, może nawet nosisz książęcy pierścień. Tak czy inaczej, pozdrawiam cię w imię Allacha, z którym mam się niebawem pojednać.

– Zwą mnie Imruulkais – zawołał przybyły – nie uznaję żadnych poetów nad sobą ani równych w sztuce miłowania. Wiele słyszałem o tobie, Tarafa. Od dawna miałem ochotę sprawić ci bożą chłostę, bośmy się jeszcze ze sobą nie zmagali, ale widzę, że zbyt zmalałeś... Kto cię tak przykrócił?

– Z tego, co tu powiadasz – odciął się Tarafa – wnoszę, że ózór masz dłuższy niż rozum. Nie bądź taki pewny wygranej, bo i ja mam niezły język, co mi obciąć zapomnieli, i mogę cię nim zobracać, dopóki całkiem nie osłabnę i z krwi się nie uwolnię. W ziemi mi się tu nieźle siedzi. Święta gleba jak tampon i balsam krew mi tamuje i ból mi łagodzi, więc jeszcze długo mogę gadać i całkiem cię przegadać, a jakbym miał czym swój korzeń dobyć, który też jeszcze we właściwym miejscu mi wyrasta, to bardzo możliwe, że byś się niezgorzej przeraził i uciekł, wstydząc się swego knota.

– Słyszę, że nieźle prawisz i że język masz wielce poetycki. Dlatego też bez próżnej zwłoki wyzywam cię, okaż perły swoich myśli, zanim się całkiem krew z ciebie wytoczy. Daję ci pierwszeństwo, boś kaleka i słabeusz.

– Cóż, wiatr nas osądzi i tych czterech balwanów, co się wokół mnie z czterech stron świata rozkraczyli – specjalnie głośno zawołał Tarafa.

A zapomniałem ci powiedzieć, przybyszu z dalekiej Północy, że czterech zbrojnych z włóczniami w rękę jak posagi stało, by być przytomnymi śmierci krnąbrnego poety. Straż nad nim sprawowali, choć nie było możliwym, by się bez rąk z tej ziemi wydobył i by bez nóg mógł po niej umykać. Stali nieruchomo, czekając końca z minami obojętnymi, znudzeni słońcem i bzykaniem much.

– Tych czterech kiepskich podnóżków Ben Hinda, zdechłych szakali, które się szczycą mianem mameluków, trudno uważać za świadków poezji, bo prędzej takim świadkiem może być turecka szabla, moja wielbłądzica albo

kupa mojej wielbłądzy niż te pnie głuche – straż przyboczna, jaką w ostatniej godzinie podarował mi pozbawiony poczucia humoru królewicz Alhiry. Po cóż zresztą sędziowie?! Sam zapewne poznasz, zacny dziwkarzu, Imruulkaisie, jak się dopelnia dźwięki naszej pieśni, że nie ja jestem kaleką przy tobie, ale ty przy mnie, i będziesz błagać, aby ci obcieli i ręce, i nogi, bylebyś tylko mógł mieć mój język. Dlatego pierwszeństwa nie przyjmuję. Tyś gościem na mej przyjaznej ziemi, więc proszę, zaczynaj.

I rozpoczął się bój na śmierć i na życie w honorze. Szły strofy niewymownej piękności, krystaliczne opadały tony, by się wzbici zaraz – niby skrzydlate zwiastuny katharsis napowietrzną fontanną słów wśród słonecznych ogrodów – drżały jak brzemienne tęcza od nadmiaru kokosowych myśli.

I spływały strugi dźwięcznego światła na jeszcze bardziej osłupiałe strażę, a poetyckie przenośnie opadały im na skaliste ramiona i zwoje turbanów. Wydawało się, że słuchacze przestali oddychać, i nawet rumak wędrownego poety, co był właśnie zaczął łać krynicę złotą spod wzdętego brzucha, ustał w polowie zdumiony. Cóż to była za poezja, jaka lekkość frazy a czystość zmiennej intonacji brzemiennej w znaczenia, tak jakby ktoś po kataraktach Nilu przebiegał, trącając je dźwięczną stopą. Zmęczyli się poeci, dyszeli w upojeniu chwilę, wreszcie wyrzuciwszy kilka wzajemnych obelg, co niby miały brzmieć jak zachwyty nad ekspresją przeciwnika, złapali się za łby poetycko, no bo już ten jeden bez rąk nie mógłby inaczej. Wreszcie zadali sobie temat, by najpiękniej wyśpiewać wdzięki swojej pani i przewagi miłosne, i szczyty tklivości.

Tak też zaczął Imruulkais, a nawolywał, a śpiewał o wdziękach niewypowiedzianych najpiękniejszej taiskiej księżniczki. Gdy skończył, pochwalił go Tarafa:

– Pięknieś to wyśpiewał, ale twe wiersze nie dosięgają uszu mojej wybranki.

Tedy sam zaczął śpiewny poemat o wdziękach swej wielbłądzy najdoskonalszej z wielbłądzic. A kiedy skończył, uronił kilka prawdziwych łez. Wiedział bowiem dobrze, że już nie wespnie się na szczyt swej najukochańszej góry, nie dotknie pieszczotliwą ręką garbu wiernego zwierzęcia, którego dostojęństwo i wielkie zalety może tylko w pieśni swojej ślać.

Dumny był Tarafa ze swej wielbłądzy i płakał teraz szczerze, że musi się na zawsze z nią rozstać. Spojrzał na niego Imruulkais, tak jakby go w tej chwili dopiero zobaczył, chociaż wcześniej układał w myślach drwinę o pięknej włochatej Tarafy kochance, rzekł tylko bez sensu: – Kto cię tak przykrócił?

Tarafa długo jeszcze szlochał. Wreszcie się opamiętał i powiedział niemal ze chępliwością:

– Mój język. A tak, giętki i prawdziwy język poety, jego najwierniejszy oręż bitewny i wróg najgorszy w obliczu władzy, która jak to władza nie zna się na żartach ani na poezji. Ten język albo zmarnieje i wyschnie, albo się zapłącze w czeluściach jamy gębowej, albo tak, jak widzisz, zetnie ręce i nogi,

a często i głowę istoty, z której sam nieopatrznie dla niej wyrasta. I mnie, podobnie jak ciebie, znudziły gonitwy za własnym chwostem, miłsza mi się stała mądra i milcząca wielbłądzica o szczerym wielozębnym uśmiechu niż te wszystkie niedoprawione mnogie jednego męża żony. Zacząłem więc z nadmiernej udręki zielczalego serca pisać satyryczne wiersze o następcy tronu, synu Amr Ben Hinda, sławnego króla Alhiry. Jak się okazało, satyra to niepoplatny gatunek. Nie gustował w nim następca tronu. Dlatego siedzę teraz w ciepłej matce ziemi niby ostry kaktus i kłuję słowem przejeżdżających żywych i umarłych, synów królewskich i bękarty gjaurów, lżę wielkość pustyni i światło Allacha, plwam na własną poezję i pod stopy twoje, ale nie ustaje w swej przędzy, chyba już tak będę wiecznie. Bóg mi śmierci nie zsyła, a przecież już dawno krew ze mnie spłynęła.

– Może jesteś święty? – z niepokojem zapytał Imruulkais.

– Mam nadzieję, że nie – z jeszcze większym przestrachem wyszeptał Tarafa. Czyżbym miał tak tkwić, wpółżyjąc na wieki? Mam nadzieję, że nie – powtórzył niepewnie.

– Tak, przyjacielu – postraszył go Imruulkais – władza może zrobić z człowieka świętego, bywały takie wypadki, albo pokutnika. – I mnie się to przydarzyło.

Tylko, że mnie tę krzywdę wyrządziła władza nieopatrznej miłości, co się nade mną rozpostarła niby namiot nocy. Teraz ty mnie posłuchaj i rozważ, czy nie jestem bardziej niż ty pokrzywdzony. Otóż zdarzyło mi się nieszczęście. Spotkałem w czasie wędrowki po górach Tai nieznanego poetę Alkamę. Był przedziwnej urody i podobnie jak ty chwalił się niezmiernej długości korzeniem. Wyzwałem go więc w świętym oburzeniu na pojedynek, i to nie na poezję, jak się domyślasz, a rozsądzać miała moja piękna i dumna żona Dżondob.

I to był mój największy błąd. Bo kiedy już wydobyliśmy, miara była nieuczciwa, a to przez to, że moja łatwowierna Dżondob nie robiła już na mnie takiego wrażenia, za to okrutne musiała wyrzucić na Alkamie, bo rósł i rósł, i wydawało się, że dwa razy swoim rozmiarem opasze ziemski kwadrat. A Dżondob, zamiast być spokojnym, obojętnym sędzią, patrzyła na to z nazbyt wyraźną aprobatą i sympatią, jaką ty okazujesz swojej wielbłądzicy. Nie dziw się więc, a to ci mówię w zaufaniu, że turniej ten przegrałem. Ale aby ratować honor i by go znów w niepewnej grze na szwank nie narażać, tym prędzej zaproponowałem poetyckie szranki. I tu popełniłem swój błąd ostateczny. Rozegrałem bój ten nie przed mającymi smak poetycki sprawiedliwymi gminami w miasteczku Okadh, lecz w zupełnie innym miejscu przed własną żoną, piękną i dumną Dżondob. Ona nam była sędzią i nagrodą dla zwycięzcy. Przegrałem poetycki turniej, i nic dziwnego po tym, co wcześniej widziała. Zabrał moją szlachetną Dżondob nieznany poeta Alkama i poszli w kierunku dalekiego morza, a ja nawet nie spojrzałem, jak o zachodzie słońca ściele się

ich ślad na czerwonym piasku. To była moja największa klęska w życiu. I tylko tobie to zdradzam.

– Tak ją kochałeś? – spytał Tarafa.

– Dżondob? Skądże. Gdybym ją kochał, to bym wygrał turniej. Ale wtedy straciłem sławę pierwszego z najdłuższych poetów.

– No tak, rozumiem. – Tarafa, choć kolczasty w pysku, potrafił szczerze współczuć. I teraz pojął najdotkliwszy z bólów, ból ambicji. Zapłakał więc raz jeszcze nad nieszczęsnym losem druha-poety i byłby tak długo jeszcze płakał, ale umarł.

Niektórzy powiadają, że historia ta skończyła się nieco inaczej, że wrzucony większym niż własne okaleczeniem Imruulkaisa, podwójnym okaleczeniem honoru poety Tarafa nie chciał dłużej żyć i wykrzykując na niesprawiedliwość świata, poprosił, aby on, jego ostatni godny przeciwnik wyświadczył mu drobną przysługę i zakopał go do reszty w tym ziemskim gnojowisku. Zrobiło mu się nagle spieszo do wyzwoliciela – Allacha, a tym, co spieszo, nie należy przeszkadzać.

Zakopał go więc z głową, co ledwo wystawała ponad poziom piasku, poeta Imruulkais, przyklepał równo, splunął i poszedł w kraj cesarza Justyniana, który już czekał, by dać mu hojne dary z zatrutym złotym płaszczem.

Stary Egipcjanin zakończył opowieść. Placki wielbłądziejego łajna, które pozawieszał na ścianie, schły należycie.

Oazą ciągnął aromat i rześkie powietrze jak niewidzialna karawana. Mój rozmówca patrzył na mnie oczyma wiecznej, bezkresnej pustyni. Ale ja się nie dam nabrać ani na strój Beduina, ani na jego trzody, ani na zapobiegliwość fellaha lub mieszkańca oazy. Nie zamydlił mi oczu gównianymi plackami. Wiem dobrze, że to bóg Amon przybrał jego postać, bo mówił do mnie pięknym staroegipskim językiem, którego nie znam, a przecież wszystko rozumiałem. A czasami mówił też po arabsku, zwłaszcza kiedy wygłaszał przedmahomekańskie muallaki.

Nie uroniłem żadnej myśli, nawet pojąłem sens starej sentencji, która głosi, że „poezja jest najpierwszą Araba kochanką”. Pojąłem też arabskie przysłowie, którym mnie na koniec mój druh przygodny a wymowny uraczył. A powiedział mi tak: „Mądrość, spadłszy z nieba, osiadła w trzech członkach ludzkich: w mózgu Greków, w ręku Chińczyków i w języku Arabów”.

Zastanowiło mnie tylko, że nic tu nie ma o Polakach. Zacząłem problem głęboko rozważać.

Grzegorz Walczak

Przekład Anny Bańkowskiej

James Elroy Flecker

Bramy Damaszku

Cztery potężne bramy ma miasto Damaszek,
Czterech na mieczach wspartych strażników ich strzeże;
We dnie tkwią tam jak wielkie kamienne posagi,
A kiedy wszędzie księżyc, idą spać na wieże.

*Oto jest pieśń strażnika wielkiej Bramy Wschodu,
Gdy po służbie cmi fajkę w zaciśzu ogrodu.*

Jam Furta Losu i Pustyni Wrota, Czeluść Zagłady i Przyczólek Trwóg,
Jam jest Brama Bagdadzka, Diarbekiru Próg.
Świt z Persji, wciąż nienasycony, zalewa różem gór korony,
Ale filarów mych kamiennych nie nęci jego blask płomienny.

O, nie idź tędy, nie idź, karawano, lub przejdź bez śpiewów! Wiesz o ciszy,
Takiej, że choć zamarły ptaki, coś ptasim głosem nagle kwili?
Nie idź tam! Ponoć na pustyni widziano róże wśród kamieni,
Lecz kwiat ich nie rozsiewa woni i płatkom brak czerwieni.
Czy się szkarlatem rozplomienisz przy swej bledziutkiej siostrze, różo?
[Czy się spalisz,
Gdy żar południa cię osmali? Ach, leć, słowiku, byle dalej – rzuć karawanę!

A więc – na Bagdad! Niech was gna w kłęby błękitu droga zła,
Uderzcie w dzwon, co piekłu gra! Kto was zawróci? Bo nie ja!
Słońce wam wnet przepali ciemność, zabarwi krwią, zielenią cienie,
Aż wreszcie wyżre ciało z trupów, o karawano, karawano!

Podróżny z wyschniętymi usty, jadąc w gorączce przez kraj pusty,
Zobaczy nagle z przerażeniem palm pióropusze nad strumieniem,
[ostatni miraż!
Śpiewak, co trele wznosił rano, zostanie w tyle, karawano!
W nocy przed Bogiem on uklęknie i będzie śpiewał jeszcze pięknie.

Ten z Beduina ręki padnie, tamtego w drodze piach ogarnie
Aż oślepiony, szczerze marnie i ktoś szepnie: „Jakżeś samotna, karawano!”.

Idź, karawano, śmierci pochodzie, na zatracenie, na zły los!
Głupcy! Nie prawilbym wam tyle, alem Śpiewaka słyszał głos.

*Strażnik Bramy Zachodu po pieśń swoją siega,
Gdy się otebłań kopuły niebieskiej pogłębia.*

Wrotami jestem do morza: Ku mnie, o żeglarze!
Słyszę wasz śpiew z Libanu, sławiący cuda morza.
Smoczozielone, połyskliwe, mroczne siedlisko węzów – morze!
Spryskane śniegiem wino ziemi, w białoblękitnej pianie – morze!

Za morzem miasta są z wieżami, gdzie lwy i lilie wyrzeźbiono,
Lecz żywej duszy tam nie ujrzysz, a ich ulice w ciszy toną.
Hen, za miastami leży wyspa, gdzie skutą gigant gryzie ziemię,
Majaczy cień wielkiego skrzydła na nagich plecach; trwa milczenie.

Za wyspą skała, która krzyczy jak w strasznych snach ludzie szaleni,
A z jej czeluści dniem i nocą wytryska krew setką strumieni.
Dalej Zatoka Ukojenia; wiatr wód jej marszczyć się nie waży.
Mówią, że rzymskich tam okrętów strzegą blaszani marynarze.

Gdzieś, na zachodnim krańcu ziemi siedzi żydowski król Salomon,
Z brodą do pasa, swój magiczny pierścień zaciska starczą dłonią.
A kiedy pierścień mu ukradną, wstanie, urażon na honorze,
Na grzbiet zarzuci kulę ziemską i ciśnie ją aż poza morze.

*Teraź pieśń usłyszymy Wrót Północy pana;
Skory on jest do śpiwu, lecz bardziej do dżbana.*

Jam brama uciech, do Aleppo wiodę; nim dwa dni miną, zakończysz drogę.
Zrzuć z serca strach i naprzód zmierzaj, bracie nam niemiłego zwierza.
Nie musisz wiele się nachodzić, nic oprócz pchel ci tam nie grozi;
W Homsie podadzą ci śniadanie, a noc bezpiecznie prześpisz w Hamie.

Wież do Aleppo filigrany, miękkie morele i stoliczki
Masą perłową nabijane, naczynia z brązu i doniczki.
Sprzedasz swój towar trzykroć drożej niżli w Damaszku, na gorąco,
Kupisz ormiańską niewolnicę, przyjemnie pulchną i pachnącą.

Jedni są z szlachetnego pnia, w drugich mordercza żyłka gra,
Inni zgłębiają sztuk meandry, ja tam czcigodny wolę handel.

Sprzedawaj zgnilki, sam kupuj dorodne; mają słabe głowy, a kiesy zasobne;
Kupcy z Aleppo bowiem słyną z swej głupoty! Saleem Alejkum, bracie,
[rychłego powrotu!]

*Oto jest pieśń strażnika Bramy Południowej,
Starsza nawet od niego, choć ma siwą głowę.*

Jam mihrab murów Damaszku i grzech się mnie nie ima;
Łukiem Allacha jestem, mostem na wielki Synaj.
Powstań pielgrzymie ducha; róg nocy wschodzi na niebie
Głos dusz nienarodzonych to przedsmak raju dla ciebie.

Ku Mekce spoglądałeś w modłach z tęsknotą w sercu, z ogniem w oku;
Ach, hadzi, czyżbyś miał zawrócić, gdy już tu jesteś, na mym progu?
Bóg drogę wskaże ci do studni i swoim cieniem cię obejmie,
Sprawi, że ci nad uchem nocą wielbłąd Proroka dzwonkiem brzęknie!

Bóg też oczyści twoje ciało, siłę ci da, by przetrzymało
Straszliwy, choć pozorny ból, i wróci cię do Życia znów.

Bóg duszę twą uczyni Szklę, gdzie sto tysięcy przetrwa er,
I ujrzysz światy tam błyszczące jak rosę, która lśni na łące.
O synu islamu, być może zrozumiesz, gdy staniesz przed drogi swej celem,
Kto po ogrodzie twym chadza nocami i skłania głowę, zwąc cię Przyjacielem.

Przetłoczyła Anna Bańkowska

Przekład Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Patrick Galvin

Ciotka Bridget

(fragment)

Pewnie powiecie, że pod pewnymi względami moja ciotka Bridget była szurnięta. Oczywiście dużo ludzi tak myślało. Nosila płomiennie czerwoną bluzkę, faldzystą czarną spódnicę, męskie buty – i opowiadała dzieciom baśnie. Kiedy ją spotkałem, był wieczór.

Siedziałem na chodniku przed sklepem ze słodyczami panny Mac przy Mary Street. Pojawiła się zza rogu niosąc w papierowej torbie wszystko, co posiadała na tym świecie. Zapytała – kim jestem. A kiedy odpowiedziałem, oznajmiła:

- A ja jestem twoja ciotka Bridget.
- Ta wariatka?
- Niektórzy tak mówią. Ojciec w domu?
- Nie ma, wszyscy wyszli.
- Posiedzę z tobą póki nie wrócą.

Usiadła koło mnie na chodniku i otworzyła torbę. Wyciągnęła garść cukierków i podsunęła mi jeden.

- Nie wolno mi brać słodyczy od obcych.
- Nie jestem obca – powiedziała. – Jestem twoją Ciotką.
- Ojciec mówił, że jesteś stuknięta. Uciekłaś z domu i przyłączyłaś się do Cyganów. Wcześniej byłaś normalna.

- Czyżby?
- Nie wiem. Teraz o tobie już nic nie mówią. Wróciłaś?
- Tak sądzę.
- No to już wezmę tego cukierka. Możesz mieszkać z nami.

I tak zrobiła, dopóki nie znalazła własnego domu na końcu Evergreen Street.

W młodości, mówił ojciec, Ciotka Bridget była dziewczyną godną szacunku. Co niedziela chodziła na mszę, kształciła się w przyklasztownej szkole i nauczyła się skromnie pochylać głowę w obecności płci przeciwnej. Odzywała

się, ale tylko wtedy, gdy ją zapytano. Nigdy nie przerywała, kiedy przełożeni i starsi prowadzili swoje poważne rozmowy.

Ale kiedy dobiła do czterdziestki, jak opowiadał mój ojciec, nagle zmieniła się na gorsze. Beznadziejnie. Nie wiadomo jak to się stało, ale pewnego dnia spojrziała na siebie w lustrze i powiedziała – „nie”. I nazajutrz ubrała się inaczej, kupiła sobie parę męskich butów i ogłosiła, że od tej chwili zamierza wędrować po drogach Irlandii i opowiadać dzieciom baśnie. Dotrzymała słowa – a jej opowieści były czarodziejskie.

Była na przykład taka pogodna opowieść o dziewczynie, która znalazła motyla, co stracił swoje barwy. Dziewczyna namalowała motylowi nowe kolory, a ten pofrunął, żeby utkać tęczę nad miastem. I słuchając mojej Ciotki mogłem zobaczyć tę tęczę. Wznosiła się łukiem poprzez jesienne niebo, a ja widziałem jej odbicie w oczach Ciotki.

To znów była baśń o młodym chłopcu, który wspiał się na najwyższą górę świata, a kiedy dotarł na szczyt znalazł portret kobiety wyrity głęboko w skale. A dziwne w tej historii było to, że nikt przedtem – jak twierdzono – nie wdrapał się na tę górę.

Och, moja Ciotka umiała dobrze opowiadać. Opowiadała tak, żeby do końca historii zachować napięcie i żeby zagadka była przedziwna.

Były i inne opowieści. Jak ta, że pewnego razu zobaczyła kobietę pogrzebaną w lodzie, albo że widziała drzewo spacerujące sobie drogą. Jego gałęzie pełne były niezliczonych obłoków, a liście migotały błękitnymi gwiazdami. Pomyślała sobie „dlaczego to drzewo chodzi po drodze skoro po prostu mogłoby bez trudu latać?”. Przecież drzewa mogłyby latać gdyby nie musiały stać spokojnie i utrzymywać swoimi korzeniami świata w całości.

Jej technika była prosta. Historie były prawdziwe, a ona napelniała je cudami. Tego rodzaju cudami, których nie zrozumiałby dorośli, ale dziecko rozumiało na pewno. Mojej Ciotce dzieci ufaly. Kiedy widziała jakieś dziecko na ulicy, wyciągała rękę, a ono reagowało na ten gest, chociaż mogło w ogóle nie odzywać się nigdy do żadnej innej ludzkiej istoty.

Zdaniem mojej Ciotki dzieci były zupełnie wyjątkowe. Nie potrzeba im mówić, że świat spoczywa na grzbiecie ogromnego żółwia. Każde dziecko to wie. Dlatego świat cały czas się kołysze, macie trzęsienia ziemi i plagi i klęski głodu i koklusz i ospę wietrzną i odrę. Gdyby nie drzewa, które swoimi korzeniami trzymają wszystko w kupie, świat by już dawno temu rozleciał się i pogrążył w otchłani. Moja Ciotka tak twierdziła. I miała rację.

Mówiła też, że niebo nie zawsze jest niebieskie. Może być w każdym kolorze, w jakim byście zechcieli, żeby było. Pewnego razu zobaczyła różowe

niebo i tak jej się spodobało, że utrzymała je w tej barwie przez cały tydzień, nie zważając na ludzkie gadanie, że jest stuknięta. Dzieci nie uważały jej za wariatkę. Niebo należało do mojej Ciotki – jak już sama skończyła z tym kolorem, to przekazała niebo dzieciom, a one mogły przemalować je na taki, na jaki chciały.

Kiedy moja Ciotka nie opowiadała dzieciom baśni, szyla dziecięce ubrania i sprzedawała je sąsiadom za tyle, na ile ich było stać. Czasami wszystko, na co ich było stać, to podziękowanie. Ale to też było w porządku. Potrafiła sobie radzić.

I robiła lalki – papierowe lalki ze sznurka, gazet i kleju, który wyrabiała własnoręcznie. Można było zobaczyć ten klej, jak bulgocze w garnku ryzykownie wiszącym nad ogniem. Gotowała go w podwórku na tyłach jej domu przy ulicy Wiecznie Zielonej. Ciotka nie miała się czego wstydzić. Trzymała wielką kopyść i mieszała kłajster. Mogłem dosłyszeć jak cicho podśpiewuje – „Gdybym była wiedźmą, to bym mogła zmienić świat”. Ale wiedźmą nie była. Była moją samotną Ciotką Bridget. Artystką, bajarką i wielbicielką dzieci. Kiedy umarła niebo zrobiło się jasnoróżowe i takie pozostało przez długi czas.

Przełożyła z angielskiego Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Patrick Galvin (Cork 1927 – Cork 2011) irlandzki prozaik, dramatopisarz, poeta, śpiewak folkowy, zbieracz i autor ballad. Autor wspomnieniowej, autobiograficznej trylogii „Song for a Poor Boy”, „Song For a Raggy Boy” i „Song for a Flyboy”. W swoim urozmaiconym życiu był w poprawczaku, co opisał w książce „Song for the Raggy Boy” (powieść została sfilmowana), w czasie wojny był lotnikiem w RAF-ie, wędrował po Europie jako śpiewak, jakiś czas mieszkał w kibucu. Razem z drugą żoną, Mary Johnson – pisarką i nauczycielką, był organizatorem i uczestnikiem prestiżowych międzynarodowych festiwalu i konkursów literackich. Przełożony fragment pochodzi z tomu „Song for a Poor Boy” (1990). (kj)b

Przekłady Danuty Cirlić-Straszyńskiej

Lidija Dimkovska

Serce Chopina

Serce Chopina w Warszawie –
zamurowane wewnątrz, w filarze kościoła –
nie może, nawet gdyby chciało, opuścić ani jednej mszy.
Słucha spowiedzi zdrajców i nieszczęśników,
liczy podpisy pod protestami
przeciw aborcjom i jednopłciowym małżeństwom,
kurczy się od mnóstwa symboli narodowych,
przeszłość wspomina jakby to było wczoraj,
przed nim fotografują się turyści, sami,
drży z zimna, ze strachu, ze zwątpienia, z zaufania,
zakochuje się, odkochuje
podczas koncertów na jego cześć
przewraca się na kamiennym posłaniu
albo uszczęśliwione wzdycha,
dźwięki organów do snu je kołyszą,
w obliczu historycznych przewrotów cierpi na bezsenność,
w wiecznej kryjówce przed Bogiem Bóg nie może go znaleźć,
a ono – znaleźć Boga.
Na koniec każdej mszy
ksiądz mówi „Idźcie w pokoju”,
a wierni tłocząc się u drzwi śpiewają
„Bogu niech będą dzięki”.
Wtedy i serce Chopina chciałoby wyjść
za wszelką cenę, wyjść na wypadek pilnej potrzeby
albo przez jakąś szparę w murze,
lecz muru nawet głową nie przebijesz,
a co dopiero sercem.
Uwięzione w filarze kościoła
w swej niemocie nadyma się, z przerwami stuka,
a mnie strach bierze, czy wytrzyma do końca,
czy między kapłanem a wiernymi
na oczach wszystkich przeżyje
udar?

Lidija Dimkovska – macedońska poetka, prozaiczka, tłumaczka – ze swoją książką poetycką *pH obojętna wobec życia i śmierci* finalistka Międzynarodowego Festiwalu Literatury Europejski Poeta Wolności, Gdańsk 2015 – przywiozła ze sobą nowy siódmy już tomik *Crno na belo* (*Czarno na białym*, Skopje 2016). Z niego pochodzi wiersz *Serce Chopina*. O Chopinie przy okazji pobytu w Polsce pisywało „z uczuciem” wielu zagranicznych poetów, ale nikt tak jak Lidija. Żadnego kadzidla, a refleksja – jak często bywa u poetki – niespodziewana i zaskakująca: podszyte nutą protestu współczucie dla Umarłego. (dcs)

Gjoko Zdraveski

Nota o autorze

ja nie jestem
pisuję wiersze
ale dziwię się gdy ktoś mówi
poeta!
może dlatego że jeszcze nie wiem
co to znaczy
może dlatego
że robię mnóstwo innych rzeczy:
czytam
na przykład
czyż nie jestem czytelnikiem?!
i mówię do siebie głośno
gdy coś nie jest dla mnie jasne
patrzę na zachodzące słońce
bez okularów słonecznych
cieszę się
spieszę się
i chucham
w dłonie
kiedy na dworze jest wściekle zimno
nocą
na pogodnym niebie
szukam wielkiej niedźwiedzicy
i od lat dwudziestu z górą nie mogę jej znaleźć
o trzeciej i oho
(naturalnie w nocy)
zjadam paleczki z pieca w dzielnicy czair

albo salate z serem i oliwkami u
mamusi
albo dwa puchate pączki
jeden z kremem
drugi z dżemem
wdrapuję się
do muzeum sztuki współczesnej
i patrzę z góry na skopje
(znowu – nocą)
w dzień wspinam się na górę vodno
wypijam trzy herbaty z łyżeczką cukru
i za każdym razem sprawdzam jak szybko się wspiałem
(47,35
przed posterunkiem policji
cztery lata temu, w sierpniu
bez plecaka
tylko w czerwonych spodenkach adidasach
i wiem że to było we wtorek)
ludzie mówią
czemu się tak spieszysz
a ja po prostu
lubię się spieszyć
do swoich trzech herbat z łyżeczką cukru
i zawsze mam ręcznik zatknięty za pasek
nie żebym się pocił
ale mój tata też taki nosi

placę
najczęściej ze szczęścia
ale też bywam smutny
za każdym razem gdy czerwony autobus
można powiedzieć pusty
rusza z peronu
ja ze środka macham
moi na dworze się uśmiechają
a wiem że w duchu plączą
mówią do siebie coś czego nie mogę usłyszeć
a sto razy już to słyszałem
lubię
w poniedziałki włóczyć się po skopju
wypijać dwie wielkie bozy w *stajence*

jedną w kubraczku a drugą z kulką stracciatelli
wstępować do księgarni i szukać książek
których pewien jestem że nie ma
wielkiej wody czinga
albo dzieł zebranych cepenkova
na przykład
a kiedy siostra pracowała
wpadłem tam na pięć minut byle ją zobaczyć

lubię chodzić z markiem do zoo
gdzie kozły i jelenki zjadają figi z ręki
lubię dziwić się małpom
wołom
i mówić: to grzech
trzymać tu tygrysy, orły i lwy

lubię pogadywać z dziadkiem
o światach w jego głowie
i kiedy mruga i wpatruje się zdumiony
w jakiś swój zachód
w swoją wielką niedźwiedzicę
nad wsiami kostinci, koszino, zrze
lubię gdy nie wiedzieć czemu i skąd zapyta
kiedy wyjeżdża ane?
wie, znaczy się, z kim rozmawia

i lubię mówić annie jak bardzo ją kocham
kiedy śpi
i lubię wstawiać do wiersza
ludzi których kocham
tak sobie
bo po prostu mi się kocha

(i skopje kocham!)

jestem wszystkim co kocham
i czego nie chcę tak samo

i dlatego
po stokroć dlatego
dziwnie się czuję kiedy słyszę

poeta
 a nie
 wędrowiec zapatrzonny w zachód słońca
 szczęśliwy poszukiwacz wielkiej niedźwiedzicy
 mierniczy czasu spieszący do swoich
 i do trzech herbat z łyżeczką cukru
 machający ręcznikiem z autobusu
 amator boży książek kochania niechcenia

i jeszcze czymś bez liku jestem
 i niczym nie jestem

jestem wszystkim
 i niczym nie jestem

wszystkim i niczym
 niczym i wszystkim

albowiem cisza też mówi
 i pustka zajmuje miejsce

Przełożyła Danuta Cirlić-Straszyńska

Gjoko Zdraveski (ur. 1985 w Skopju), autor tej oryginalnej „noty”, którą przełożyłam, ma swój tomik w moim przekładzie pt. *ciało pamięta wszystko*. Trójjęzyczne tomiki (w tym wypadku, poza przekładem polskim, także angielski i oryginał macedoński) publikuje Instytut Kultury Miejskiej w Gdańsku, w serii Versopolis, przy wsparciu Unii Europejskiej. Mogę dodać, że w tym roku pięciu młodych poetów z różnych krajów zaprezentowało się w tej serii bardzo interesująco.

Zachęcona wierszami Gjoka Zdraveskiego, sięgnęłam po inny jego tomik *Domek dla ptaków wędrownych* (2013), z którego pochodzi niniejsza nota o autorze. (dcs)

Przekłady Grzegorza Łatuszyńskiego Slavomir Gvozdenović

Brutalna podróż

zachowała się ostatnia ewidencjonowana notatka
o sprzedaży „Czternastu słoneczników w wazie”
Galerii Narodowej w Londynie
rodzina van Goghów
sprzedała płótno nieszczęsnego malarza
znane muzea
namiętni kolekcjonerzy
zagraniczni szubrawcy
wielki wolny rynek
wszyscy w zadziwieniu
nad szaloną sprawnością malarza
piękno pola
przeniósł w nieskończoność
nieskończoność w wazę
wazę w duszę świata

niemal dwa wieki później
a gołymi rękami
z bosą duszą
rozbrojony został przed hordami

nieszczęśliwy wypadek
słysz: zamknij oczy zobaczysz ciemność bogów
w każdej głowie i w każdym płatku

Czy to ja widziałem Chicago

bal wampirów
na Jeziorze Michigan
parodiują rozkraczoną krasawicę
Teslę we śnie Borgesowskim
jak to się gasi i gasi i poprzestaje
niczym zmarzniete drzewo w paszczy ryby
co mnie właściwie spotkało przed gołębiem

pod niebem z niezabliźnioną raną

to jest zalew ludzi
jakie powietrze jakie kotły
ta łódź to skorupa z Rzymu
diabelskie wiosło w koszmarze nocnym
potwór w cichej robocie

Jestem gawronem postmodernistą

wchodzę do miasta którego nie ma
szukam uparcie szukam rozdrażniony
i
parszywy
czego nie ma
przystaję przy tramwaju i nodze smoka
marzę o wniebowzięciu
jej cień ukazuje mi się jako napomnienie

o brzasku w popiele
w kamieniu i smole
buduję niewyobrażalne lustra
kochałem ciebie a bezsensu nie widać
zawstydzony
wstępuję do partii których nie ma
na języku co głośnie mam grzeszną myśl
gawron postmodernista
czekam na jaskółkę
przyodziejwam się publicznie
pokropi na świętego Jerzego
dla jej oczu
ostatni zapis na pianie

Ojciec podaje mi rękę

w jego ręku zasypia cesarskie miasto
cesarzowa spodziewa się składnego chłopca
odsuwa palec wskazujący ojca
otwiera cesarskie okno
i wietrzy bielizną

zamiast jedwabnej koszuli dotyka nocnej mary
i galopu dzikich koni
rano zbiera rosę w ogrodzie
myje się małym palcem ojca
za stołem podczas śniadania uśmiecha się cicho do męża:
mój dzielny narodzie śpiewaj do zmroku

1988

Slavomir Gvozdenović, poeta serbski, ur. w 1953 w Rumunii, studia filologiczne ukończył na Uniwersytecie w Bukareszcie. Jest członkiem Związku Pisarzy Rumunii i Związku Pisarzy Serbii, redaktorem naczelnym serbskiego czasopisma „Književni život” wychodzącego w Timișoarze. Wydał kilkanaście tomików poetyckich i wiele przekładów serbskiej poezji na język rumuński i rumuńskiej na serbski oraz kilka antologii poezji serbskiej. Jest laureatem prestiżowych nagród literackich serbskich i rumuńskich. Jego poezja tłumaczona była na angielski, francuski, włoski, rumuński, niemiecki, rosyjski, ukraiński i słowacki. (gl)

Nina Živančević

Prometeusz

Dla Boba Lennox

Wiem, że nazwałeś mnie złodziejem, bo ukradłem ci ogień,
I że nazywałeś mnie idealistą i romantykiem,
Gdyż chciałem podarować ludziom trochę światła,
A żeby upokorzyć mnie całkiem, przyprowadziłeś mi brzydkie,
Nadęte ptaszysko, och, jak ta skała była osamotniona,
Ten ptasi mózdzek nazwałeś „orlem” z czystej złośliwości,
A gdy go utożsamilem z Państwem i silnym przemysłem,
Nazwałem „Frankensteinem”,
Potem namówiłeś to wstrętne ptaszysko, by żarło mi wątrobę,
Ale nie dbałem o to, gdyż znów się potroiłem,
Pewnego dnia jednak wszystko to mi się znudziło.
Zmęczony zwołałem „pomocy!”, ale nikt mi nie przyszedł z pomocą,

Wtedy powiedziałem do orla: wynoś się!
 Na co ten się dziwnie uśmiechnął
 I odleciał, a ja zastanawiałem się
 Zadziwiony, co się z tego stało z ludźmi,
 Którym podarowałem wiedzę? Czymś obrzydliwym,
 Nie do pojęcia,
 Jest stan, w jakim znalazł się świat.

Trepy świętego Walentyna

Sarżę

Dziecko miłości, opuszczone dziecko,
 Sposób, w jaki nosisz ramiona
 I jak się uśmiechasz,
 Dobrze jest nam znany;
 i gdy tak chodzisz bosą po tym zimnym świecie,
 Samotnie w poszukiwaniu czułości,
 W przykrótkim sweterku, ze strawą, której nie chciałabym
 nawet próbować,
 Z lakierem do paznokci, skradzionym w pobliskim markecie,
 Z elegancką koszulą nocną, której nigdy nie wdziałas,
 Można by powiedzieć - znam cię dobrze!

I dlatego nie bój się chłodnych dni ani lodowatego wiatru, który
 nas przeszywa,
 Moje dziecko zawsze będzie cię kochało,
 A trepek ze „smeilem”, które ci kupiłam, nie musisz nosić,
 Chociaż na specjalne zamówienie robione były dla ciebie!
 W chwili niebezpieczeństwa, rozbij to okno, ale nie skacz
 przez nie, przyszłość jest
 Znacznie mądrzejsza od tego, co my o niej wiemy,
 Jest to produkt stalowy, pokryty dywanem fiołków,
 Jest ona mądra do czasu, póki w nią wierzysz,
 I póki jej służysz

Śniłeś mi się ubiegłej nocy

Mój daleki pra-, pra-
 Pradziadku,

Pozostawiłeś za sobą wioskę zupełnie sam
Odwróciłeś się do niej słabiutkimi plecami,
Ruszyłeś w stronę polany w lesie skąpanej w słońcu,
Nogi się uginały pod tobą, nie mogłeś iść,
Za tobą zostały setki trupów.
Potem tę wieś nazwano Čumica, czyli
Osadą, którą wykosiła czarna dżuma.
Nazwałeś się Živančeviciem, czyli Tym, który
Pozostał Żywy.
Później dotarłeś do jakiegoś wzgórza,
Ogrodziłeś je i zbudowałeś cerkiew na chwałę Pana
i archaniołów, którzy pozostawili cię przy życiu.
To miejsce stało się Arhandjelovcem, czyli
Miejscem, gdzie króluje Błogość.
Wczoraj ja też modliłam się do wszystkich aniołów,
Którzy pozostawili mnie przy życiu, długo myślałam o tobie, długo
o istnieniu,
genetycznie wbudowanym w molekulę kwasu.

8 marca 2009

Społeczność

Nie powinni się
Zbyt przyzwyczajać
Do mojej obecności, mówiłam sobie.
W Akademii Poetów Francuskich,
W ich Senacie pełnym starszych
I ociężałych mentalnie ludzi,
Ściany dyszą głupotą i smutkiem,
A wszyscy mecenasi i sponsorzy
Poddani są jakiejś dyskretnej postaci szaleństwa -
Napisałiby pastisz, gdyby dać im ołówek,
Poprosili mnie o przygotowanie wykładu o generacji
Bitowców,
Kiedy znajdę na to odpowiednią chwilę...
Ejże, poczekajcie trochę!
Trzymałam was na smyczy
Dość długo,
A wy szczekaliście, krzyczeliście

I skomliliście pod moimi drzwiami,
 Gdy odwiedzaliście mnie, rzucałam
 Kostkę pod oślinione pyski.
 A w chwili, kiedy natrętnie skakaliście
 Wokół mnie wnosząc swoją woń –
 Otwierałam na oścież
 Okno na ulicę.

Wielkie parskanie

Oto trzy artystki
 Gdzieś biegna po zaproszenia
 Na wielki obiad i wielką uroczystość
 W ekologicznie chronionej
 I wodorowo obronionej
 Restauracji
 A dwie galerystki i trzech sponsorzy
 Przemierzają ściany, na których
 Są cztery dzieła sztuki
 I rozkoszny uśmiech
 Robotnika pomocniczego
 Który otrzymuje dzienną
 Zapłatę w wysokości jednej dziesiątej
 Ich obiadu
 Oto szofer ciężarówki
 I oto napompowane gumy
 Wśród których leżą
 Setki katalogów artystycznych, których
 Poza autorem nikt inny nie czyta,
 Oto butelki wina
 I kilka kartonów soku owocowego
 Dla dzieci i starszych kolekcjonerów
 A oto są i stolarze, którzy
 Wstydliwie wyglądają spoza siedmiu
 Komputerów i sześciu projektorów wideo
 Oto krytycy sztuki
 W podartych skarpetkach
 I wyperfumowani dziennikarze
 Oto ambasador i jego
 Cztery kochanki

Oto minister kultury
 Jego dwaj goryle
 Oto drukarz i jego gruba
 żona i oto falanga głodnych
 studentów sztuk pięknych
 Którzy zakresłali na liście zdarzeń
 To wszystko jak „koktajl numer cztery”
 Oto ławeczka i oto stolik, i oto
 Ja z trzema telefonami komórkowymi
 Gdzie się modłę do Boga – tylko teraz
 Nie pozwól, Najwyższy, by złapał mnie
 ischias, wszyscy są weseli, ja również,
 O, jakie to życie bez sztuki,
 I bez idei, a cóż dopiero bez pieniędzy
 Smutne, i wybaczą nam, wszystko
 W ostatniej chwili,
 Przed naszym wielkim
 Zamroczeniem
 Umysłu.

Przetłumaczył z serbskiego Grzegorz Łatuszyński

Nina Živančević, poetka, prozaiczka, eseistka i krytyk. Zadebiutowała w 1982 roku tomikiem poetyckim „Wiersze”, który przyniósł jej nagrodę im. Branka Radičevića za najlepszy debiut roku. Opublikowała do tej pory 13 zbiorów poezji po serbsku, francusku i angielsku, 6 tomów prozy i 2 eseje teoretyczne – monografię o recepcji dzieła Miloša Crnjanskiego i studium o serbskich artystach na uchodźstwie, „Onze femmes artistes, nomads et slaves”. Jest laureatką wielu nagród literackich, prezentowana jest w wielu antologiach krajowych i zagranicznych, w tym również w „Antologii poezji polskiej XX wieku” Grzegorza Łatuszyńskiego. Wykładała literaturę i teorię awangardy teatralnej na wielu uniwersytetach, m. in. na Naropa University, New York University, the Harriman Institute, St. John’s University w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w Europie natomiast od lat wykłada na Sorbonie i na uniwersytecie Paris 8.

Żyje i pracuje w Paryżu. (gł)

Przekład Jerzego Marciniaka

Piotr Marciniak

Śnieżna Wielka Sobota

Mały zaczął grzebać w kieszeniach niebieskiego płaszcza, który miał pod spodem, i wyciągnął dwie niewielkie butelki. Odkręcił nakrętkę z jednej, wypił kilka łyków i zastygł na moment w bezruchu. Może doszukiwał się smaku w tym, co wypił, może chciał wynaleźć jakieś usprawiedliwienie dla siebie, że pil w post, a może chciał przygotować gardło do śpiewu pieśni patriotycznych, w czym się ostatnio specjalizował. Gruba Kobieta i Lekarz zmagali się intelektualnie i trochę fizycznie z kłódką, na którą zamknięte były drzwi lodówki. W środku prawdopodobnie były artykuły żywnościowe.

Mały zarzucił swój bezruch i przeszedł do przeszukiwania kieszeni szarego płaszcza, który miał na wierzchu. Po chwili wyciągnął dwie ćwiartkowe butelki i z jednej wybił korek. Pokrzepił świadomość kilku łykami i zamarł w bezruchu. Po chwili zaczął nucić „Pierwszą Brygadę”.

Gruba Kobieta, słysząc jego śpiew, pokręciła zaprzeczająco głową i podeszła do okna. Mały przerwał artystyczną działalność i stanął obok niej. I była to taka nowa jakość w jego zachowaniu, ponieważ zazwyczaj unikał konfrontacji swojego niskiego wzrostu z jej wysoką i korpulentną postacią. Często szli razem na spacer do starego parku. I wtedy ona szła swoim szerokim krokiem środkiem alejek i uważała, by nie zahaczać głową o nisko zawieszone gałęzie. A on drobnymi kroczkami dreptał poboczem z jednej albo drugiej strony.

Gruba Kobieta wolnym ruchem powiodła po rosnących za oknem drzewach i z taką nutą zamyślenia pokiwała przytakująco głową. Mały powiedział za nią to, co ona chyba miała zamiar wyrazić.

– W Wieczór Wigilijny byliśmy tutaj i całą noc padał deszcz, dzisiaj jest Wielka Sobota i pada rzadki śnieg.

Wszyscy odruchowo popatrzyli przez okno, jakby chcieli sprawdzić, czy wypowiedziane słowa wyrażały prawdę. Po chwili Mały odchrząknął i zaczął mówić.

– Ja jestem w rzeczywistości potrzebny Pisarzowi i reżyserowi, bo inaczej by nas tutaj nie wpuścili, to oni mnie potrzebują... zresztą ja sam mam więcej wyobraźni niż oni obaj, potrafię od razu o czymś mówić i to w sposób bardzo barwny, a oni tego nie potrafią, Pisarz pisze powoli, a do tego jeszcze dużo powykreśla później z tego, co stworzył, ja nic nie wkreślam z moich wypowiedzianych tekstów prozatorskich czy poetyckich i to jest ta wielka różnica między moim spontanicznym, autentycznym talentem a ich dyplomami z wyższych,

artystycznych uczelni, inaczej mówiąc, ja mam talent, a oni nie za bardzo, a są znani, bo wysługują się władzy czy osobom wpływowym i gazety później dobrze o nich piszą, ja się wysługuję jedynie sobie samemu, czy czasem wam, i to jest ta kolejna różnica, a po drugie czy trzecie albo czwarte, oni chcą wyciągnąć ode mnie tę wiedzę, której ja na dobrą sprawę nie posiadam, jedynie się jej domyślam... a gdybym nawet ją miał, to i tak bym im prędko nie powiedział, bo lubię jak mi znane osoby jedzą pokornie z ręki.

Mały odszedł na bok, wybił korek z tej drugiej butelki, którą wyszukał w szarym płaszczu i dodał sobie animuszu.

– Pisarzowi na poczekaniu opowiedziałem o Starym Rybaku i burzy na morzu, która uprowadziła żaglówkę z przystani, i jak mówiłem, to on chwilami nie nadążał tego notować... wyją fale, wyją, a on z krzykiem na ustach wpada w morze i prze do przodu, fale ryczą, ryczą i zalewają mu gorzką wodą usta, a on krzyczy głośniej i coraz głośniej, idzie w przód, potyka się, znika pod wodą, podnosi się i znowu prze w stronę głębin, które porwały mu kogoś bliskiego, fale szaleją, pienia się białe ich grzbiety na tle ciemnej nocy, a on idzie dalej i zapada się coraz głębiej, spod wody słychać jego głośny, zbolwały krzyk, a fale wyją z każdą chwilą głośniej i groźniej, ich białe grzbiety częściej i częściej powyżej jego starczej głowy, a on i tak idzie i idzie do przodu, wdziera się w głębinę i cały czas krzyczy, i nawołuje te, co zostały na morzu... ja to mówiłem, ale on i tak chciał usłyszeć to, czego ja nie mam zamiaru im mówić, że pisarz Jerzy Marciniak mieszkający w Szwecji to pijak, szuja, kłamczuch i ostatni tchórz, ale ma dobre powiązania rodzinne i... i to jest to wielkie i... bo on jednymi koneksjami rodzinnymi bardzo się chwali, a inne starannie ukrywa, ja z grubsza wiem to, czym się chwali, bo czytałem jego powieść „Urząd Lekkich Obyczajów”, wiem też z cienka i o tym, co on nieustannie ukrywa, że jego daleki krewny był podejrzany o zabójstwo Marty Rydz-Śmigły, żony marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego.

Gruba Kobieta zaczęła uważnie patrzeć w jego twarz, a później wierzchem palców pogłodziła go po policzku.

– Pisarz jest wykształcony, ale w ogóle nie miał i prawdopodobnie nadal nie ma wyobraźni, dlatego po cichu mnie woła, daje coś do zjedzenia i prosi, żebym mu opowiadał... Zresztą inaczej to by nie dał nam tyle prowiantów.

Wzrokiem wskazał lodówkę.

Lekarz schował szydło i wytrych, którymi próbował otworzyć kłódkę i podszedł do Małego. Patrzyli na siebie w milczeniu. Jeden nie chciał nic mówić, drugi być może nie miał nic do powiedzenia, więc w końcu odwrócili od siebie wzrok i Lekarz podszedł na skraj ganku. Wyciągnął daleko rękę przed siebie i zaczął łapać w nią padający z rzadka śnieg.

– Widziałem kiedyś takie wzburzone jezioro, to było latem w Nowej Wsi Zbąskiej, gdzie byłem na obozie żeglarskim, a później pobiegłem tam dokąd

biegli ludzie... na brzegu leżała młoda dziewczyna, którą ratownik z naszego obozu wyciągnął z dna jeziora i kilka osób starało się ją odratować, ale to było już za późno... ja jej nie znalazłem, ale ona była mniej więcej w moim młodym wieku i... i ja jej martwej postaci i tego wszystkiego, co się wtedy na brzegu jeziora działo, do dnia dzisiejszego zapomnieć nie mogłem... mówiłem o tym Starym Rybaku, ale ją miałem przed oczyma, mówiłem o tych falach na morzu, ale widziałem to jezioro wzburzone gwałtowną, letną burzą. Zamilkł i opuścił wzrok.

Gruba Kobieta podeszła do okna i zaczęła błądzić wzrokiem po nabrzmiałych i powoli przesuwających się na zachód chmurach.

Opady śniegu zaczęły się nasilać. Pod białym puchem zniknęła żwirowa alejka, śnieżna kolderka przykrywała dach domu naprzeciwko, białe czapy pozakładała przyroda na gałęzie świerku rosnącego przy bramie, białe płatki wypychał wiatr pod daszek altanki czy rozrzucał na kamiennych płytkach ganku, a po szybie szerokiego okna spływały podłużne śnieżne lzy.

Mały popatrzył uważniej na stojącą obok okna Grubą Kobietę, potem przeniósł wzrok na Lekarza i zmienił temat swoich literackich opowieści. Skończył z burzą i zaczął mówić o łagodnym lustrze jeziora, a może dużego stawu, po którym szły dwie panny z mgły.

– Powiedział do mnie jedno słowo; białość – i od razu zacząłem mu o tym mówić... była taka dolina z rzadkimi brzożami i z białej mgły od strony lasu wynurzyły się białe konie, a na nich dziewczyny z jasnymi włosami ubrane w białe, powłóczyście sukienki i był wtedy jasny świt czy taki biały brzask, białe stokrotki pokrywały zbocza doliny, i był biały śmiech młodych dziewczyn z białymi twarzami, i białe prześcieradła suszyły się na drucie przed starym domem ze ścianami pomalowanymi na białą, i konie podbiegły na brzeg jeziora, które pokrywały białe lilie wodne, a później dziewczyny zsiadły z koni, wzięły się za ręce i zaczęły iść po tych białych liljach wodnych, aż poznikały pod wodą.

Gruba Kobieta chyba nie słuchała jego słów, bo patrzyła intensywnie w głąb ogrodu.

– Twoje patrzenie przez okno jest takie uważne, że ty możesz zobaczyć nawet to, czego za oknem już nie ma, bo to, co było widoczne jeszcze przed chwilą, pozakrywał śnieg, a chwilami jest tak poetyckie, że może pozakrywać moją prozę... powiedział do mnie; Monte Carlo, naszykował długopis, kartkę i zaczął uważnie patrzeć w moją twarz... ja w odpowiedzi cały czas milczałem, ale i tak dał mi kilka butelek whisky.

Gruba Kobieta nie zareagowała na jego słowa. Tak jakby chciała wypatrzyć coś, co mogłoby odmienić jej codzienność, przenieść jej ciężką, korpuulentną postać w inny obszar egzystencji albo wyłowić z zapadającego zmierzchu jakąś istotę, która wzięłaby ją za rękę i poprowadziła w lepsze życie.

Mały wyciągnął drugą butelkę z niebieskiego płaszcza, który miał pod szarym, odkręcił nakrętkę i takim półobrotem wkręcił kilka łyków w spragnione gardło.

Chmury pęczniały, nasączały się wilgocią i powoli, ciężko opadały w dół. Daleki jasny prześwit między ciemnymi wierzchołkami drzew w odległym lesie a tymi ciężkimi chmurami kurczył się i zanikał. I było coraz ciemniej.

Lekarz wyciągnął z tekturowego pudełka granatową marynarkę, białą koszulę i ciemny krawat. Strzepnął marynarką kilka razy i zawiesił ją na kłamce drzwi prowadzących do pokoju sypialnego. Później zrobił to samo z koszulą i krawatem.

Relacje Małego z Lekarzem były trudne do zdefiniowania. A jego relacje z Grubą Kobiętą chyba jeszcze trudniejsze. Oni zauważyli Lekarza latem zeszłego roku w parku, jak w wiadrze prał białą koszulę. I robił to z takim jakimś namaszczeniem, jakby ważniejszej rzeczy tego dnia dla niego nie było. Potem wypłukał ją starannie w rzece, zawiesił między drzewami biały sznurek i powiesił na nim koszulę. Mydliny z wiadra wylał do studzienki kanalizacyjnej, wiadro przemył w rzece i poszedł odnieść go do pobliskiego bloku. Wrócił po godzinie albo dwóch i przysiadł na ławce obok nich. Pod wieczór powiedział im, że studiował medycynę, ale mu się nie powiodło, więc chciałby zostać z nimi na kilka najbliższych nocy. Gruba Kobieta i Mały zauważyli, że miał bardzo delikatne i zadbane dłonie. Po Wigilii odszedł i nie było go kilka miesięcy. Na dwa dni przed Wielką Sobotą niespodziewanie wrócił do nich.

Lekarz miał zwyczaj patrzeć uważnie na Grubą Kobietę, gdy rano myła się w rzece i nieraz ręcznikiem wycierał jej plecy. Była to jedyna cielesna relacja między nimi. Odzywał się do niej rzadko. A do Małego prawie w ogóle.

Mały zaczął coś nucić pod nosem, zerkać coraz uważniej na Grubą Kobietę i na rysowanego przez nią zajaczka wielkanocnego na zaparowanej szybie. Po chwili zarzucił jednak nucenie, zarzucił poświstywanie przez zęby i wrócił do prozy.

– Moja babka była mała i bardzo pracowita, ja chociaż jestem niezbyt wysoki, to i tak nigdy nic mi się nie chce robić, gdyby nie wzrost, tobym powiedział, że bardziej wdałem się w dziadka, bo umiem dobrze zmyślać, gdy on był bardzo konkretny... ostatniej nocy miałem trzy płaszcze na sobie, ale i tak trzęsły mną dreszcze, gdyż wiało mocno przez dziury w spodniach, gdy leżałem na brzuchu... Jerzy Marciniak w swoich książkach czy opowiadaniach bardzo często opisuje swoją babkę Julianne Bończa-Romanowską oraz rodziny z nią związane, ale nigdy słowa nie wspomniał o Bernardzie Janie Romanowskim, zięciu generała Władysława Andersa, który siedział podejrzany za zabicie i poćwiartowanie zwłok Marty Rydz-Śmigły.

Rzucalo się w oczy, że Mały był biegły w zawilościach historycznych, które nigdy nie zostały do końca wyjaśnione, ponieważ były bardzo proste i oczywiste. Jednak w czasach historycznie bliższych czuł się też całkiem dobrze:

– Dostałem list polecający od Jerzego Marciniaka tworzącego w Szwecji literaturę na bardzo niskim poziomie artystycznym, list miał mi pomóc w podniesieniu mojego życia na wyższy poziom, ale tak jakby do końca to mi nie pomagał... zadzwoniłem do Poety znającego Jerzego Marciniaka wiele lat i on nie kwapił się generalnie do udzielenia mi pomocy, bo od razu powiedział stanowczo: spierdaj!

Skrzywił się lekko, tak jakby wypił mało wódki z dużą zakąską. Sięgnął jednak szybko do pierwszego płaszcza, który miał na sobie. Wyciągnął zresztą nie butelkę i pośpieszył sobie z konkretną pomocą, po której szeroko i szczerze się uśmiechnął.

– Zadzwoniłem do dramaturga, jestem znajomym Jerzego Marciniaka, i usłyszałem bardzo wyraźnie, pocałuj mnie w dupę... zapukałem do drzwi śpiewaka operowego, otworzyła jego żona, wypowiedziałem tylko połowę zdania, że jestem serdecznym przyjacielem znanego twórcy mieszkającego w Szwecji Jerzego... śpiewak stał w kuchni i przez przedpokój wrzasnął, zamykaj drzwi, a przed zamknięciem kopnij go dobrze w jajca, potem krzyknął jeszcze kilka par niecenzuralnych wyrazów i stracił chyba przy tym głos, bo zaniósł się długim kaszlem, a później wycedził cichym szeptem przez zaciśnięte z nerwów zęby; zadzwonił do Opery i powiedz, że dzisiaj z powodu tego cholernego grafomana ze Szwecji wystąpić nie będę w stanie i pierwszy raz od wielu, wielu lat zakończę wieczór bez głośniejszych braw, mniej więcej tak samo głośniejszych jak gwizdy, które ten grafoman otrzymuje za swoją twórczość!

Skrzywił się trochę bardziej niż lekko. Mniej więcej tak jak po wypiciu szklanki wódki z dużą zakąską.

– Kop szedł celnie i był bardzo mocny, ale odskoczyłem w porę do tyłu, gdyż przy poprzednim liście polecającym sytuacja była podobna, pierwszy kop żony śpiewaka pourywał mi wszystkie guziki w rozporku, drugi powrywał mi też prawie wszystkie guziki w rozporku, trzeci wyrwał z materiałem połowę... tym razem było lepiej, na trzy wyrwało mi tylko dwa, ale materiał był mało naruszony.

Potrząsnął trzymaną butelką tuż przy uchu i skrzywił się z niesmakiem.

Gruba Kobieta musiała rozumieć jego rozterki i pośpieszyła z pomocą. Wzrokiem wskazała lodówkę, a palcem prawej ręki zaczęła rysować na zaparowanej szybie stół wielkanocny z przysmakami. Szło jej dobrze i już po chwili zobaczyć można było lukrowane baby, sękacz, makowiec, sernik, jabłecznik, wazę z pisankami, półmiski zimnych mięs i kielbas, parujące wazy z zupą, z parówkami, bigosem... Lekarz podszedł bliżej i głośno przelknął ślinę. Nic nie mówił, ale Mały i Kobieta wiedzieli dobrze, że od poranka zeszłego dnia nic nie jadł.

Mały odkręcił nakrętkę w butelce i pomógł sobie w wydzwignięciu aktualnej rzeczywistości w obszary o wyższym standardzie przyjemności. Ta przyjemność wyższego rzędu była chyba też i inspirująca.

– Śpiewak operowy musiał być artystą obowiązkowym, bo poszedł do Opery i robił być może to, co mógł robić, ale jak mu pisarz grafoman Jerzy Marciniak całkiem odebrał głos, to i tak mógł zrobić tylko tyle, ile mógł... późną nocą wracał do domu i zataczał się mocno na boki, jakby wypił kilka głębszych, co jakiś czas przystawał, przykładal zimny okład do czoła i głośno przeklinał; k... mać daleki krewny jego babki Bernard Jan Romanowski chyba zapier... Martę Rydz-Śmigły w Monte Carlo, a on mało mnie nie zapierd... bo przeżyć taki wstyd i takie gwizdy, jakie ja dzisiejszego wieczoru dostałem, to jest ponad siły bardzo zdrowego człowieka, uratowała mnie chyba jedynie moja zdecydowana wiara w mój naturalny talent i szybka pomoc z karetki pogotowia ratunkowego, które przypędziło na sygnale... Pisarz sam zresztą zauważył, że grafoman Jerzy Marciniak opisywał w swojej twórczości rząd emigracyjny źle, również źle dokonania II Korpusu, dowodzonego przez generała Władysława Andersa, którego zięciem był daleki krewny jego babki... zauważył, że ciotka grafomana Jerzego Marciniaka była sanitariuszką w II Korpusie, jej mąż był porucznikiem w II Korpusie i oboje znaleźli się później w Kanadzie tam, gdzie i zięć generała Bernard Jan Romanowski, ten ostatni z dosyć dużą gotówką. Potarł kciukiem o dwa palce.

Lekarz miał już chyba dosyć czekania na Pisarza, bo podszedł do łódówki i zaczął robić to, co każdy rozsądny i głodny człowiek robiłby na jego miejscu. Wsadził śrubokręt pod zaczepy, przytrzymujące kłódkę, i zaczął w skupieniu delikatnie pracować.

Smuga światła wpadła do środka i przesunęła się jasnym pasmem po ścianie pokoju. Po chwili podjechał samochód. Pisarz był wysokim i starannie ubranym starszym panem. Stał na chwilę w drzwiach i skinął lekko głową. W rękę trzymał plik zdjęć, które rozciągnął na stole w dwóch rzędach, trochę tak jak talie kart. W górnym rzędzie widać było wzburzone morze, starego mężczyznę, stojącego po pas w wodzie, nadbiegające fale z białymi grzbietami, puste morze, ponownie postać starego człowieka, ale zanurzonego głębiej, puste morze, zdjęcie z dalszej perspektywy, na którym tylko głowa starca wystawała ponad fale, starego człowieka wychodzącego z morza z jakąś postacią na rękach, daleki zygzak błyskawic, starego człowieka, kłęczącego, i na ostatnim zdjęciu dwie lalki w białych sukienkach, leżące na pustej plaży. W drugim rzędzie widać było dolinę zatopioną we mgle, rzadki brzoźowy las, białe konie z dziewczynami na grzbietach ubrane w białe sukienki, białe lilie wodne na jeziorze czy stawie, dziewczyny stojące na powierzchni jeziora, kwiaty białych lilii i na ostatnim zdjęciu puste jezioro, przykryte białymi oparami.

Pisarz podszedł do łódówki i szybkimi ruchami otworzył kłódkę. Popatrzył na Grubą Kobieta, Lekarza i otworzył drzwi łazienki. Potem schował pęk kluczy do kieszeni marynarki i kiwnął przywołująco na Małego. Obaj wyszli na zewnątrz. Silnik samochodu był cały czas włączony. Gruba Kobieta

zaczęła wyjmować prowianty z lodówki i układać na stole. Lekarz po raz kolejny głośno przełknął ślinę.

Po chwili wrócił Mały. W rękę trzymał wizytówkę Pisarza.

– Te zdjęcia są z takich krótkich filmów, na ich tle Pisarz będzie czytał swoje poematy o łódce starego rybaka i wychodzących o świcie z jeziora dziewczynach w białych sukienkach... możemy być tutaj przez całą Wielkanoc, korzystać z toalety i myć się w ciepłej wodzie, nie zgodził się tylko na włączenie ogrzewania, bo uważa, że jak jest kilka butelek wódki w lodówce, to nam i tak będzie ciepło... ja w drugi dzień Świąt będę u niego, bo on chce ze mną rozmawiać, ale później do was wrócę... pójdę tam, bo on bardzo o to prosił.

Gruba Kobieta przytaknęła mu głową, a Lekarz poklepał Małego po ramieniu. Samochód szybko odjechał i zaraz też umilkł szum jego silnika. Gruba Kobieta zamknęła starannie drzwi lodówki i zaczęła przygotowywać postną kolację.

Śnieżycy musiała się nasilać, bo mokry śnieg nie nadążał spływać z szyb i przykrywał je coraz grubszym puchem. Szybko też zasypywał odcisnięte ślady opon samochodu, którym kilka minut wcześniej odjechał Pisarz.

Z języka szwedzkiego przełożył Jerzy Marciniak

Przekłady Alicji Patey-Grabowskiej

Walter Neumann

Ostrzeżenie

Nigdy nie wracaj
do miejsc, które kochałeś.
Niebo i ziemia zmieniły swe oblicze.

Kto jednak sprawdzi
kamienie i schody,
rzekę i góry,
zapach domu,
czy jeszcze są tym, czym były,
znajdzie tylko umarły czas.

Tym, czego szukasz,
byłeś ty sam.
Teraz to niczym więcej,
jak tylko twój cień.

Przed wojną

Nocą płynie wszechświat
od ognia do ognia.
Drzewa szumią jeszcze daleko
w rozproszonym oddechu Boga.
koniec tych dni
spoczywa w naszych rękach.
Uzbrojona cisza
stoi w pogotowiu.

Warnung

Geh nie zurück
an Orte, die du geliebt hast.
Himmel und Erde haben ihr Antlitz gewechselt.

Wer aber prüft
Steine und Stufen,
Fluß und Gebirge,
den Geruch eines Hauses,
ob sie noch sind, was sie waren,
findet nur tote Zeit.

Was du sychst,
warst du selbst.
Nun ist es nicht einmal mehr
dein Schatten.

Vor dem Krieg

Nächtlich strömt das All
von Feuer zu Feuer.
Bäume rauschen noch fern
im verwehenden Atem Gottes.
Ende der Tage
in unsere Hand verloren.
Starrend von Waffen
steht die Stille bereit.

Przełożyła z niemieckiego Alicja Patey-Grabowska

Walter Neumann – poeta niemiecki, urodził się w Rydze w 1926 r. Od 1946 r. mieszka w Niemczech. Od 1975 r. członek PEN Clubu Centrum. Laureat wielu nagród literackich, m.in. Andreasa Grypiusa i Eincherdorfa, oraz autor ponad 20 książek poetyckich tłumaczonych na wiele języków, również na polski. Wiersze pochodzą z tomiku „Zimowe rozmowy” („Wintergesprach”). (apg)

Przekład Małgorzaty Karoliny Piekarskiej

Wsiewołod Niestajko

Dziwne przygody w leśnej szkole

(fragment)

Słońce pośród nocy

Rozdział pierwszy

w którym czytelnicy poznają bohaterów bajki z leśnej szkoły.

Dyrektor Mruczyśław Niedźwiedzki sprawdza zdolności.

Żył na świecie język Jerzy Jeżowski.

I żył na świecie zajaczek Szarkadiusz Uchański.

Dobrzy to byli chłopcy, ale strasznie bojaźliwi. Bali się wszystkiego. Bali się ciemności i bali się słońca. Bali się błyskawicy i bali się pioruna. Bali się wiatru i bali się deszczu. Nawet cienia własnego się bali.

Ale najbardziej się bali się chuliganów.

Przybiega raz Jerzy Jeżowski do swojej mamusi jeżowej:

– Oj mammo, mammo! Do nas do drzwi chuligani się dobijają.

Wychodzi mamusia jeżowa na ganek, a tu na proggu... dwie maleńkie żabki podskakują.

Przybiega raz Szarek Uchański do mamusi zajęczycy:

– Oj mammo, mammo! Chuligani mnie gonią.

Wygląda mamusia zajęczycza przez okno, a tam... motylek lata. No i co tu z takimi tchórzami robić?

Ich rodzice rozmawiali o tym ze sobą, spierali się, klócili, ale nie mogli jakoś się dogadać. Dlatego też żyli sobie język Jerzy Jeżowski i zajaczek Szarkadiusz Uchański jak te dwa strasznie bojaźliwe tchórze. Za mamusinyimi spódnicami chowali się i ze strachem patrzyli nawet na błądy świat. Cała leśna dziatwa bawiła się, śpiewała wesołe piosenki, a oni dwaj siedzieli za mamusinyimi spódnicami i bez przerwy drżeli ze strachu. Nawet nie bawili się ze sobą, choć mieszkali po sąsiedzku.

Pewnego słonecznego ranka spotkały się na drodze mamusia zajęczycza z mamusią jeżową.

– Dzień dobry pani Uchańska! – Powiedziała mamusia jeżowa. – Słyszała pani nowinę? Na Wielkiej Polanie otwierają specjalną szkołę muzyczną z niedźwiedzim językiem wykładowym. Borsukowa już zapisała swojego Boryska.

– Ach co też pani mówi, sąsiadko Jeżowska! – Mamusia zajęczyca aż przyklasnęła łapkami. – Specjalna szkoła muzyczna? I to jeszcze z niedźwiedzim językiem wykładowym? Pobiegnę i powiem mężowi.

Tatusz zając siedział na ganku i czytał „Leśną Gazetę”.

– Hm – powiedział usłyszawszy nowinę. – Specjalna szkoła muzyczna? Z niedźwiedzim językiem wykładowym? To ciekawe. Trzeba i naszego strasznie bojaźliwego tchórza zapisać. Może szkoła pomoże mu wyjść, jak to się mówi, na zwierzaka. Przecież on nawet cienia własnego się boi.

Zajączek Szarkadiusz, który wszystko słyszał, wzdrygnął się i zapiszczał:

– Oj! Ja nie chceeeę!... Ja się boję...

– Nikt ciebie nie pyta – surowo powiedział tatuś zając. – Zapiszemy cię i będziesz chodzić do szkoły.

– No co ty, synku – łagodnie powiedziała mamusia zajęczyca. – Wszystkie dzieci chodzą do szkoły. Nie bój się.

Mamusia zajęczyca wystroiła Szarka, ubrała go w nowiutkie spodenki, białą koszulę. Gdy wyszli za bramę, zobaczyli mamusię jeżową. Prowadziła za rękę Jerzyka Jeżowskiego.

Zapisy do szkoły przyjmował sam dyrektor Mruczysław Niedźwiedzki.

Siedział przy brzoźowym stole i surowym wzrokiem spoglądał na przyszłych uczniów.

– Nazwisko!

– Uchański! – grzecznie powiedziała mamusia zajęczyca.

– Nazwisko! – nie spojrzawszy na nią, powtórzył dyrektor.

– Uchański! – znowu odpowiedziała mamusia zajęczyca.

– Nazwisko! – po raz trzeci powtórzył Mruczysław Niedźwiedzki.

– No przecież mówię, że Uchański! – powiedziała zmieszana mamusia zajęczyca.

Rozgniewany dyrektor odwrócił się do niej.

– Ja nie panią pytam! Niech Uchański sam odpowie. Co on, głuchy? I chce do szkoły muzycznej?

– Ależ co pan, co pan! Ma absolutny słuch. Proszę spojrzeć jakie ma uszy!

– To dlaczego milczy?

– Bo on... bo on... jest bardzo skromny – mamusia zajęczyca szturchnęła syna. – No, powiedz, Szaruś, powiedz.

Ale Szarek Uchański tylko nadstawił ucha i schował się za mamusią spódnicą.

– Hm – Mruczyśław Niedźwiedzki zmarszczył brwi. – Hm... skromny! Cóż, dobrze, sprawdzimy jego zdolności do nauki niedźwiedziego języka. Słuchaj no Uchański, powiedz tu mi po niedźwiedziem „r-r-r”.

Szaruś bezradnie spojrzał na mamę, szybkoitko, szybkoitko zamrugał oczami i znów się schował.

– No! – niecierpliwił się dyrektor.

Szaruś otworzył usta, ale nie wydobył z nich żadnego dźwięku.

– Co? – Niedźwiedzki nachylił się i przystawił łapę do ucha. – Nie słyszę!

– A-a-a!... – zajączek nie wytrzymał i zapłakał na całą polanę, przytulając się do mamy.

– Ojej, proszę wybaczyć – zasmuciła się mamusia zajączyca. – On jest taki wrażliwy, taki wrażliwy...

– Rozumiem – łagodnie odpowiedział dyrektor Niedźwiedzki. – Ale i mnie proszę zrozumieć: nasza szkoła nie jest zwyczajna, a specjalna. Nauczyciele są z samego stołecznego ogrodu zoologicznego. Mamy wysokie wymagania.

– On będzie się uczyć. Ja pana zapewniam. On jest niezwykle. Będzie się dobrze uczyć. Sam pan zobaczy.

Nie lepiej sprawy miały się u Jerzyka Jeżowskiego. I on nie umiał powiedzieć po niedźwiedziem „r-r-r”. Zamiast „r-r-r” wyszło mu „chru”. I ze słuchem Jerzyka było nie najlepiej, uszka miał malutkie i ledwo widoczne pomiędzy kółców. Ale i Szarusia, i Jerzyka przyjęto, bo mimo całej surowości, Mruczyśław Niedźwiedzki miał dobre serce.

– Oj, na co mi ta specjalna szkoła muzyczna! – szlochał Szaruś Uchański, idąc z mamą do domu. – I to jeszcze z niedźwiedzim językiem wykładowym. Oj, ja nieszczęśliwy! Biada mi z tobą i tą twoją szkołą.

– Milcz synku! Milcz głuptasie! – powiedziała mamusia zajączyca. Niczego nie rozumiesz. Wszyscy teraz oddają swoje dzieci do specjalnej szkoły.

Jerzyk Jeżowski też szlochał, idąc do domu. Mamusia jeżowa nazwała go głuptaskiem, który niczego nie rozumie i przekonywała, że bez znajomości języków obcych nigdy nie da sobie rady w życiu.

Następnego dnia rano Szaruś Uchański i Jerzyk Jeżowski z teczkami i buketami leśnych kwiatów powlekli się na Wielką Polanę.

Rozdział drugi

Pierwsza lekcja. Pantera Jaguarowicz.

„Czy można zjeść takie ucho?” „U-u! Zdrajca!”.

Przed szkołą zgromadzili się uczniowie. Podkulili ogony (ci, którzy je mieli) i czekali, aż zjawi się dyrektor.

Nie ma co się im dziwić, takie zmiany w życiu zawsze trochę przerażają.

A jeśli jesteś tchórzem, to tym bardziej się boisz. Żyłeś blisko maminej spódnicy, za wszystko odpowiadała mama, broniła cię przed niebezpieczeństwami i nieprzyjemnościami, a ty tylko jadłeś, spałeś i bawiłeś się. I nagle mama zostaje w domu, a ty sam jeden idziesz w nieznany, pełen niespodzianek świat. Nogi się pod tobą uginają i drżą. W ustach sucho, w piersiach duszno, a w żołądku coś skacze.

Szarek Uchański stał obok Jerzyka Jeżowskiego i głośno szczekał zębami.

– Oj, co to? – spytał zaniepokojony Jerzyk.

– Zę-zęby – szczerze wyznał zajączek.

– Boisz się? – spytał Jerzyk.

– Bo-boję – przyznał się Szaruś.

– I ja się boję – powiedział Jerzyk. – Chodź, będziemy się bać razem.

– Dobra!

I tak Szaruś i język Jerzy zostali przyjaciółmi.

„Mam przyjaciela!” – ucieszył się Szaruś i od razu zrobiło mu się lżej. Byłby objął języka (gdyby nie te kolce!).

Wreszcie przed szkołę wyszedł dyrektor Mrucyzsław Niedźwiedzki. A za nim nauczyciele – pantera, żyrafa, lisica, słoń, małpa i hipopotam.

– Witajcie dzieci! – uroczyście powiedział Niedźwiedzki. – Witam was w nowym roku szkolnym w naszej szkole. Pozwólcie, że przedstawię wam nauczycieli. Oto, proszę bardzo, wasza wychowawczyni pani Pantera Jaguarowicz. Będzie was uczyć leśnej matematyki. Lasoznawstwa uczyć będzie pani Ogonieszka Lisicka. Lasodziejów, czyli leśnej historii, pan Mamut Trąbalski. Lasografii, czyli leśnej geografii, pani Żyrafa Cętkiewicz. Wychowania fizycznego – pan Makak Szympański. Specjalnego muzycznego przedmiotu o nazwie solfeż – będzie uczył pan Behemoteusz Hipopotamowicz. A języka niedźwiedziego – ja sam. I spodziewam się, że wszyscy będziecie pracować sumiennie, nie sprawicie kłopotów nauczycielom, więc nie będę musiał wzywać do szkoły waszych rodziców. A teraz – do klasy! Zaczynają się lekcje.

Mrucyzsław Niedźwiedzki potrząsnął wielkim leśnym dzwonkiem.

Na pierwszej lekcji Pantera Jaguarowicz zapoznała się z uczniami.

Oprócz zajacza Szarkadiusza Uchańskiego i języka Jerzego Jeżowskiego w klasie byli: chłopcy – lisek Rudziszlaw Ogonowski, niedźwiadek Michał Łapiński, wilczek Czarosław Wilczkowski i borsuczek Borys Borsucki; dziewczęta – rysiczka Ryszarda Miauczyńska, leśna koziczka Skakanka Kozłowska, losiczka Zofia Łoś i wiewióreczka Rudomiła Wiewiórska.

Szaruś Uchański usiadł sobie w jednej ławce z Jerzykiem Jeżowskim. Ale czy ktokolwiek widział, by ucznia pierwszej klasy posadzono w ławce z tym, z kim chciałby siedzieć? Zaznajomiwszy się z uczniami, Pantera Jaguarowicz zaczęła wszystkich przesadzać. Szarusia Uchańskiego posadziła z Czarusiem Wilczkowskim, a Jerzyka Jeżowskiego z Rysią Miauczyńską. Nie minęło nawet pięć minut, a Czaruś Wilczkowski ugryzł Szarusia w ucho.

- Co robisz? – wystraszył się Szaruś.
- Tak po prostu – wyszczerzył się Czaruś i znowu ugryzł Szarusia w ucho.
- Przestań! – cicho jęknął Szaruś.
- Hi, nie przestanę – znów wyszczerzył się Czaruś. – Masz ogromne ucho! Specjalnie do gryzienia. Chyba można takie ucho nawet zjeść. Hi, hi, hi!
- A ty co? Chuligan?
- Chuligan! – dumnie powiedział Czaruś. – A ty kto? Zajac?
- Zajac...
- Hi hi! Zajac! Zajac! Tchórz!
- Dlaczego tchó-órz? – zaczerwienił się Szaruś. – Ja po prostu... po prostu... tylko... zajac.
- Wcale nie „po prostu tylko zajac”. Wszystkie zajace to tchórze. I donosicie. Dobrze wiem, że zaraz podniesiesz łapę i powiesz Panterze, że ugryzłem cię w ucho. Powiesz!

Szaruś nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie podeszła do nich Pantera Jaguarowicz i spytała:

- Uchański i Wilczkowski! Dlaczego rozmawiacie na lekcji? Na lekcjach nie można rozmawiać. Ano, wstań Uchański i powiedz całej klasie, o czym rozmawialiście? Wszyscy jesteście ciekawi.

Szaruś wstał, pochylił głowę i wcisnął się w ławkę, nie powiedziawszy ani słowa.

- Dlaczego milczysz? – spytała Pantera Jaguarowicz. – Wilczkowski, opowiedz, dlaczego on jest taki smutny.

Czaruś wstał, pociągnął nosem i powiedział:

- A... bo on ugryzł mnie w ucho.
- Co?! Kurczę! Co to znaczy? – zdziwiła się Pantera Jaguarowicz.

– Nie wiem – Czarus wzdrygnął ramionami. – Spytałem go, to mi powiedział: „Po prostu. Zachciało mi się gryźć, to cię ugryzłem”. Ja mu mówię: „Nie można gryźć na lekcjach”. A on: „Milcz, bo jeszcze w nos ugryzę. I powiem, że nie ja ciebie, ale ty mnie ugryzłeś”. No i tak to było.

– Czy to prawda? – Pantera Jaguarowicz zwróciła się z pytaniem do zajączka.

– To... to o-on mnie ugryzł – powstrzymując łzy, wykrztusił Szarus, którego mocno zabolął podstęp Czarusia.

Klasa zaśmiała się głośnie.

– No dobrze! Siadajcie! I zachowujcie się tak, jak przystało na uczniów specjalnej leśnej szkoły – surowo powiedziała Pantera Jaguarowicz.

Na przerwie język podbiegł do pochlipującego zajączka.

– Powiedz, co tam u was się działo?

– To on... ugryzł mnie... I jeszcze ośmieszył przed całą klasą. O! – Szarus pokazał ślady wilczych zębów na swoim uchu i zachlipał. – Jak ja teraz mam z nim siedzieć? Tak mi przykro!

Język wyczuł w głosie zajączka taką rozpacz, że i jemu łzy napłynęły do oczu.

– Oj, co to za chuligan z tego Czarusia! No nie płacz, nie płacz Szarusiu. Trzeba wymyślić coś takiego, żeby nas znowu razem posadzili.

– Ale co?

– Mam pomysł. Zobaczysz.

Gdy tylko zaczęła się kolejna lekcja, Rysia Miauczyńska, która siedziała razem z językiem, podniosła do góry łapkę.

– Pani Pantero Jaguarowicz. Proszę mu coś powiedzieć! On się kluje!

– Jeżowski! Dlaczego klujesz się!

– Ja niechący. Więcej nie będę.

Ale minęło kilka minut i Rysia znów podniosła łapkę.

– Pani Pantero Jaguarowicz. On znowu się kluje!

– Jeżowski! Natychmiast przestań! – surowo powiedziała Pantera Jaguarowicz.

– Ale ja niechący. Niechący!

Minęło znów kilka minut i rysiczka wyskoczyła z ławki.

– Pani Pantero Jaguarowicz. Ja nie będę z nim siedzieć. On cały czas się kluje.

– Jeżowski! Na co ty sobie pozwalasz?

– A co ja temu winien, że mam igły? To nie moja wina – żałośnie pociągnął nosem język.

– Pani Pantero Jaguarowicz! Proszę mnie przesadzić! Bardzo proszę przesadzić! Ja nie mogę z nim siedzieć – zapiszczała Rysia Miauczyńska.

– No i co tu z wami robić? – zamyśliła się wychowawczyni. – Wszystkie ławki zajęte. I nikt przecież nie zechce się przesiąść.

– Mnie, mnie proszę przesadzić do Jerzyka! – Szarusz aż podskoczył z wyciągniętą w górę łapą. – Ja się igiel nie boję.

– Właściwie dla dyscypliny w klasie to będzie nawet korzystne. I z Wilczkowskim przestaniesz rozmawiać. Tak więc... przesiadajcie się!

– U-uu! Zdrajca! Przez ciebie będę siedział ze spódnicą – wysyczał przez zaciśnięte zęby Czarosław Wilczkowski, kiedy Szarkadiusz Uchański zabierał z ławki swoje rzeczy.

Zachwycony zajączek w odpowiedzi tylko prychnął.

Przełożyła z języka ukraińskiego Małgorzata Karolina Piekarska

Wsiewołod Niestajko (ur. 30 stycznia 1930 w Berdyczowie, zm. 16 sierpnia 2014 w Kijowie), ukraiński pisarz literatury dla dzieci. Autor kilkudziesięciu książek. Jego najsłynniejsza powieść „Torreadorzy z Wasiukiwki” znalazła się na liście honorowej IBBY im. H.Ch.Andersena. Jest to jedyna książka Niestajki, która, dawno temu, ukazała się w języku polskim. Niestajko to niemal guru ukraińskiej literatury dziecięcej. Gdy zmarł, był oplakiwany przez małych i dużych czytelników, a szczególnie przez tych, którzy wychowywali się na jego książkach. W 2015 roku w rocznicę urodzin Niestajki Google stworzył specjalne logo z bohaterami jego powieści. „Dziwne przygody w leśnej szkole” to jedna z wielu książek poświęconych życiu leśnych zwierząt. Pełna ciepła i charakterystycznego dla autora zwariowanego poczucia humoru. (mkp)

Przekład Andrzeja Sobol-Jurczykowskiego

Juan José Arreola

Konfabularz totalny

*(fragment)*z „*Bestiarium*”

Prolog

Kochaj bliźniego twego, bezwartościowego i głupiego jak but. Kochaj bliźniego cuchnącego, obdartego i powalanego brudem.

Pozdrawiaj z całego serca odrażającego dziwoląga, który w imieniu ludzkości wręcza ci swoje galaretowate listy uwierzytelniające, rękę ściętej ryby, podczas gdy przygląda ci się swoim psim spojrzeniem.

Kochaj bliźniego twego, wieprza i koguta, który klusuje radośnie ku tłustym rajom zwierzęcego posiadania.

I kochaj bliźnią, która nagle przeobraża się przy twoim boku i w krowiej piźniamie zaczyna nieskończenie przeżuwać zakalcowate piguły domowej rutyny.

Nosorożec

Wielki nosorożec zatrzymuje się. Podnosi głowę. Cofa się nieco. Obraca się dokoła i strzela ze swojego artyleryjskiego działą. Naciera jak taran swoim jedynym rogiem pancernego byka, rozszałały i krótkowzroczny w totalnym ataku pozytywistycznego filozofa. Nigdy nie trafia do celu, ale zawsze jest zadowolony ze swojej siły. Potem otwiera zawory bezpieczeństwa i prycha pełną parą.

(Obciążone nadmierną zbroją nosorożce podczas rui oddają się na leśnej polanie pozbawionemu wdzięku i zręczności turniejowi, w którym liczy się tylko średniowieczna jakość zderzenia).

Gdy znajdzie się już w niewoli, nosorożec jest zwierzęciem melancholijnym i zardzewiałym. Jego ciało zostało złożone z wielu części w otchłaniach prehistorii, z płyt skóry sprasowanych pod ciśnieniem geologicznych poziomów. Ale w specjalnym momencie poranka nosorożec zaskakuje nas: z jego

zasuszonych boków, jak woda, która wydobywa się z pęknięcia skały, wytryska wielki organ gwałtownego i potężnego życia, powtarzając na swym wierzchołku rogaty motyw zwierzęcej głowy, z wariacjami orchidei, dzidy i halabardy.

Złożmy więc hold temu stwardniałemu i zawilemu zwierzęciu, dało ono bowiem asumpt do pięknej legendy. Choć wydaje się to niemożliwe, ten nieukształtowany atleta jest duchowym ojcem poetyckiego stworzenia, które rozwija na kobiercach Damy temat rycerskiego i dwornego Jednorożca.

Zwyciężony przez roztrofną dziewczicę, cielesny nosorożec przeistacza się, porzuca swój zapal, upodabnia się do gazeli, do jelenia i klęka. A tępy róg męskiej agresji zamienia się wobec dziewczęcia w wysmukłą elegię z kości słoniowej.

Ropucha

Skacze od czasu do czasu po to jedynie, aby sprawdzić swoją statyczną naturę. Skok ma coś z palpitacji: gdy przyjrzeć się dobrze, ropucha jest samym sercem.

Sprasowana w bloku chłodnego błota, ropucha zanurza się w zimie jak pożałowania godna poczwarka. Budzi się wiosną świadoma, że nie dokonała się w niej żadna metamorfoza. W swoim głębokim odwodnieniu jest bardziej ropuchą niż kiedykolwiek. Czeką w ciszy na pierwsze deszcze.

I pewnego dnia wylania się z miękkiej ziemi, ociężała wilgocią, spuchnięta urażonymi sokami, jak serce rzucone na ziemię. W jej postawie sfinksa jest ukryta propozycja zamiany i brzydota ropuchy ukazuje nam się z przytłaczającą jakością lustra.

Struś

Rozdzierającym głosem jak rura nieprzyzwoitego organu szyja strusia głosi na cztery strony świata zasadniczą nagość przystrojonego ciała. (Pozbawiony w najwyższym stopniu ducha podejmuje następnie całym swoim ciałem serię obleśnych wariacji na temat skromności i bezwstydu).

Więcej niż kurczę, gigantyczne kurczątko w pieluchach. Najlepszy niewątpliwie przykład na najkrótszą spódnicę i najgłębszy dekolt. Choć zawsze jest ubrany w połowie, struś trwoni swoje lachmany w całej zbędnej ostentacji, i tylko pozornie wyszedł z mody. Jeżeli jego piór „już się nie nosi”, to jednak eleganckie damy z wielką chęcią przybierają swoje ubóstwo w cnoty i świadcidełka strusia: ptaka, który się stroi, ale zawsze pozostawia odkrytą swą intymną brzydotę. Gdy zmuszają do tego okoliczności, jeśli nie chowają głowy,

to przynajmniej zamykają oczy „na to, co będzie”. Z nieporównanym tupetem demonstrują swoją lekkomyślność sądów i polykają wszystko, co mają w zasięgu wzroku, rzucając przypadkowe przekąski na los szczęścia trawienno dobrego sumienia.

Bezludny, zmysłowy i arogancki struś reprezentuje najlepsze fiasko wdzięku, poruszając się zawsze bezczelnie, w makabrycznym, rzekomo pociągającym tańcu. Nie może więc nas dziwić, że doświadczeni sędziowie Świętego Oficium wymyślili rozrywkę czy drwinę opierzania nieprzyzwoitych kobiet przed wyprowadzeniem ich nago na plac publiczny.

Hiena

Zwierzę niewielu słów. Opis hieny musi być zrobiony szybko i niemal en passant: potrójny komplet wycia, odrażające zapachy i ciemne plamy. Piórko rysownika opiera się i z trudem utrwała głowę tęgiego brytana, reminiscencje wieprza i upodłonego tygrysa, pochyla linię śliskiego, muskularnego i obniżającego się ciała. Chwileczkę. Trzeba również zebrać kilka zasadniczych śladów zbrodniarza: hiena atakuje gromadnie zwierzęta samotne, zawsze na pustkowiu, pyskiem przepelnionym klami. Jej spazmatyczne szczekanie jest modelem i przykładem nocnego śmiechu, jaki wzbudza niepokój domu wariatów. Zdeprawowana i łakoma lubi silny zapach gnijącego mięsa i aby zapewnić sobie triumf w miłosnych zmaganiach, nosi worek zepsutego piżma między nogami.

Zanim pozostawimy tego odrażającego cerbera dzikiego królestwa, tego entuzjastycznego i tchórzliwego nekrofila, musimy poczynić pewne niezbędne wyjaśnienie: hiena ma wielbicieli i jej apostołstwo nie było daremne. Jest to być może zwierzę, któremu udało się pozyskać najwięcej prozelitów wśród ludzi.

Wybrał i przełożył z języka hiszpańskiego Andrzej Sobol-Jurczykowski

Juan José Arreola (1918-2001) – pisarz meksykański, jeden z twórców realizmu magicznego. Wydał zbiory opowiadań *Confabulario*, *Varia invención* i *Palindroma* oraz powieść *La feria* (*Uroczystość*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972). Jest również autorem sztuki teatralnej *La hora de todos* (*Godzina dla wszystkich* – tytuł ten nawiązuje do powieści Francisca de Quevedo, drukowanej w Polsce w przekładzie Kaliny Wojciechowskiej pt. *Godzina dla każdego*). Utwory Arreoli były tłumaczone na wszystkie ważniejsze języki. (asj)

Piotr Müldner-Nieckowski

Kto pyta, nie błądzi

Scenariusz skeczu wielowizyjnego metodą klipów odsiebnych.

Ujęcia osobne odtylno-górne, kontrastowane wsuwnie wabaklonyim ruchem kamery typu anterior-posterior albo naprzód-wstecz, ale nie sposobem na pieska (ang. doggy style).

Kolorystyka wzmacniona przerywanicznie. Dźwięk telefoniczny smartfonony.

Napisy początkowe, w tym nazwisko autora Piotr Müldner-Nieckowski (uwaga na „ü”, nie zmieniać na żadne „ue”, z klawiatury: Alt [trzymać] + z numerycznej 129).

Bobater nykręca kolejne numery.

Infolinia medyczna:

- Przodosław Ździebelko z tej strony. Mam pytanie. Gdzie można kupić viagrę dla kobiet?
- Mój numer zero zero, proszę podać w razie reklamacji. Odpowiadam: w każdym sklepie jubilerskim.

Infolinia jubilerska:

- Mam pytanie, czy można kupić duży drogi brylant?
- Jeżeli ten, który pan nam wczoraj oddał, to już jest zarezerwowany.

Infolinia kolejowa:

- Mam pytanie, kto przed chwilą złożył u was rezerwację?
- Pan, ale ta pani zrezygnowała i poszła do jubilera.

Infolinia taksy:

- Mam pytanie, czy można zamówić taksy do jubilera?
- Ci państwo już tam pojechali.

Infolinia kancelarii prawnej:

- Mam pytanie, czy zgłosiła się do państwa moja żona?
- Tak, żąda odszkodowania za odebranie jej brylantu.

Infolinia firmy detektywistycznej:

- Mam pytanie, czy już wiecie, z kim jest moja żona?
- Tak, z adwokatem.

Infolinia sądu rejonowego:

- Mam pytanie, czy można przeprowadzić rozwód?
- Można, ale po uzyskaniu orzeczenia Infolinii medycznej.

Infolinia medyczna:

- Mam pytanie, czy zgłaszała się do was moja żona?
- Tak, pytała, jak się używa bandaża po użyciu brylantu w pozycji leżącej.

Infolinia jubilerska:

- Mam pytanie, jak się używa brylantu?
- Idzie się do sądu, pokazuje się go pani sędzi i wygrywa sprawę.

Infolinia sądu rejonowego:

- Czy mogę mówić z panią sędzią?
- Tak, podaję adres: Marszałkowska 201, mieszkania 8, wstęp tylko z dowodem rzeczowym.

Infolinia firmy detektywistycznej:

- Mam pytanie, czy już wiecie, kto ma mój brylant?
- Tak, kierowca taksówki numer boczny dwa jeden dwa jeden.

Infolinia taks:

- Mam pytanie, gdzie jest kierowca taksówki numer boczny dwa jeden dwa jeden?
- Obsługuje sąd rejonowy.

Infolinia medyczna:

- Mam pytanie, czy brylant działa długo?
- Jak przestanie, proszę założyć następny.

Infolinia policji:

- Mam pytanie, czy można zgłosić zaginięcie brylantu, żony, sędzi i taksówkarza?
- Można, ale oni już zgłosili zaginięcie pana.

Infolinia ministerstwa sprawiedliwości:

- Mam pytanie, czy można zawiesić w czynnościach komendanta policji?
- Najlepiej jak pan założy własną infolinię, to się pan wszystkiego dowie.

Infolinia supermarketu:

- Mam pytanie, gdzie można kupić biżuterię dla mężczyzn?
- U każdego taksówkarza, który wozi sędzię sądu rejonowego do adwokata, podaję adres: Marszałkowska 8, mieszkania 101, otwierać kluczem francuskim.

Infolinia samotnych serc:

- Mam pytanie, po czym poznać, że moje serce jest samotne?
- Po tym, że nie ma pan już środków na brylanty i dalej musi się starać metodą towarzyską.

Infolinia agencji towarzyskiej:

- Mam pytanie, czy można zamówić osobę towarzyszącą?
- Można, przełączam na infolinię biura pośrednictwa pracy parlamentarnego mainstreamu delegalizacji ustaw.

Infolinia sklepu z telewizorami:

- Czy mogę zapoznać się z treścią ustawy o kluczach francuskich?
- Nie jest to konieczne, ponieważ opinię na ten temat wygłosi ekspert w „Wiadomościach Wieczornych”.

Zakończenie:

Efekt 1. Ujęcie z tylnej góry: od ucha należącego do tysej głowy męskiej ręka odejmuje słuchawkę telefonu.

Efekt 2. Ujęcie ciągle – dojazd kamery do okna, widok z okna na Warszawę widzianą ze szczytu Pałacu Kultury (lokowanie produktu), a w rzeczywistości z lotni.

Napisy końcowe (nie zapomnieć o autorze scenariusza i dialogów: Piotr Müldner-Nieckowski, żadne P.M.N. ani pmn, tylko ma być pełne nazwisko bez tytułów naukowych, bo to poważny skecz, uwaga na „ü”, nie dawać „ue”).

Z Karen Kovacik

rozmawia

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Katarzyna Boruń-Jagodzińska: Byłaś „Poet Laureate stanu Indiany”. Co to za funkcja?

Karen Kovacik: *Poet Laureate* zwraca uwagę na poetów i poezję pewnego kraju, stanu czy miasta. W tej roli odwiedzam szkoły i biblioteki miejskie, planuję spotkania poetyckie i piszę blog o poetach z Indiany. Między innymi sponsoruję cykl czterech czytań pt. „The Borderlands Project”. Poeci z Indiany i sąsiednich stanów czytają wiersze na temat ich koncepcji domu, migracji i granic.

To tematy Tobie bliskie? Jakie są Twoje korzenie?

Dziadkowie ze strony mamy pochodzili z Polski, z Galicji; dziadek z Janów – małej wsi, między Krakowem a Katowicami, a babcia, która umarła, gdy moja mama miała zaledwie dwa lata, ze wsi bliżej Zakopanego. Dziadek z strony ojca pochodził ze Słowacji. Pamiętam, że gdy byłam dzieckiem, mój polski dziadek i prababcia ze Słowacji rozmawiali po swojemu i rozumieli się doskonale. Druga babcia była córką imigrantów z Polski, urodziła się pod Chicago. Niestety nie nauczyłam się polskiego w dzieciństwie, moja mama nauczyła nas tylko liczb (do dziesięciu) i piosenki „Siwy koń”.

Kiedy pierwszy raz przyjechałaś do Polski?

W grudniu 1982 r. jeszcze podczas stanu wojennego, żeby odwiedzić ówczesnego narzeczonego – Daniela Bourne’a, poetę i tłumacza, który miał stypendium z Indiana University. Wynajmował kawalerkę Za Żelazną Bramą na Marchlewskiego, w pobliżu Hali Mirowskiej.

Pierwsze wrażenia?

Pamiętam, że było mało w sklepach; w domach towarowych Centrum tylko jakiś kostium kąpielowy (bikini) leżał w witrynie – była ostra zima! – a obok karteczka z napisem „tylko na wystawie”. Ciężkie zasłony z aksamitu czy wełny pokrywały drzwi w małych sklepikach, żeby było cieplej. Tramwaje były zatłoczone i dlatego moim pierwszym słowem było „przepraszam”. Pomniki poległych w Warszawie zrobiły na mnie ogromne wrażenie. W Stanach takie pomniki, przynajmniej w północnej części kraju, są masowe i kojarzą

się raczej z bohaterstwem i zwycięstwem. A tutaj były tak skromne i proste, stojące jakby pośród życia codziennego.

Koleżanka Daniela, Krystyna Salitra z Wrocławia, zaprosiła nas do siebie na Święta i tam spróbowałam po raz pierwszy karpia w galarecie, kutii i wędzonych śliwek. Co prawda wszędzie widziałam ślady stanu wojennego. Jak tylko wysiadłam z samolotu, żołnierz w mundurze stał na baczność z bronią, zdarzały się kontrole po godzinie policyjnej, a znajomi Daniela siedzieli w Białołęce. Dzięki pomocy Krysi i jej szwagra, poznałam rodzinę w Jankowicach: kuzynkę i ciotkę mojej mamy, obie bardzo miłe i gościnne. Pamiętam śnieg, gęsi, bociany i moją ciotkę – małą i podobną do dziadka, który od lat już nie żył.

Czy ślad tego, co przeżyłaś, jest w Twojej poezji?

Napisałam o tym pierwszym spotkaniu w wierszu „Pandora przemawia” (w przekładzie Ewy Chruściel):

*Na początku była
karpatka z pieca
oczekująca
czekoladowej pokrywy.
Buraki posnęły
w mełach Wisły,
gorący miód zamieniał
wódke w złoto,
i powycinane płatki śniegu błyskały
nad łóżkiem Twojej jedynej córki.
Tego grudniowego dnia,
mimo stanu wojennego,
gęsi kluczyły w śniegu, a para
unosila się z pysków koni.
Furmanki roily się od siana.
Twoja córka nie marzyła
jeszcze o Londynie.
Anglia kołysała się
na dalekich wybrzeżach Europy
jak Atlantyda.*

Polska wydawała mi się wtedy egzotyczna: kochałam wszystko co inne, ale mało rozumiałam, bo jeszcze nie mówiłam po polsku. Często wspominam ten okres w mojej poezji i sądzę, że znajomość Polski w latach osiemdziesiątych pomaga mi jako tłumaczce.

Na okładce tomiku „Metropolis Burning” jest zdjęcie z Warszawy. Ile razy byłeś w Polsce i co wtedy robiłeś?

Po pierwszym krótkim pobycie zapisałam się na kurs języka polskiego w Polonicum UW w 1984 r. Potem mieszkaliśmy w Polsce w latach 1985-1987, kiedy mój ówczesny mąż Daniel Bourne miał stypendium Fulbrighta. W 1989 r. byliśmy znowu w Polsce w czasie pierwszych wolnych wyborów. Po rozwodzie z Danielem w 1991 miałam poczucie, że muszę także rozstać się z Polską. W latach 1992-1997 robiłam doktorat na Ohio State University. Nie miałam pieniędzy na podróże. Od 2000 r. bywam prawie co roku. Kiedy miałam stypendium Fulbrighta w Warszawie w 2004-2005, wygłosiłam na UW i w Ambasadzie Amerykańskiej referaty o współczesnej poezji amerykańskiej i uczeniu pisania twórczego. W 2010, r. w twojej Galerii Nigdy-Nigdy na Grochowie, zorganizowałyśmy dwujęzyczne przedstawienie *Dalekich krajów* – fikcyjnej antologii wymyślonych poetów Agnieszki Kuciak – ciekawy i zabawny spektakl z udziałem wykonawców polskich i amerykańskich (pisarzy z SPP, publicystów, tłumaczy, wykładowców akademickich). W 2013 r. uczestniczyłam w konferencji na UKSW o tłumaczeniu poezji z referatem o włoskich motywach w *Dalekich krajach*. Jednocześnie z panią profesor Anną Szczepan-Wojnarską zorganizowałam prezentację polskich poetek z antologii *Scattering the Dark*, (ukazała się w kwietniu tego roku). W 2014 r., mając stypendium z Instytutu Książki, wzięłam udział w Kolokwium Translatorskim. Spędziłam miesiąc w Willi Decjusza w Krakowie, z pisarzami, tłumaczami i dziennikarzami ze wschodniej Europy. Tam przełożyłam wiersze Jacka Dehnela i miałam ciekawe rozmowy z kolegami z Węgier, Słowacji, Czech i Ukrainy. Prowadziłam zajęcia translatorskie w Katedrze UNESCO UJ.

Polskie tematy w Twoich wierszach to nie powierzchowne wrażenia z podróży, wchodzisz głębiej w historię, jak np. w „Warszawskim architekcie” i „Mieście przenośnym”. Czy „dziwność” Polski jakoś Cię porusza? Boli?

Chyba nie powiedziałabym „dziwność” – może czasami „inność,” „tajemniczość”. Kiedy odwiedziłam rodzinną wieś po raz pierwszy, miałam wrażenie, że wróciłam do dziewiętnastego wieku: furmanki, piece, w których się paliło drewnem, brak kanalizacji, kobiety w chustkach, mężczyźni w sierpami. Ale oczywiście dużo się zmieniło w Polsce po przełomie w 1989 r. i z powodu globalizacji. Na razie Polska, zwłaszcza Warszawa, jest laboratorium zmian. Widzę tutaj wiele epok na raz i to jest naprawdę ciekawe; czasami przeraźliwe, czasami bolesne, ale interesujące. Na przykład dwa lata temu byłam na wystawie Marka Rothki w Muzeum Narodowym, widziałam jego ostatnie obrazy: fioletowe, brązowe, czarne. Wydawały się czyste, bo nie było w nich niczego zbędnego. A potem spacerowałam po centrum Warszawy Alejami Jerozolimskimi, Kruczą, Piękną, Marszałkowską i wszędzie widać było napisy i reklamy. Na MDM jest teraz whisky bar „Pulp Fiction” pomiędzy socrealistycznymi

rzeźbami górnika i żołnierza. To był świat kompletnie inny – nieczysty, skomplikowany, czasami wulgarny – inny niż świat Rothki, ale w tym momencie kochałam Warszawę absolutnie.

Co zainteresowało Cię w polskiej poezji, zwłaszcza kobiecej?

Jak wielu poetów z mojego kraju, najpierw czytałam Miłosza, Herberta, Szymborską i Zagajewskiego. Podobały mi się właśnie ich chłód, ironia, nawet gdy piszą o strasznych wydarzeniach. Zauważyłam jednak, że poetek mniej przełożono na angielski, i im więcej czytałam, tym bardziej żalowałam, że nie są znane u nas.

Przypominam sobie rozmowę podczas Twojego występu z poetami z SPP w Tarabuku – że są na świecie antologie poezji polskiej, w których na 100 poetów jest 99 mężczyzn i jedna Szymborska, bo noblistki już nie wypada pominąć. A przecież Polska to zagłębie dobrych poetek. Kogo umieściłaś w swojej antologii? Czy podobnej dotąd nie było?

„*Scattering the Dark*” ma kształt tematyczny – osiem rozdziałów dotyczących historii, snów, masek i mitów, metamorfozy, pisania, wierszy, domu i codziennych przedmiotów. Występuje 31 poetek: Bargielska, Boruń-Jagodzińska, Broda, Chruściel, Dąbrowska, Fiedorczuk, Filipiak (Morska), Grzegorzewska, Hartwig, Keff, Kielar, Kozioł, Kuciak, Kuś, Lars, Lech, Lenkowska, Lipska, Miłobędzka, Mirahina, Mueller, Parma, Piwkowska, Podgórnik, Rodowska, Sonnenberg, Szymborska, Świrszczyńska, Wajs, Wolny-Hamkało i Zdaniowicz. Przełożyłam ok. sześćdziesięciu procent wierszy, ale antologia zawiera także tłumaczenia Stanisława Barańczaka i Clare Cavanagh, Johna i Bogdany Carpenter, Billa Johnstona, Antonii Lloyd-Jones, Marka Kazmierskiego, Ewy Elżbiety Nowakowskiej i Robin Davidson. W tym zbiorze widać m.in. różnorodność polskich poetek, a jednocześnie ich intertekstualność.

Dość często polscy krytycy uważają się, że współczesna polska poezja już nie jest tak wybitna jak przedtem. Ale przykłady nowej estetyki są przytaczane prawie wyłącznie z twórczości poetów, a nie poetek. Pod tym względem moja antologia, mam nadzieję, będzie uzupełniać obraz polskiej poezji obecnie pisanej. W ciągu ostatnich pięciu lat przeczytałam mnóstwo antologii polskich poetów wydanych w Polsce, Anglii i Stanach. Często brakowało w nich solidnej reprezentacji twórczości poetek. Owszem, przeczytałam z zainteresowaniem „Solistki”, ale zasada tej antologii (wiek autorek) była nieco inna od mojej – ja chcę pokazać więzi między pokoleniami. Istnieje jeszcze jedna antologia polskich poetek, „Ambers Aglow”, wydana w Stanach w latach dziewięćdziesiątych. Solidna robota, ale redaktorka Regina Grol sama przełożyła wszystkie wiersze bardzo dosłownie. Moim zdaniem brakowało w nich muzyki, błysku. Zapowiadane są nowe antologie.

Co lubisz poza pisaniem, poza sztuką?

Zapraszanie przyjaciół do siebie, rower, kino, pieczenie ciast. A teraz dzięki Jackowi Dehnelowi uczę się robić nalewki! Ostatnio z amerykańskim przyjacielem przygotowaliśmy pigwówkę według przepisu Dehnela.

Dopisałabym jeszcze koty! Oglądam także Twoje dokonania kulinarne na Facebooku. Czy te zainteresowania mają odbicie w twórczości? Szukasz takich motywów w polskiej poezji?

Czasem tak. Napisałam wiersz „Gołąbki” o mojej babci czy „Robienie pierogów” o mojej mamie. Nie szukam specjalnie, ale nieraz je znajduję. W antologii jest przekład wiersza Julii Hartwig „Uciekając od swoich zadań”. Zaczyna się tak:

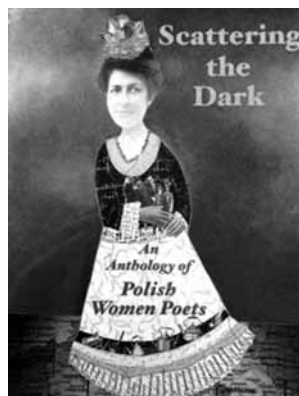
*Wisława obiera kartofle
Urszula zbiera dereń
Ewa urządza na Am Gestade
Święta Teresa cała w różanych różach
napętnia słoje konfiturą...*

Wiersz sugeruje, że Szymborska, Koziół, Lipska, Św. Teresa i nawet nieraz pan Bóg uciekają „od swoich zadań” dzięki pokuszeniu poetyckiej inspiracji!

Dziękuję za rozmowę!

Pytania zadawała Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Karen Kovacik – poetka i tłumaczka, laureatka Charity Randall Citation (International Poetry Forum), stypendystka Fulbrighta i National Endowment for the Arts. Uczy twórczego pisania i literatury amerykańskiej na Indiana University w Indianapolis. Wydała cztery tomiki – *Metropolis Burning*, *Beyond the Velvet Curtain*, *Nixon and I* i *Return of the Prodigal* – teraz kończy piąty pt. *Vérité*. W 2013 r. ukazało się jej tłumaczenie *Dalekich krajów* Agnieszki Kuciak. Jej przekłady poetów współczesnych pojawiały się w *American Poetry Review*, *Boston Review*, *Colorado Review*, *Mid-American Review* i wielu innych czasopismach. Wiersze Kovacik w przekładach Jacka Dehnela i Miry Kuś ukazały się we *Frazje*, *Odrze* i *Wyspie*. Antologię polskich poetek *Scattering the Dark* wydano w 2016 r. (kbi)





Obory, Konstancin-Jeziorna, lato 2005 r. Prezesi Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Od lewej: Piotr Wojciechowski, Andrzej Braun, Ludmiła Marjańska, Marian Grześczak, Janusz Odrowąż-Pieniążek. Prezesami SPP byli także Jan Józef Szczepański i Janusz Krasiński, a obecnie Stowarzyszeniu przewodzi Sergiusz Sterna-Wachowiak